Piotr Ibrahim Kalwas

DOM

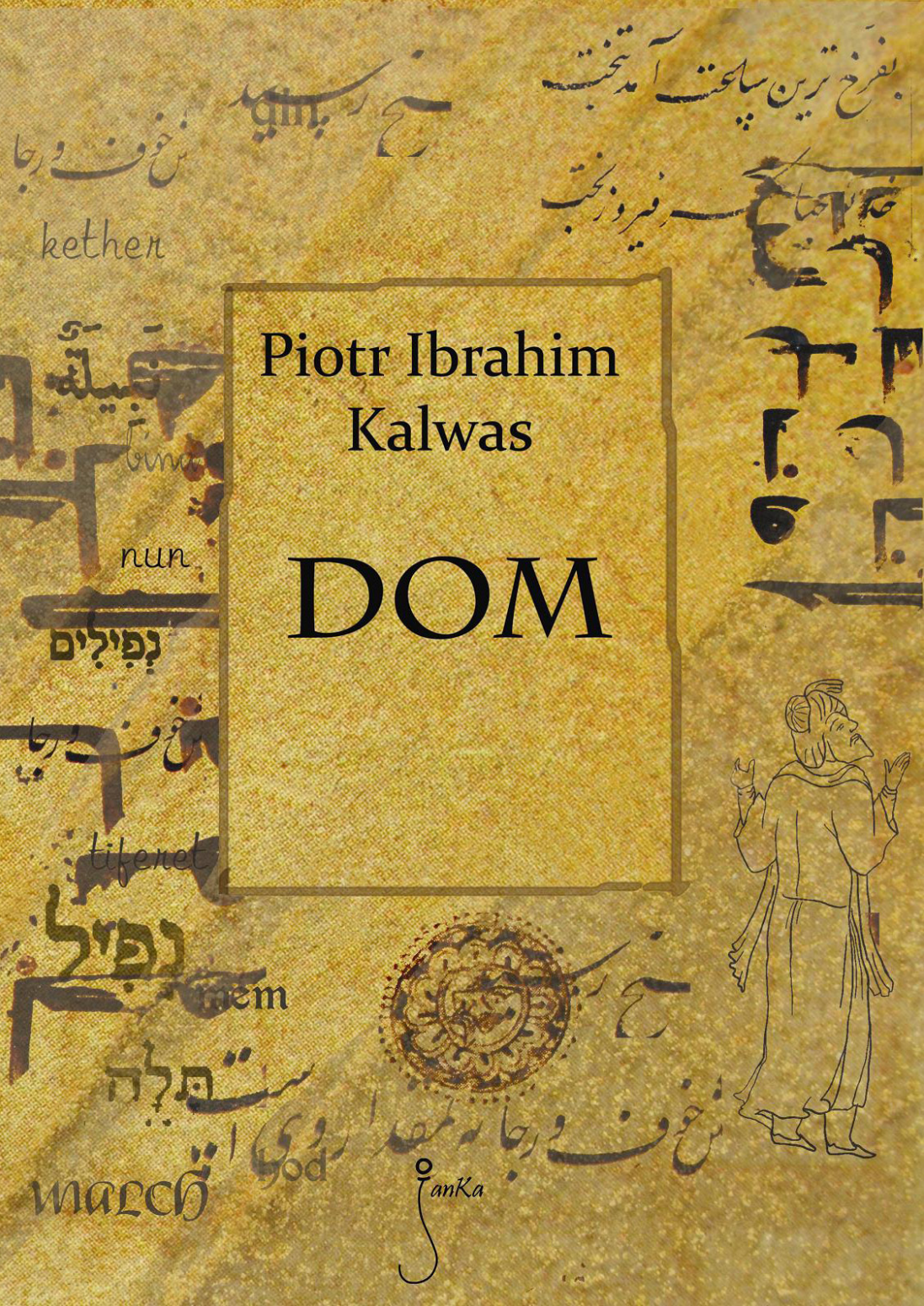

Piotr Ibrahim Kalwas

DOM

JanKa
2010

Copyright © Piotr Ibrahim Kalwas 2010

Projekt okładki i stron tytułowych
Anna M. Koźbiel
(wykorzystano motywy z miniatury z Heratu „Ogród różany" z XVI w.)

Redaktor
Jan Koźbiel

Korekta
Jan Wiśniewski

Łamanie
Książki i Strony

ISBN 978-83-62247-06-6
Wydanie I
Pruszków 2010

Wydawca
JanKa
ul.Majowa 11/17
05-800 Pruszków
www.jankawydawnictwo.pl

Mojej ukochanej żonie Agacie,
która jest na każdej stronie tej książki.

Na pytanie „skąd pochodzisz?”,
Diogenes zawsze odpowiadał: „Zewsząd”.
Wazgen Czałojan, „Wschód i Zachód”

Edmond Jabes: 1. „Księga pytań”, 2004; 2. „Księga Jukiela”, 2004; 3. Powrót do Księgi”, 2005; 4. „Jael”, 2006; 5. „Elja”, 2006; 6. „Aeli”, 2006; 7. „El albo Ostatnia Księga”, 2007 – wszystkie w przekładzie Adama Wodnickiego, nakładem wydawnictwa Austeria, Kraków.

Nie pamiętam, kiedy zwróciłem na nią po raz pierwszy uwagę. Stała zawsze w tym samym miejscu. Mniej więcej w tym samym. Na plaży Silsila, na jej początku, tam gdzie woda łączy się z piaskiem, niedaleko zardzewiałej wieży ratownika. Jej długie nogi obmywała piana kończących tutaj swój bieg fal Morza Śródziemnego. Stała nieruchoma, wpatrzona w przestrzeń drgającą od gorącego powietrza. Zawsze stała, nie poruszała się prawie wcale, czasami przekrzywiała tylko lekko głowę, jakby dziwiąc się czemuś. Milczała.

Jej plaża była na trasie mojego spaceru do małego parku położonego naprzeciwko Biblioteki. Chodziłem tam prawie codziennie z Hasanem karmić koty czekoladkami i resztkami z obiadu. Chodzę prawie codziennie, nie chodziłem... powinienem używać czasu teraźniejszego, bo przecież tutaj mieszkam i ciągle chodzę do tego małego parku, aby posiedzieć na gorącej od słońca kamiennej ławce pod palmą i rzucać kotom kawałki batonika i okrawki mięsa.

Ona się uśmiechała. Może ten jej uśmiech zwrócił moją uwagę. Nie wiem. Dziwny uśmiech, jak ona cała, nieruchomy taki, zastygły, jakby wieczny. Przydawał jej smutku. A może jednak to po prostu fakt, że zawsze tam była. Nieruchoma. Smukła. Smutna. Piękna.

Po jakimś czasie pod byle jakimi pretekstami wymykałem się sam z domu wieczorami i chodziłem nad tę plażę, aby na nią popatrzeć. Sprawdzić, czy stoi, czy nigdzie sobie nie poszła. Czy nadal potwierdza swoją dziwność, swoją nieruchomość, swoje bycie. Wymykam się. Chodzę...

To się dzieje cały czas, prawie codziennie, przecież tutaj mieszkam. Gorący morski wiatr owiewa mi głowę. Lubię to strasznie. Ten wiatr jest tutaj cały czas. On mnie chłodzi swoim gorącem. Uspokaja.

Potem zacząłem wychodzić z domu nocami. Szybkim, równym krokiem zmierzałem w kierunku plaży Silsila. To jakieś dwa kilometry ode mnie. Lubiłem te nocne spacery, bo wtedy bardzo wyraźnie przesuwały mi się przed oczami różne sceny z dzieciństwa, a to lubię najbardziej. Dochodziłem do murku oddzielającego plażę od bulwaru i sadowiłem się na nim zdyszany, wzrokiem szukając jej.

Prawie zawsze tam stała. W chłodnym świetle gwiazd i księżyca zdawała się jeszcze piękniejsza. Ach, jak ja lubiłem te nocne i wczesnoranne spacery do Silsili, aby popatrzeć przez chwilę na nią. Ustawiałem sobie budzik tak, aby obudzić się jakieś czterdzieści minut przed pierwszą modlitwą, zaspany myłem się ostrożnie w umywalce, aby strącić resztki snów i tak, aby nie pozatapiać małych muszek, które nie wiadomo dlaczego zawsze usadawiały się w umywalce o tej rannej porze, i w milczeniu szybkim, równym krokiem szedłem prawie pustym o tej porze bulwarem z głową pełną obrazków z dzieciństwa. Mówię „w milczeniu", bo ja bardzo często szepcę do siebie, kiedy chodzę. Ale idąc na spotkanie z nią, nic nie szeptałem, za to patrzyłem na półsenne jeszcze morze, pośród jego łagodnych fal widząc siebie zwisającego z trzepaka, w fajnych trampkach z Czechosłowacji, które przywiózł mi tata. Nic nie mówiłem wtedy, nic nie mruczałem pod nosem. Morze szeptało za mnie. Nadstawiałem ucha. Dziwne, dalekie, nierealne słowa. Po arabsku, grecku, hebrajsku, po polsku... po polsku...

No, a ona cały czas tam była. Stała nieruchoma, z przekrzywioną głową. Któregoś razu, to było za dnia, wziąłem ze sobą aparat, żeby jej zrobić zdjęcie, ale w momencie, kiedy przyłożyłem oko do aparatu i zobaczyłem jej smutny uśmiech, pomyślałem, że to byłoby zupełnie nie na miejscu. Że nieruchoma, płaska fotografia uczyniłaby ją martwą, odarłaby ją z jej piękności. Nie zrobiłem zdjęcia, nie.

Potem wracałem z plaży bulwarem, na którym już czasami rozstawiał swój ubogi kram Mamdouh, sprzedawca gorącej kukurydzy, potem

przechodziłem pod bulwarem podziemnym przejściem i zanurzałem się w pełne gorącego wiatru, wąskie, zaśmiecone uliczki mojego miasta. Tunele z ciepłym, uspokajającym powietrzem. Sharia Orfi koło baru Abu Rabiego, gdzie kupuję palące palce kulki falafelu i podwędzany sos z bakłażana, sharia Kottahia, gdzie jest moja kawiarenka Pod Lampą, w której palę sziszę i piję herbatę, sharia Fatma el-Youssef, gdzie na rogu jest chrześcijańska piekarnia, w której kupuję gorące bułki i ciastka z daktylami u niezwykle grubego piekarza, i gdzie za każdą wizytą wpadam w dziecinny wręcz zachwyt nad wiszącym na ścianie obrazem świętego Jerzego zabijającego smoka zakrwawionym mieczem. Wracam, codziennie wracam, prawie codziennie. Przecież tutaj mieszkam. To jest teraz moje miasto.

Obok piekarni, na ulicy Bur Said, jest mały meczet, w którym modliłem się pierwszą modlitwą salat al-fagr, wracając z plaży, gdzie stała ona. Abu Rabi i kafejka o tej porze były zamknięte, ale piekarz już działał. Kupowałem u niego chleb i jadłem go w drodze do meczetu. Był prawdziwy.

Piekarnia jest otwarta. Jem chleb i on jest prawdziwy. Modlę się. To wszystko się dzieje teraz.

Tuż obok jest mój dom. Tutaj zamieszkałem rok temu. Tutaj mieszkam. W Aleksandrii.

***

Na tyłach mojego domu stoi stara, zniszczona i opuszczona willa. Kiedyś, przechodząc obok, zauważyłem pod jej boczną ścianą mały krzaczek; z początku myślałem, że to chwasty, ale po uważnym przyjrzeniu się dostrzegłem na gałązkach krzaczka kilka małych zielonych owoców. To były pomidory, dzikie pomidory. Wróciłem do domu, napełniłem plastikową butelkę wodą, a potem zjechałem windą i podlałem troskliwie roślinkę. Na ścianie willi, obok drzwi wejściowych, dostrzegłem ledwo widoczne, zamazane napisy w greckim alfabecie.

*

Ten meczet był dziwnym miejscem. Było tam kilka rzeczy, które odróżniały go od innych meczetów. Pierwsza rzecz to mrówki. Wąskie strumyki malutkich czarnych stworzeń, które przesuwały się powoli i regularnie wzdłuż ścian meczetu, tam gdzie zielona, wytarta od tysięcy stóp wykładzina stykała się z murem. I na ścianach, wzdłuż kamiennych kolumn przytrzymujących strop. I na sufitach. To było najdziwniejsze: dlaczego mrówki wspinały się na sufit? Czego tam szukały? Jakie sprawy kazały tysiącom tych malutkich stworzeń przemierzać taką długą, z pewnością męczącą dla nich drogę, aby znaleźć się wiele metrów ponad podłogą, na sklepieniu meczetu, pośród kręcących się powoli i majestatycznie wielkich wiatraków chłodzących świątynię? Te wiatraki kręciły się powoli, rytmicznie, w ciszy. Rozrzucały na boki swoje skrzydła, jak ci kręcący się w kółko mężczyźni, których spotkałem kiedyś w dzielnicy Manszeja przed innym meczetem. Ich ręce też były skrzydłami. Ręce sufich.

Często przychodziłem do tego meczetu tylko po to, aby popatrzeć na te kręcące się powoli skrzydła wiatraków. No i na mrówki. Ich tajemnicze podróże po meczecie zajmowały moją wyobraźnię dniami i nocami. Myślałem o nich codziennie. Myślę o nich. Przecież tutaj jestem cały czas. Zacząłem przynosić do meczetu lornetkę Hasana. W plecaku, żeby nikt nie widział. Nie chciałem, żeby inni ludzie zwracali na mnie zbytnio uwagę. Co mogli sobie pomyśleć o cudzoziemcu, który przychodzi do meczetu, modli się, a potem siada w kącie, wyciąga z plecaka lornetkę i długo wpatruje się przez nią w ściany, podłogi i sufit. Dziwne; wiem, że to dziwne. Nie chciałem nikogo urazić.

Mrówki opasywały meczet siatką swoich strumieni. Cieniutką czarną siateczką swoich tajemnych wypraw od podłogi po sufit. Tworzyły jakąś kompozycję, obraz, strukturę. Byłem pewien, że nieprzypadkową. Wracałem do domu i próbowałem utrwalić na papierze ten obraz. Rysowałem wnętrze meczetu i zaznaczałem na planie szlaki mrówek. Dzień po dniu. Zgromadziłem całą kolekcję rysunków. Rozkładałem na stole kartki z zaznaczonymi trasami mrówek i próbowałem to odczytać, znaleźć

jakąś regułę, zasadę. Z czasem zacząłem zauważać pewne stałości w ich podróżach, pewne regularności zależne od pory dnia, a potem nawet od pogody; mrówki inaczej wędrowały, kiedy było gorąco, inaczej, kiedy padał deszcz, jeszcze inaczej, kiedy od morza wiał silny słony wiatr. Szkice mrówczych wypraw układały się jakby w znaki, tworzyły jakiś nieznany, tajemniczy alfabet, pismo. Pewnego wieczoru, pochylony nad dziesiątkami kartek, aż zatrząsłem się z radości: szlaki mrówek po raz pierwszy ułożyły mi się w słowo. Arabskie, krótkie słowo. Alfabet arabski jest bardzo obrazowy, tworzy figury o wiele bardziej wyraźne niż alfabet łaciński. Nie mogłem dojść do siebie, krążyłem po pokoju, raz po raz stając przed stołem, aby po raz kolejny odczytać to słowo, chociaż dobrze zdawałem sobie sprawę, że to mógł być przypadek. Chyba żeby się uspokoić, włączyłem radio – II program Polskiego Radia, mój jedyny kontakt ze współczesną Polską – i usłyszałem mszę Haydna. Wtedy zrozumiałem, że te mrówki piszą Księgę.

W tym meczecie mrówek była jeszcze jedna rzecz, która odróżniała go od innych meczetów: szepty. Tak, szepty, strumień szeptów płynący tuż nad podłogą, nad tą zieloną, wytartą wykładziną. To musiała być kwestia jakiejś specyficznej akustyki. Jest taki moment w muzułmańskiej modlitwie, kiedy modlący się dotykają czołem dywanu. Ta chwila trwa kilka sekund i wtedy to niektórzy wierni szybko szepcą swoje prośby do Boga. I właśnie w tym momencie to słyszałem: te niesamowicie szybkie, przepojone smutkiem, błagalne szepty. Rozpaczliwe prośby pochylonych obok mnie ludzi. Tak, prawdopodobnie akustyka meczetu powodowała, że w momencie dotknięcia czołem dywanu szepty proszących stawały się słyszalne dla innych. Ale niewykluczone, że może tylko dla mnie. Tego nie wiem. Czy ktoś słyszał moje szepty? Jeżeli tak, to i tak ich przecież nie mógł zrozumieć. Ja szepcę po polsku. Zawsze.

Rzeka próśb. Odczuwałem wtedy, jakby naokoło mnie były same małe dzieci. Takie właśnie odnosiłem wrażenie. Czułem absolutną niewinność i bezradność w szeptach tych dorosłych mężczyzn dotykających czołami wykładziny w meczecie mrówek. Dzieci tak proszą, kiedy strasznie czegoś chcą, kiedy strasznie czegoś pragną, kiedy płaczą.

To było niesamowite, docierały do mnie poszczególne słowa tych męsko-dziecięcych inwokacji. Słyszałem nazwy różnych chorób, imiona ludzi, sumy pieniędzy, słyszałem prośby o zdrowie czyichś matek, ojców, dzieci, prośby o szczęście, pomyślność, miłość, o raj, ale przede wszystkim słyszałem powtarzające się cały czas słowo *mut*, śmierć.

Mut, mut... tak, to słowo padało najczęściej, przebijało się nad wszystkie inne, wznosiło się ponad pochylonymi głowami mężczyzn, kładło się delikatnie na ich kręconych czarnych włosach, a potem wznosiło się powoli i majestatycznie w stronę jednostajnie wirujących, milczących skrzydeł wiatraków. Tak uczyłem się arabskiego.

Przekręcałem lekko głowę i kątem oka widziałem głowę pochylonego obok mnie mężczyzny, jego szepcące usta, a ponad nim delikatną, cieniutką, eteryczną siateczkę mrówek opasującą meczet. Pisały, cały czas pisały.

***

Była jeszcze jedna tajemnicza rzecz związana z tym meczetem mrówek na sharia Bur Said. Nie wiem, czy owa rzecz była tam zawsze, to znaczy od czasu, kiedy zamieszkałem w Aleksandrii, czy pojawiła się dopiero potem, ale ta rzecz zaważyła na całej tej książce. Pamiętam tylko ten deszczowy, wietrzny dzień, kiedy wychodząc z meczetu, ściskając w dłoni kartkę z kolejnym rysunkiem mrówek, zwróciłem na nią uwagę. Zapadał zmierzch, było już prawie ciemno, uwagę moją przykuł dziwny poblask na ścianie między meczetem a sklepem z lampami. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś refleks, odblask padający z latarni ulicznej, odbijający się na mokrej ścianie. Ale że ja zwracam uwagę na wszelkie refleksy świetlne i blaski – światło od lat mnie fascynuje – zadałem sobie trud przeskoczenia ogromnej kałuży – do której jednak i tak wpadłem po kostki i cały mokry stanąłem w miejscu, gdzie na piaskowej ścianie był ów świecący punkt.

To była strzałka. Nieduża, kilkucentymetrowa strzałka, namalowana srebrną farbą. Taką fosforyzującą w ciemności. Zaintrygowało mnie, że

strzałka jest namalowana bardzo precyzyjnie, chyba z użyciem szablonu, prawdopodobnie sprayem. W miastach, na murach i chodnikach, jest dużo takich dziwnych, niezrozumiałych znaków. Jakieś symbole, kompilacje cyfr i liter, numery, krzyżyki, strzałki. Jeżeli nie są to bazgroły dzieci ani graficiarzy, to są to przeważnie informacje i kody dla gazowników, elektryków, pracowników wodociągów. Nierzucające się w oczy pismo miasta, dyskretnie ukryte w cieniu reklam i plakatów. Na co dzień nikt na to nie zwraca uwagi; wszyscy czytają tylko krzyczące zewsząd pismo reklamy i ogłoszeń. No właśnie, takie kody służb miejskich są przeważnie rzucone na mury i trotuary szybko i od niechcenia. Tak bazgrolaście raczej niż geometrycznie dokładnie. Kierują wtajemniczonych do najbliższego zaworu z wodą, kanału czy skrzynki z prądem. Ale nie są to fosforyzujące, geometryczne, świecące w nocy strzałki. Ta akurat wskazywała na zachód. Zrobiłem jej zdjęcie telefonem komórkowym i postanowiłem pójść jej śladem, jak tylko poprawi się pogoda.

***

Pamiętam, kiedy podjąłem decyzję, że przeniosę się z Hasanem do Egiptu na stałe. To było w dniu, kiedy w gazecie znalazłem zdjęcie chłopczyka zakatowanego na śmierć przez swoich pijanych rodziców. To było kolejne morderstwo małego dziecka w Polsce dokonane przez dorosłych. Co miesiąc nowe zakatowane, uduszone, utopione dziecko, co miesiąc, a może częściej. Wtedy, patrząc na to potworne zdjęcie, którego już nigdy nie zapomnę, postanowiłem, że wyjadę z Polski. O, tak właśnie. Może jeszcze do tego tematu wrócę. Wiem, że Ciebie to interesuje; prawda?

Teraz jestem w Aleksandrii, jest wczesny poranek, wróciłem właśnie ze spaceru na plażę Silsila. Tak, była; stoi tam cały czas. Może trochę dalej od wieży ratownika, ale cały czas tam jest. Podnoszę z ulicy litrową ubłoconą butelkę po fancie, napełniam ją wodą z kranu przed meczetem i idę do opuszczonej willi podlać dzikie pomidory.

Potem otwieram na oścież drzwi tarasu i oparty o barierkę ogarniam wzrokiem moją nową ojczyznę. Morze Śródziemne – il-Bahr al-Mutawassit – skrzy się w świeżym jeszcze, ciepłym jak brzuszek zaspanego kota, łagodnym porannym słońcu. W nozdrza uderza intensywny zapach gnijących glonów. Około południa zapach zniknie, aby powrócić z całą siłą późnym wieczorem lub nocą, łącząc się z zapachem smażonego na oliwie czosnku i świeżej kolendry. Lubię tę nutę, uspokaja mnie. W Prowansji nazywa się czosnek przyjacielem człowieka. Zaprawdę, piękne określenie.

W oknie naprzeciwko tańczy dziewczyna z Sudanu. Tak, w domu naprzeciw, niewysokim, pokrytym łuszczącą się farbą i kilogramami łopoczącego na wietrze kolorowego prania, mieszka rodzina z Sudanu; grają często z magnetofonu muzykę ze swojego kraju. Głośno, przy szeroko otwartych oknach, jak to często ludzie tutaj. To przepiękne, zniewalające rytmy. Kołyszące, pulsujące, szybkie, ale jednocześnie niezwykle delikatne. A ponad nimi głos śpiewaka, drżący, przepojony uczuciem głos starszego mężczyzny, któremu raz po raz odpowiadają dziewczęce chórki. Czuć w ich głosach szczerość, ufność i nadchodzące macierzyństwo.

Ta dziewczyna nie ma więcej niż siedemnaście lat. Tańczy przed samym oknem. Przeważnie wieczorami, kiedy moja ulica mocno pachnie, ale czasem także rankami, tak jak dzisiaj właśnie.

Dziewczyna śpiewa wysokim głosem razem ze starym pieśniarzem i śmieje się do mnie, potrząsając srebrnymi bransoletkami, podzwaniającymi na jej szczupłych, czarnych jak sudańska noc, rękach. Za jej plecami miga mi szafa na wysoki połysk i makatka z Mekką. Czasami na szafie siedzi duży biały kot i wpatruje się w tańczącą dziewczynę. Ona ma na imię Rania. Wykrzyczała to imię kiedyś do mnie, wskazując na siebie. To jest zmysłowość nie do podrobienia.

Dziewczyna jest w hidżabie. Czasem spotykam ją na ulicy. Nosi czarne przeciwsłoneczne okulary w srebrnych oprawkach i złote buty na wysokim, chudym obcasie. Jej suknia jest za to śnieżnobiała. Chichocze do komórki, kiwając do mnie od niechcenia dłonią. Na piersi ma ciężki

srebrny wisior. Wygląda jak przepiękny ptak na mojej zaśmieconej ulicy, gdzie co rano zmęczeni sprzedawcy gazu uderzają rytmicznie francuskimi kluczami w niesione na ramionach ciężkie butle.

Wypijam kawę z kardamonem z malutkiej filiżanki. Moje serce zaczyna mocniej bić, moje serce budzi się, moje serce zaczyna dzień. Szumią samochody na nadmorskim bulwarze. Aleksandria po arabsku to al-Iskanderija.

Hasan już pojechał do szkoły. Łyżeczką wygrzebuję ze słoika dżem o smaku mango, gryząc kawałek chleba od grubego piekarza. Czuję na języku jego ciepło i lekko słodkawy smak. Jest prawdziwy. Na morzu pojawiają się, jedna za drugą, pstrokato pomalowane łódki rybaków wypływających co rano po ośmiornice i krewetki. Jak kwiaty. Jak co rano. Otwieram Księgę Edmonda Jabesa i czytam:

Dzień był wyjątkowo upalny; niebo było ogromnym uderzeniem skrzydeł, a cień czołgał się u ich stóp, jak zraniony ptak wielkich przestworzy. (2/145)

Kardamon miesza się z mango i słodkością chleba. Zaraz muszę wyjść z domu. Muszę iść na miasto do mojej pracy. Muszę iść w stronę wskazaną przez błyszczącą srebrną strzałkę. Kto ją namalował na murze meczetu mrówek? Tak, zapowiada się wyjątkowo upalny dzień. Rania nie przestaje tańczyć. Morze skrzy się i pachnie glonami.

***

Oczywiście, że liczyłem się z tym, że ta strzałka może prowadzić donikąd i nic nie znaczyć. Ale czy to w sumie ważne? I tak, jak co dzień, poszedłbym przed siebie tymi ulicami o krzywych, zaśmieconych chodnikach, które muszę dogłębnie poznać, aby zadomowić się i poczuć jak u siebie, w tym nieznanym mi jeszcze gorącym, pachnącym labiryncie. Robię to codziennie. To jest moja praca. Chodzenie i patrzenie.

Zatrzymywanie się i wpatrywanie w jakiś punkt, detal, w kawałek muru czy zamazany napis na ścianie domu. Czasami siedzenie w kafejce przy kawie i sziszy, łapanie oddechu, łapanie czasu, życia. Patrzenie. Słuchanie. Wchłanianie. Mam na sobie lekki chiński garnitur w prążki z supermarketu, czarne okulary i aktówkę mojego taty pod pachą. Teczka jest z 1976 roku. Brązowa, bardzo brzydka, czyli niezwykle piękna, z żółtym napisem *Kablobeton – przedsiębiorstwo budowlane* na boku. To jest właśnie rzecz prawdziwa.

Al-Iskanderija. Muszę ją uczynić. To długa droga, ciężka praca.

Tak, strzałka wskazywała na zachód, w tę stronę też się udałem.

Pierwsze moje wrażenie z miasta to było zawsze poczucie zagęszczenia. Zagęszczenie i nawarstwienie ludzi, rzeczy, dziejących się zdarzeń. Architektura ściśnięta, chaotyczna, kształty przenikające się i wchodzące na siebie. Przypomina mi to trochę ciasto drożdżowe, ale jeszcze bardziej jakąś monstrualną termitierę. Zabudowa jakby w nieustannym ruchu, żywa, pulsująca. Domy rozpierające się na boki, wypinające swoje rozlane kamienne brzuchy, obwisłe z tyłu, od strony zapyziałych podwórek, pełnych kotów i ich moczu, pełnych miednic z praniem i plecionych pustych krzesełek. Stare, przepięknie obdrapane kamienice: arabskie, greckie, żydowskie, tureckie pozlepiane z nowymi apartamentowcami o pięknych orientalnych elewacjach, złączone z niskimi, masywnymi budynkami trochę w bauhausowskim, przedwojennym stylu, czule objęte z betonowymi pudełkami jak z gierkowskiej polskiej prowincji i z przeróżnymi tworami architektonicznymi nieprzypominającymi żadnego znanego stylu, czasami nieprzypominające w ogóle architektury tylko sen. Wszystko oplecione pajęczyną kabli, sznurów z łopoczącym praniem i tysiącami hub satelitarnych anten. Piękne. Jak senny obraz erotyczny.

Zanurzam się w siatkę ulic, które momentami do złudzenia przypominają mi stary warszawski Mokotów. Słońce jest ostre jak buchający piec, ale jego żar chłodzony jest morskim wiatrem. Znakomite warunki do pływania w przestrzeni. Czarne okulary swędzą mnie lekko

za uszami. Dokładnie tak. I lekko, leciutko, tuż nad chodnikiem płynę przed siebie w chińskim garniturze, z peerelowską aktówką pod pachą. Czuję się swoim własnym obrazem, czuję się nieostrym lustrem, czuję się prawdziwy. Sharia al-Chadeed Mowafah Abbas Hatatah przez chwilę zdaje mi się Willową albo Słoneczną, ale tylko przez chwilę, przez krótką chwilę; między domy ze starymi, zaśniedziałymi tabliczkami z greckimi i francuskimi napisami wcisnął się mały meczet. *Masgid al-warda,* meczet-kwiat, odczytuję jego nazwę, wymalowaną pod dużą, kiczowatą lampą o kształcie przejmująco pięknej róży. Z meczetu wychodzi starszy mężczyzna w białym zawoju na głowie, z którego wystają dwa papierosy, i bez słowa wręcza mi kawałek chleba. Chleb po arabsku to *aijsz*, ale to słowo oznacza również życie. Tu się wręcza *aijsz* nieznajomym, to nic dziwnego tutaj, to bardzo stary zwyczaj.

Nie, to nie Mokotów, nie ma tu mojej babci i jej sióstr. Są za to kobiety o grubych, naznaczonych żylakami i okrytych czarnymi pocerowanymi pończochami nogach. Spod czarnych chustek wystają siwe włosy, plastikowe spinki i rolki papilotów. Kobiety noszą czarne, pokryte kurzem, krzywe buty. Mają śniade twarze, ręce pokryte wątrobianymi plamkami i drewniane krzyże na piersiach. Całe odziane są w czerń, chociaż czasami buty bywają brązowe. To aleksandryjskie Greczynki. Takie kobiety spotkać można od Lizbony po Bejrut. To Kobieta Śródziemnomorska. Jej niska, korpulentna, kołysząca się na boki postać też powoduje u mnie zawsze rodzaj sennego uspokojenia. Przywołuje cienie obrazów Giorgia Chirica, kobiecych dłoni tłustych od oliwy kapiącej ze smażonych bakłażanów, milczący, metafizyczny upał południa i czyjąś skórę pachnącą czosnkiem. Te kobiety mają w sobie bardzo wyraźnie wyczuwalny *aijsz* i dużo srebrnych zębów. Chodzą ciężko po popękanych chodnikach, omijając wystawione na zewnątrz dziurawe worki ze śmieciami, które w tym mieście natychmiast padają łupem stad półdzikich kotów. Koty, tłukąc się między sobą, rozwłóczają resztki jedzenia po chodnikach i ulicy, uciekając z co lepszymi kawałkami pod samochody. Ostrożnie omijam rybie głowy, kartoflane łupiny i kurczacze kości. Nigdy nie śmiem kopać tych resztek, nigdy nie kopnę czyjegoś posiłku. Chodnik jest tłusty od jedzenia i od kapiącej wszędzie – z pełnych prania balkonów

– wody z proszkiem. Pod murami, na gazetach plastikowe pudełka po makaronie *koszari* wypełnione jedzeniem dla kotów. Koty jedzą, ludzie jedzą, *aijsz, aijsz*...

Greczynki ściskają w dłoniach podniszczone złote torebki i siatki pełne bagietek i liści *molokheji* na wieczorną zupę. Podnoszę wzrok tak, jakbym poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Tak, patrzą na mnie te ciężkie grecko-arabskie domy. One mają dusze i stare serca. Jak wszystkie domy przecież.

Wpatrują się we mnie nieruchomymi oczyma swoich zielonych okiennic, jakby pragnąc poznać moje intencje. Jestem tutaj nowy, one to wiedzą, widzą, czują to. Patrzą na mnie ciężkie od wspomnień i historii zapisanych na zawsze w ich chłodnych, mrocznych pomieszczeniach i stylowych klatkach schodowych przesiąkniętych zapachami cebuli i anyżku, dalekimi dźwiękami rebetiko i dymem papierosów Dimitrino. Lewantyjskie, przysadziste jak te stare kobiety, kamienice z dyskretnymi dekoracjami w stylu Salonik i à la art déco, kamienice-kobiety z wysokimi żelaznymi, pięknie inkrustowanymi bramami, za którymi dostrzegam alabaster schodów i marmury wąskich klatek prowadzących do malutkich, dwuosobowych wind, przed którymi za zniszczonymi biurkami przysypiają wąsaci *bawwabowie,* dozorcy. Tu wszędzie są dozorcy. Zazwyczaj mieszkają w oficynie z całymi rodzinami. Ich bose, umorusane dzieci bawią się przed kamienicami, śmiejąc się do przechodniów, wymachując chińskimi zabawkami albo dźwigając w swoich malutkich dłoniach wielkie plastikowe torby wypełnione plackami i chlebem. Wszyscy do wszystkiego jedzą tutaj chleb.

Chleb po arabsku to *aijsz*, to słowo oznacza również życie – zapamiętałeś to?

Zapach pieczonego chleba jest w tym mieście na każdym kroku, oplata mnie całego, powodując, że czuję się dobrze, tak jak w oparach nocnych i porannych glonów. Jak w towarzystwie tych starych, korpulentnych kobiet śródziemnomorskich – czarnych, trochę złośliwych ptaków, kraczących co rano pod oknami. Bardzo dobrze. Jest coś dobrego w zapachu pieczonego chleba, podobnie jak w zapachu kociego moczu i czosnku. To dzieciństwo, to bezpieczeństwo, pokój, dom.

Z radia, gdzieś z daleka, gdzieś zza tych zielonych drewnianych oczu kamienic, dobiega z głośników drżący głos. To głos Oum Kalsoum, najpiękniejszy głos nad il-Bahar Mediterran: *Ya misafir wahdak wa fayatni le tabbaid anni wa teżeghlelni*... Och, samotny podróżniku, który mnie mijasz, nieważne jest, jak daleko jesteśmy od siebie, moje serce jest niezmienne, będę cię zawsze pamiętać, jeśli tylko ty nie zapomnisz mnie...

Ktoś przypalił czosnek na oliwie, o Boże, jak pięknie, jak pięknie. Opieram się o mur i wdycham przypaleniznę, pośpiesznie, zanim rozwieje ją ciepły, słonawy wiatr od Hama Hatikhon. Narkotyki, umyte dusze. Na murze żółtego domu po drugiej stronie ulicy, nad samym śmietnikiem, dostrzegam kolejną srebrną strzałkę. A więc wszystko gra. Śpiewają kamienice na Mokotowie.

Przeszedłem na drugą stronę i stanąłem przed śmietnikiem. Tak, taka sama strzałka. Wyjąłem z teczki miarkę i zmierzyłem ją – miała dokładnie dziewięć centymetrów. Potem komórką zrobiłem jej zdjęcie i umieściłem w galerii. Próbowałem doszukać się pewnych podobieństw umiejscowienia tej strzałki i poprzedniej. Tam był meczet i sklep z lampami, tutaj zaś po prostu pusta ściana ze stojącym tuż obok śmietnikiem. Rozejrzałem się dookoła... Nie, nic specjalnego, róg sharia Memphis i sharia Omar Zafane. Stoisko z *fulem*, gotowanym bobem, kiosk z chipsami i coca-colą, Sourp Krikor Lousavoritch Armenian Apostolic Church z bramą ozdobioną palmowymi gałązkami, zdezelowany, pokryty grubą warstwą kurzu fiat 500 z czasów młodości Marcella Mastroianniego, stare połamane krzesło... no, proza egipska.

Obok strzałki na ścianie był namalowany czerwono-żółtą farbą duży chiński znak. Zapewne drogowskaz do znajdującego się kilkadziesiąt metrów dalej chińskiego centrum handlowego. Drogowskaz dla Chińczyków tylko oczywiście. Jest ich w Aleksandrii coraz więcej, co mnie bardzo cieszy, bo kosmopolityzują jeszcze bardziej to miasto o tylu twarzach Innego. Ale ten chiński znak, mimo swojej oczywistej, narzucającej się tajemniczości, nic tutaj do tematu nie miał, czułem to.

I zaraz potem mój wzrok padł na stojącą obok latarnię. Tak, od razu zrozumiałem, że to latarnia. Ta strzałka, podobnie jak tamta, ulokowana

była w cieniu, a właściwie w świetle latarni. Następna latarnia była dopiero za jakieś dwadzieścia metrów. To chyba był znak, że trzeba iść śladami strzałek wieczorem i nocą. Strzałki migoczą srebrzyście właśnie w świetle latarni, wskazując dokądś drogę. Aż zatrząsłem się z podniecenia tą rewelacją, którą wymyśliłem w ułamku sekundy w cieniu śmietnika, z którego wystawał brudny łeb chudego kota nakryty pudełkiem po pizzy.

– Tak? – zapytałem kota.

– Tak – odpowiedział kot i kiwnął lekko ubłoconą głową.

Miałem więc szczęście, że dostrzegłem strzałkę w świetle dziennym. Mogłem iść jej śladem nocami, to miasto jest bardzo bezpieczne, nie ma tu przestępców, ale wolałem spróbować za dnia. Nocami pracuję na balkonie, oglądając stare polskie filmy, wsłuchując się w szum morza i w dźwięki muzyki spływającej z okien.

Strzałka wskazywała tym razem lekko na północ, w stronę dzielnicy Ibrahimija. Ruszyłem niespiesznym krokiem. Z tyłu zostawał przypalony czosnek i Oum Kalsoum. Przypomniałem sobie wtedy, że ona zawsze występowała z jedwabną chusteczką w dłoni. Nigdy nie powiedziała dlaczego.

W mojej aktówce oprócz komórki i miarki miałem jeszcze aparat fotograficzny, malutki dyktafon, notes, długopis i książkę Edmonda Jabesa. Czy powinienem napisać, kto to jest Edmond Jabes?

To powinno być kilka szybkich zdań. Takie akty strzeliste. Najlepiej z okładki. I tak właśnie będzie. Wyciągnę tylko z aktówki książkę i dyktafon, o:

Edmond Jabes, żydowski pisarz i teozof piszący po francusku; urodził się w Kairze w 1912 r. Do 1967 mieszkał w Aleksandrii, mieście, którego duchowy klimat, przesycony żywą tradycją filozoficznych sporów, Kabały i myśli gnostyckiej pozostawił znaczący ślad w jego twórczości...

Nagrałem i zapisałem ten tekst. Teraz sam rozumiesz, Ty, który to czytasz.

Kiedy dotknąłem po raz pierwszy brązowej okładki jego książki w małej księgarni na ulicy Foksal w Warszawie i przeczytałem ten

tekst, wiedziałem, że to jest dla mnie znak. Że to więcej niż znak, to przypalony czosnek na oliwie. Więcej: że to przypalony czosnek na oliwie zmieszanej ze świeżą kolendrą i pomidorami. *Ta'lya* – tak to się nazywa po arabsku.

Teraz oparłem czoło o chłodny mur i kartkowałem Księgę Jukiela, I Księgę Jabesa. Jest ich siedem. Śmietnik śmierdział upałem i zgnilizną. Kot z pizzą na głowie zniknął w jego czeluściach. Jabes pisał:

Gdy będąc dzieckiem, pierwszy raz napisałem me imię, uświadomiłem sobie, że rozpoczynam księgę. (I/wstęp)

Przechodząca obok mała dziewczynka z tornistrem w kształcie myszki głośno kichnęła i w tym samym momencie padające promienie słoneczne rozświetliły jej okrągłe kolczyki w uszach i dwa gile w nosie.

Czytam Jabesa w oparach śmietnika, pod murem ze strzałką, kiwając się w przód i w tył, w przód i w tył, w przód i w tył... *aijsz, aijsz*...

***

Stanąłem przed centrum chińskim. Czasami tam zaglądam w poszukiwaniu tandety, którą lubię zakładać na siebie, tak jak ten garnitur, nabyty jednak jeszcze w warszawskim Leclercu albo w czymś podobnym. Lubię nosić tanie ubrania, najchętniej cudze, po kimś. Lubię rzeczy znoszone, przeżyte, historyczne, tak jak zniszczone, porwane, zatłuszczone książki. Takie książki darzę czcią i miłością.

Lubię też po prostu krążyć po tym wielkim, krytym targowisku, oglądając stosy pstrokatych ciuchów i plastikowych przedmiotów jednorazowego użytku. Handlują tu całe chińskie rodziny, wszyscy mówią po arabsku, mało kto po angielsku. Przyglądam się zapracowanym Chińczykom, tym przyszłym władcom świata, próbuję ich ogarnąć, odczytać. Są niezwykli w swoich zdolnościach do przystosowywania się. Przynajmniej zewnętrznie. Pamiętam takie same centra w Senegalu i Ghanie. Chińczycy – niczym jakieś orientalne Zeligi – zdawali mi

się tam żółtymi Murzynami. Pamiętam ich miękkie ruchy, pstrykanie palcami, gardłowe – zupełnie nie chińskie – pohukiwania w wolof czy akan, i ich wesoło błyszczące oczy spoza stosów galabii i boubousów, długich powłóczystych szat, noszonych przez Afrykanów. Wszystkie oczywiście uszyte w Chinach. Tutaj, w Aleksandrii, ci niewysocy, żółci, uśmiechnięci ludzie piją kawę z kardamonem, jedzą falafel z szawarmą, pociągając od niechcenia z fajek wodnych. Ale ich oczy, ich oczy są jakby daleko stąd, gdzieś indziej, w innym świecie...

Nie wiem, co to za świat, prawie nic nie wiem na temat Chin, nigdy tam nie byłem, za mało czytałem i mimo iż chińska filozofia fascynuje mnie – wielokrotnie sięgałem po Konfucjusza i Laozi – uważam, że wiem stanowczo za mało, aby wydać jakiś sensowny osąd. Mam w swoich zbiorach I tom „Dzieł zebranych" Mao Tse-tunga i poezję chińską. Czytam to, ale mało rozumiem. Ciągle za mało. Jest w tym coś ulotnego, sennego, eterycznego, coś jak padający za oknem tropikalny deszcz, wybijający o bambusowy dach jakąś tajemniczą melodię. Jeszcze jej nie słyszę. Jeszcze jest za daleko ode mnie. Jeszcze.

Oprócz jednej czy dwóch drogich chińskich knajp w centrum nie ma w moim mieście chińskiego jedzenia, a przecież te smaki zawsze jadą w świat razem z żółtymi ludźmi. Były w czarnej Afryce; jadałem tam kurczaka po kantońsku z fufu, kleistą pastą z manioku. Ale tu nie. Tu się nie sprzeda. Arabowie są niezmiernie przywiązani do swojej kuchni, to część ich życia. Tak, jak Chińczycy do swojej. Trafiła tutaj kosa na kamień, jak to się mówi. Obok mojego domu mieszka grupa Chińczyków, którzy co rano wychodzą na ulice objuczeni torbami z ubraniami, zmierzając do swojego centrum handlowego. Zawsze mnie pozdrawiają, jak tylko wpadniemy na siebie. Jest to to charakterystyczne pozdrowienie cudzoziemców między sobą na neutralnej ziemi. Zawsze pierwsi starają się kiwnąć mi dłonią albo głową. Ich ciche kobiety chodzą zawsze skromnie ubrane, szybko stawiając swoje drobne stopy w plastikowych sandałkach. Nigdy nie odsłaniają ciała, w przeciwieństwie do nielicznych tutaj turystek z Europy, krzykliwych i pełnych pretensji do dziurawych chodników i śmieci na ulicy. Małe Chinki z daleka przypominają Egipcjanki. Czasami wieczorami do arabskich zapachów fulu i smażonego

mięsa wdziera się zapach sojowego sosu i smażonych warzyw, co mnie bardzo cieszy, bo czuję wtedy, że mój kosmopolityczny świat Innego jest bliżej mnie.

W chińskim centrum nie ma kurczaka po kantońsku, za to często gra chińska muzyka. Czasami, tak jak teraz, zatrzymuję się przed wejściem i nie wchodzę do środka, tylko przez chwilę słucham sentymentalnych, piszczących kobiecych głosów, płynących na tej dziwnej muzycznej skali, podobno najstarszej na świecie.

Niektórzy Chińczycy, siedząc na muzułmańskich modlitewnych dywanikach, palą małe świeczki i kadzidła przed ceramicznymi figurkami grubego Buddy. Nie narzucają się z tym jednak nikomu. Są dyskretni, osobni, wewnętrzni. Liczą egipskie funty, nie odrywając komórek od uszu, błyskawicznymi ruchami wrzucając pałeczkami falafel do ust. Zawsze są rozpromienieni i chętni do zrobienia interesu. Kłaniają się uprzejmie, godzinami prezentując swoje towary egipskim kobietom, nie okazując przy tym cienia zniecierpliwienia. Niektórzy, znużeni pracą i upałem, przysypiają czasami na polówkach rozstawionych między górami ubrań, plastikowych zabawek i miedzianych czajniczków na herbatę.

Patrzę na nich i czytam Jabesa:

„Obserwuj ludzi – mówił rabi Matias. – Są studniami odpędzonymi od wody. Kiedy ich krok staje się bardziej ociężały, znaczy to, że odnaleźli swoją ziemię”. (1/93)

Jest już bardzo gorąco. Wyjmuję ze stojącej przed sklepikiem na ulicy lodówki puszkę coca-coli i piję, wpatrując się w ulicę. Szukam czegoś, co będzie warte zatrzymania rzeczywistości na krótką chwilę. O, i już jest; w tym świecie rzeczywistość dzieje się, staje się i mnoży w niesłychanym tempie. To nie jest chłodna, wyważona i zaplanowana stateczna rzeczywistość europejska, to jest rosnące ciągle i puchnące ciasto drożdżowe. Moją uwagę przyciąga postać staruszka siedzącego na trzecim piętrze domu zaraz za chińskim centrum. Piłem coca-colę stosunkowo długo, bo była przeraźliwie zimna – nie chciałem stracić głosu – co najmniej

pięć minut, a starzec, wpatrzony w przestrzeń przed sobą, ani razu się nie poruszył. Patrzyłem na niego, przechylając puszkę do ust. Nie drgnął nawet, gdy na ulicy stuknęły się lekko dwa samochody i kierowcy podnieśli straszny wrzask. Wszyscy zwrócili w ich stronę swoje oblicza, a on nie. Siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym gdzieś bardzo daleko. Nie, nie spał, jego otoczone czarnymi workami oczy były otwarte. Usta chyba lekko się poruszały. Mógł być głuchy. Obok niego na balkonie stał kwiat w doniczce. Zielony, nieduży krzaczek, lekko już uschnięty. Czy ktoś pamięta o tej roślince? Dyskretnie wyciągnąłem z aktówki komórkę i zrobiłem starcowi zdjęcie. Potem usiadłem na krawężniku i w notesie zapisałem to wydarzenie, żeby nie zapomnieć. Przez jakąś minutę nagrywałem dyktafonem szum ulicy i śmiechy Chińczyków. Leniwym truchtem minął mnie wielki pomarańczowy karaluch – *spécialité* mojego miasta. Jemu też zrobiłem zdjęcie. Wieczorami i nocami, siedząc na tarasie, robię obrachunki dnia, przeglądając zapiski z notesu, kartki z tajemnymi szlakami mrówek z meczetu, pomięte bilety tramwajowe i zdjęcia. Słucham też z dyktafonu odgłosów miasta. Lubię dyktafon, bo w przeciwieństwie do zdjęć i notatek, nigdy nie pamiętam miejsc, gdzie dokonałem nagrań. Jest tylko szum miasta. Wszystko zlewa się w jedną całość. Muzyka konkretna.

Zbiera mi się coraz więcej dokumentów, zaczynam zakładać teczki, zgrywam zdjęcia na dyskietki, a nagrania z dyktafonu na komputer, segreguję notatki, przez lupę oglądam różne zniesione do domu przedmioty: koraliki, kamyki, sznurki, skrawki gazet, szpilki, guziki… Czasami pracuję całą noc, do pierwszego azanu, a potem szybkim, równym krokiem zmierzam na plażę Silsila, żeby zobaczyć, czy ona ciągle tam jest. O tej porze pachnie chleb, o tej porze podlewam w ciszy dzikie pomidory pod grecką willą. Muszę uczynić to miasto.

Tak, mam aparat. Dobry, japoński aparat. Na początku robiłem nim zdjęcia, ale kiedy je potem oglądałem na tarasie, szybko pojąłem, że posiadam cudowną nieumiejętność robienia zdjęć w sensie artystycznym. Poza tym zawsze krępuję się, robiąc ludziom zdjęcia. Posiadam

tę właśnie nieumiejętność. Przez jakiś czas postanowiłem nie wsadzać aparatu do aktówki, a zdjęcia robić tylko komórką, co jest szybkie i nieporównywalnie bardziej dyskretne. Udaję po prostu, że zamierzam rozmawiać, coś tam majstruję w telefoniku, przykładam go szybciutko do oka i zaraz potem mam zdjęcie. Nikt nic nie widzi.

Ale któregoś dnia jednak wróciłem do mojego aparatu, bo wpadłem na pomysł robienia zdjęć bez patrzenia w obiektyw. Zdjęcia z aparatu są jednak nieporównywalnie bardziej zdjęciami niż obrazy z komórki. Uznałem, że miasto jest przecież wszędzie i że tak samo ważny jest staruszek na balkonie, mężczyźni palący sziszę czy Chińczyk z falafelem, tłusta plama na ścianie, kawałek odpadającego tynku czy rozjechana na ulicy torebka arusy, egipskiej herbaty. Świetnie udają mi się też zdjęcia śmietników, zdjęcia niewyraźnych, chropowatych struktur na murach, fotografie kawałków czegokolwiek, kogokolwiek i niczego. Jednym z moich sztandarowych zdjęć czyniących miasto jest rozmazana fotografia czegoś, co nie wiem, czym jest. Często wpatruję się w to zdjęcie. Nie pamiętam, kiedy je zrobiłem, to tym bardziej mnie przybliża do tej fotografii. Jest na niej jakby kawałek muru, urwana rura, cień ptaka, który może też być kawałkiem starej reklamówki, malutka kulka, może koralik, trochę odbitego światła i coś, co przypomina zepsuty aparat telefoniczny albo respirator. Wszystko dalekie i nieostre. Bardzo lubię to zdjęcie.

Rzuciłem jeszcze okiem na starca na balkonie – trwał nieporuszony – i ruszyłem dalej, w stronę Ibrahimii.

***

Mistycyzm kryje się w tych murach. Czuję to na każdym kroku. On pulsuje jak krew w skroniach. Dotykam porowatych ścian, zrywając łuski starej farby, która pod sobą kryje kolejną warstwę. Wyjmuję z kieszeni klucze do mieszkania i przy ich pomocy drapię dalej, drążę mur, drążę czas. Pojawiają się kolejne wyblakłe warstwy, kolejne historie miasta; czuję wokół uspokajającą woń kociego moczu, morze i nagły, mocny

zapach palonego kadzidła. Obok mnie przemyka mężczyzna z twarzą przesłoniętą chustą, trzymając w dłoni srebrną kadzielnicę, z której wydobywają się kłęby ostro pachnącego dymu. To *mbakharati*, okadzacz, profesja w Egipcie stara jak te kamienice, a może jeszcze starsza. Tacy mężczyźni krążą po mieście, okadzając ulice i pomieszczenia tym dymem, który odpędza złe byty. Okadzacz zatrzymuje się przede mną, rytmicznie recytując wersety z Koranu. Przez zawoje czarnej chusty widzę jego błyszczące oczy i kawałek tatuażu na czole; musi pochodzić z Nubii albo z Sudanu, w dolnym Egipcie nikt się nie tatuuje. Wciskam mu w dłoń pół funta, przez sekundę czując porowatość jego skóry, twardej i spękanej jak mury Aleksandrii. Potem powracam do skrobania ściany, myśląc o tych innych śniadych, popękanych dłoniach, które trzymały pędzle, dawno, dawno temu, kiedy jeszcze nie było mnie na tym świecie. Mam wrażenie, jakbym spał na stojąco, chociaż jestem wyspany. To jest bardzo przyjemne odczucie. Myślę o dłoniach zapomnianych mężczyzn, o Jabesie i o falafelu z sosem bakłażanowym, który krąży coraz bliżej mnie, też dopominając się swojego udziału w literaturze. Oum Kalsoum już milczy. Milczą zielone oczy kamienic na Mokotowie. Milczy misafir, samotny podróżnik. Jest bardzo gorąco.

Mała, srebrna strzałka.

Minąłem sharia al-Iskander el-Kibir, ulicę Aleksandra Wielkiego, przy której znajduje się jeden ze sklepów Ahmada Hassanija, sieci cukierni sprzedających z ogromnych blach kilka rodzajów ciasta, krojonego i dzielonego na kawałki. Kupiłem ćwierć kilo basimy, nasączonego miodem placka z kaszy mannej, z orzechami w środku, o niepodobnym do niczego, niezwykłym smaku. Zawsze, jak przechodzę w tych okolicach, tu zaglądam; nie mogę się powstrzymać. Egipcjanie mówią, że wszystko powinno być *halł*, słodkie. Wszystko, całe życie, świat, wszechświat. Pod murem leży nieżywy mały kotek. Dłonią owiniętą reklamówką, w której miałem pudełko z basimą, podnoszę sztywne ciałko i wrzucam do stojącego obok pojemnika na śmieci. Tak mi się zdaje, że jest lepiej, jest bardziej *halł*.

Omijam wysypaną z ciężarówki wprost na ulicę ogromną górę arbuzów i idę dalej, w kierunku widniejącej daleko masywnej wieży dzwonniczej Kinisa Ambatakla, kościoła św. Tekli. Idę lekko, w tym półśnie, który uważam za niezbędny do uczynienia tego miasta takim, jakie naprawdę jest. Lecę, nieznacznie unosząc się nad ulicami i chodnikami. Idę lecąc, tak jak nakazywał Edward Stachura: „Najpierw idą nogi, za nogami głowa, a po głowie słowa". Nie nakazywał, nakazuje. Zdaję sobie sprawę, ważąc w dłoni krwawiący arbuz, że gdybym zaproponował Stachurze zmianę chodzenia na latanie, nie zaprotestowałby, a myślę, że wprost przeciwnie, uśmiechnąłby się do mnie, tak jak teraz sprzedawca arbuzów, który zatarasował pół ulicy zielonymi kulami, z których wycieka czerwona posoka.

Dość po głowie słowa, czasami dość... czasami lepiej jest rozejrzeć się za miejscem do siedzenia, aby przerwać lot, odpocząć, zjeść, a potem zapalić szyszę, pochylając się nad bazgrołami w notesie.

W dymiącej dziurze w murze kupuję dwanaście kulek gorącego falafelu i rzeczony już *baba ghanoug*, sos z bakłażanów, płacę cztery funty, rozglądając się za *ahłą*, kafejką w stylu *baladi*, czyli pełną emerytów, rencistów i robotników w starych sandałach, gdzie do szyszy z owocową melasą podaje się herbatę z łodyżkami świeżej mięty albo czarną, smolistą kawę z grubym osadem fusów. Przypomniało mi się, że właśnie w okolicach kościoła św. Tekli jest taka jedna *ahła* na rogu, ze stolikami przykrytymi żółto-czerwoną ceratą reklamującą herbatę Liptona. Byłem już tam dwa razy i szisza była znakomita. Albowiem szisza szyszy nierówna. Zazwyczaj jest dobra – konkurencja jest tutaj w tej dziedzinie ogromna – ale są i takie miejsca, gdzie serwują do palenia melasę śmierdzącą węglem i spalenizną. Palenie szyszy to co najmniej czterdzieści minut znieruchomienia. Czterdzieści minut zastygnięcia w zatrzymanej, ujarzmionej chwili i wdychania jabłkowego dymu z owocowej miazgi, rozmyślania o wszystkim i o niczym, czyli o wszystkim, a przede wszystkim wpatrywania się w rozgrywający się na ulicy spektakl *aijszu*.

To ciężka i odpowiedzialna praca na stanowisku plastikowego krzesełka za pulpitem drewnianego chybotliwego stoliczka, przykrytego

poplamioną ceratą pełną dziur po papierosach. Każda więc zła szisza powoduje u mnie natychmiastowy dyskomfort w przeżywaniu *aijszu*, co odbija się na mojej duszy, ciele, potem w notesie, a w konsekwencji w układzie liter, które masz teraz przed sobą. Zła szisza niszczy Księgę.

Chodząc po mieście, prawie zawsze robię sobie przerwę na posiłek i fajkę oraz na zapiski w notesie, więc mam już upatrzonych kilkanaście takich sprawdzonych *ahł*, w których wiem, że moje myśli nie zostaną zabite przez zły dym. Ta *ahła* przed kościołem św. Tekli należy właśnie do nich.

Muszę tylko przejść na drugą stronę dwupasmowej ruchliwej ulicy, co w Aleksandrii nie jest rzeczą łatwą, a wręcz niekiedy bardzo trudną. Chorzy z prędkości kierowcy to jedyne niebezpieczeństwo w tym mieście. Ale tak jest prawie wszędzie na Wschodzie, tak mówię, chociaż nie lubię tego pojęcia. Nie lubię obu pojęć: i Wschodu, i Zachodu. One są nadużywane, ale jakoś muszę nazywać rzeczy, podawać na papierze, komunikować się z Tobą...

Najchętniej w ogóle bym tylko przemykał się tutaj pod murami starych kamienic, kiwał pod fajanchem z Jabesem w ręku, inhalował przypalonym czosnkiem na oliwie, patrzył na starców na balkonie, jadł falafel z bakłażanem i przesiadywał z sziszą w *ahle* za dnia, a wieczorem dymił na balkonie. O, leżałbym też dużo, to też odpowiedzialna praca na stanowisku wyra i białego, niezapisanego sufitu ponad głową. No, ale muszę to wszystko jeszcze opisać, bo inaczej nikt by się o tym nie dowiedział, tak? I jeszcze zrobić korektę, tak? To jednak błędne koło. Kiedyś przestanę to robić. Będę tylko chodził, siedział i leżał, a Ty będziesz to czytał, okej? Oszczędzisz mi w ten sposób wysiłku pisania. Tu jest czasami tak gorąco, że atrament się rozjeżdża po całym notesie, a klawisze komputera przyklejają do palców. Po co to wszystko? Marzę o innym niż słowa języku komunikacji. Jak wielu pisarzy przede mną.

Tak, może to i zgrabnie, i zabawnie ujęte, ale to prawda; ja nie będę pisał, ale Ty będziesz czytał. Czasami dojdzie Cię dym z sziszy, przyrzekam.

Andrzej Bobkowski powiedział kiedyś, że „kultura to także umiejętność nic nie robienia". I to jest stuprocentowy *hałł*.

Udało mi się i tym razem bezwypadkowo przedostać na drugą stronę ulicy, co zostało od razu dostrzeżone przez dystyngowanego, niezwykle brudnego żebraka, z którym podzieliłem się salamem alejkumem, drobnym pieniądzem i dwoma falafelami z papierowej, zatłuszczonej tutki. Wymieniliśmy też szybkie i krótkie spostrzeżenia na temat pogody, Boga i dziurawych butów. Tutaj ludzie rozmawiają z ludźmi, ach, jak rozmawiają.

Pożegnałem się z nim uprzejmie, a on równie uprzejmie pomachał mi kawałkiem trzymanego w dłoni ogórka. Przez głowę przemknęło mi wtedy pragnienie, aby ten człowiek mi się kiedyś przyśnił. Tak właśnie, jak go teraz widzę: machający z daleka ogórkiem, z szerokim bezzębnym uśmiechem na zniszczonej *aijszem* twarzy.

Urzędujący obok wąsaty sprzedawca soków zaśmiewał się do mnie, wskazując na żebraka.

– To Lablabi, profesor jałmużny, on jest tutaj zawsze, nigdzie się stąd nie rusza od lat.

Ciekawe, *lablabi* to taka zupa grochowa, chyba z Tunezji. Chwilę potem wypiłem u wąsacza zimny sok z trzciny cukrowej i prawie natychmiast nastąpiły u mnie trzy niesamowicie silne i niespodziewane akty strzeliste: przypalona grochówka z kartoflami ze stołówki w podstawówce, generałowa Jaruzelska kupująca od kilkudziesięciu lat kiszone ogórki zawsze w tym samym warzywniaku i tylko w papierowej, przemakającej, rozpadającej się torbie, a na koniec błyskawiczna myśl o grobie Edwarda Gierka i o świeżych kwiatach na nim.

Nie, nie... bez żadnych podtekstów politycznych, po prostu trzy akty strzeliste, szyfry transcendencji, swobodny przepływ myśli, idei i szaleństwa.

Niektórzy pamiętają te kapciowate ogórki wylewające się z brązowych papierowych torebek, prawda?

Ktoś, kto w dobie superpraktycznych i szczelnych opakowań jedno- i wielorazowych upiera się przy takiej niepraktycznej torebce, zasługuje

w moim mniemaniu na najwyższy szacunek. Rzecz nieprzemijająca i niezmienna – moja obsesja, moja miłość.

Jest strzałka.

Jest, tuż obok latarni oczywiście. Dostrzegam ją pomiędzy mięsistymi liśćmi krzewu, którego nazwy nigdy nie mogę zapamiętać. Czarne okulary swędzą za uszami, oblizuję palce słodkie od trzciny cukrowej, w mojej komórce pojawia się kolejna już dzisiaj reklama Vodafonu. Ulica huczy od klaksonów kłębiących się jak karaluchy samochodów, huczy od nawoływań sprzedawców cebuli i malutkich, słodkich jak miód bananów, przeciskających się ze swoimi wózkami między autami, huczy od stereo i mono z dudniącym, wiecznie rozkochanym arabskim popem, huczy od krzyków furmanów poganiających osły i konie w kolorowych uprzężach. Jeden po drugim rozlegają się azany ze strzelistych minaretów, spływają powoli na ulicę i zlewają się z nią w jeden odwieczny, niezmienny, nieprzemijający strumień, w jeden rytm. Huczy już całe rozgrzane, pulsujące miasto. Jest południe.

Strzałka była tym razem skierowana lekko w dół. W stronę schodków prowadzących do obdrapanych drzwi, nad którymi wisiał szyld z krzywo wykaligrafowanym napisem: *Gazmagi Hussein,* szewc Hussein.

Usłyszałem śpiew. Zszedłem po schodkach i pchnąłem drzwi.

Moje oczy miały jeszcze w sobie światło ulicy, chwilę oswajały się z panującym tutaj półmrokiem, prawie mrokiem. Czułem mocny zapach kleju i zwierzęcej skóry. Pod ścianą, przy stoliku, na którym paliła się świeca na spodku, siedział pochylony starszy mężczyzna z papierosem w ustach i zszywał but. W ogóle na mnie nie spojrzał. Obok, na krześle, siedziała ubrana na czarno piękna kobieta i śpiewała wysokim głosem:

Sareri hovin mernem, sareri hovin mernem,
hovin mernem, hovin mernem. Im vari bovin mermen,
bovin mermen, bovin mermen...

Moje oczy przyzwyczajały się powoli do mroku. Zwyczajny, zapyziały szewski zakładzik pełen starych butów, puszek, słoiczków z klejami

i przeróżnych narzędzi. Kobieta śpiewa, patrząc gdzieś w mrok. Mam wrażenie, że ona też nie dostrzegła mojego wejścia albo nawet nie dostrzegła mnie. Próbowałem natrafić spojrzeniem na jej spojrzenie. Jej oczy patrzyły na mnie jak na powietrze. Uśmiechnąłem się do niej niepewnie i wtedy ona delikatnie odwzajemniła uśmiech. Więc jednak nie jestem tutaj sam. A tego się obawiałem przez chwilę.

Kobieta nie przestawała śpiewać. To była dostojna, piękna pieśń, pełna spokoju, głębi, pełna Wschodu. Wsłuchiwałem się w słowa, próbowałem ustalić język. Przez moment myślałem, że to hebrajski, ale to nie był hebrajski, to był inny język, ale na pewno gdzieś niedaleko stąd, znad tego morza. Moja spocona dłoń zaczęła błądzić w aktówce w poszukiwaniu dyktafonu, wymacałem guziczek i nacisnąłem. Szewc wypuścił kłąb dymu z ust, odłożył but i sięgnął po leżący obok długi przedmiot. To był *ney*, flet arabski. Mistyczne dźwięki tego instrumentu zawsze kojarzą mi się z ciemnym, zadymionym pomieszczeniem, gdzie śpiewa piękna kobieta. Od dziecka, od tego dnia, kiedy pierwszy raz wysłuchałem arabskich taśm, zostawionych w moim domu przez któregoś ze znajomych moich rodziców po powrocie z placówki w Syrii. Syryjskie łodzie pełne ormiańskich rybaków spokojnie suną po gładkim jak stół morzu, po Morzu Śródziemnym, po Mari Mediterraniu. Słyszę bicie mojego serca, słyszę zza drzwi dalekie azany mojego miasta, jak za mgłą widzę te syryjskie łodzie z mojego dzieciństwa. Kobieta nie przestaje śpiewać. To jest moja, cicha, bardzo stara piosenka.

Usiadłem na małym stołeczku i słuchałem tego dziwnego koncertu. Strużki potu ściekały mi po plecach. Przez małe okienko wpadał strumień bladego światła pełen drobinek kurzu i kładł się na czarnych włosach kobiety. Pomyślałem o liczbie tych drobinek, ja od dziecka mam takie głupie myśli. Od dziecka żyję aktami strzelistymi.

Gaynel em kal chem. Garogh, kal chem garogh, kal chem garogh
Litsvel em lal chem garogh, lam chem garogh...

Nagle drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł chłopiec z tacą, na której stały szklanki z herbatą. Trzy. Kobieta przestała śpiewać, szewc

odłożył flet i powrócił do zszywania buta. Spojrzałem na ekran komórki; niedługo muszę wracać do domu, odebrać Hasana z school busa. Chłopiec bez słowa postawił tacę na stole i wyszedł, zamykając cicho za sobą drzwi. Kobieta podała mi szklankę, złożyła ręce na kolanach i powiedziała cichym głosem w miękkiej angielszczyźnie:

– Witaj, na imię mi Savina, bardzo się cieszymy z Husseinem, że do nas przyszedłeś. Czy podobała ci się nasza piosenka?

Coś mruknąłem niewyraźnie, wymówiłem swoje imię i próbowałem się chyba uśmiechnąć. Szklanka grzała mi dłoń.

– To stara ormiańska pieśń, pochodząca z Syrii. To piosenka o kobiecie, która więdnie z miłości za kimś, kto odjechał daleko... *Sareri hovin mernem* znaczy oddałabym życie za górski wiatr...

– Morski – przerwałem.

– Żadna różnica przecież – powiedziała i uśmiechnęła się. Potem popatrzyła na świeczkę i śpiewnie wyrecytowała:

– The days past remain behind us,
a mournful line of extinguished candle
the ones nearest are still smoking,
*cold candles, melted, and bent...**

Zawsze wolałem prozę od poezji, aż do dni, kiedy przeczytałem Księgi Jabesa, tych dni właśnie.

Savina wzięła łyk ze szklanki, potem spytała mnie, skąd pochodzę. Kiedy jej odpowiedziałem, że jestem Polakiem, ale nie wiem, skąd pochodzę, odrzekła:

– Jeśli nie wiesz, skąd pochodzisz, to jesteś szczęśliwym człowiekiem, bo pochodzisz ze Świata, jak ja, chociaż jestem Greczynką. Polska jest twoją matką, a Egipt twoją żoną...

Próbowałem być dowcipny i powiedziałem:

– Ale ja mam już żonę.

---

* Konstandinos Kawafis, "Candles", tłumaczenie z greckiego: Rae Dalven, Harcourt Brace.

Kobieta zaśmiała się głośno i wskazała dłonią na drzwi:

– Tu możesz mieć wiele żon...

Szewc uśmiechnął się pod nosem, nie podnosząc głowy znad buta.

Ujęła mnie za rękę i szepnęła:

– Przyjdź kiedyś do Manszei, na sharia Koraim, Ibrahimie. Urządzamy tam czasami koncerty. Na podwórzu, z tyłu kamienicy. Ta kamienica nazywa się Tikvah. Jest bardzo stara. Jak Księga...

Puściła moją rękę i zaczęła coś nucić pod nosem, to chyba było po turecku. Znowu odniosłem wrażenie, że mnie nie widzi.

Wyłączyłem dyktafon i wyszedłem. Zapalę sziszę potem. Mój falafel już wystygł.

Wróciłem do domu taksówką. Starym polonezem z lat siedemdziesiątych. Na tablicy rozdzielczej zamontowany był jeszcze szaro-czarny polski licznik z zastygłą na zawsze sumą 95 zł i 60 gr. Zrobiłem mu zdjęcie komórką. Nie mogłem oderwać od niego wzroku.

*

Lubię tę chwilę, kiedy oparty o ścianę mojego bloku patrzę, jak Hasan wychodzi ze szkolnego, pełnego wrzeszczących dzieci mikrobusu na rogu ulicy i macha mi z daleka. Potem podaje dłoń kierowcy, czarnemu jak smoła Mohammedowi, i całuje się ze swoją opiekunką Nouhą. Paple coś i uśmiecha się do niej radośnie, mimo że widzi tylko jej równie radosne oczy: Nouha nosi *niqab*, Hasan nigdy nie widział jej twarzy. Często, kiedy jedzie swoim school busem, siedzi u niej na kolanach i mówi coś do niej po arabsku; nigdy potem nie chce mi powiedzieć co. Teraz idzie do mnie powoli z tornistrem na plecach, a siedzący na wystawionych na ulicę krzesłach ludzie zrywają się na nogi i wykrzykują do niego dziesiątki słów pełnych uczucia i zwykłej człowieczej radości. Wszyscy go tutaj kochają, tak jak kochają wszystkie inne dzieci z naszej ulicy. Dziecko jest tutaj królem życia, jest skarbem.

Lubię tę chwilę, bo zawsze uzmysławiam sobie wtedy, że mój mały synek nigdy w żaden sposób nie zareagował ani na czarną ludzką skórę,

ani na czarny *niqab*. To jest dla mnie niezwykle radosne, że Hasan, wielokrotnie bawiąc się z czarnymi dziećmi czy rozmawiając z czarnymi ludźmi, nigdy nie skomentował koloru ich skóry. Kiedy jego pani doktor, cała zasłonięta czarną zasłoną, pochyla się nad nim i każe mu pokazać język, on patrzy na nią obojętnym wzrokiem, a potem po prostu pokazuje jej język. Tak, patrzy na nią właśnie obojętnym wzrokiem, nie żadnym innym. Nie ma w jego spojrzeniu ani ciekawości, ani cienia zadziwienia, po prostu obojętność. Kobieta w *niqabie* jest dla niego taka sama jak kobieta bez *niqabu*. Czarny człowiek jest dla niego taki sam jak biały, brązowy, i taki sam jak nasz żółty sąsiad, który smaży kurczaki na oleju sojowym.

I to jest piękne. To jest bardzo piękne.

I dlatego zabrałem go z Polski. I mam cichą nadzieję, że już nigdy do niej nie powróci.

Potem idziemy do starej greckiej willi podlać zielone pomidory, które z dnia na dzień stają się coraz większe i coraz piękniejsze, a potem jedziemy windą, w której czasami spotykam Dinę.

Dina mówi perfekcyjną angielszczyzną i też zakrywa twarz *niqabem*. Studiowała w Bostonie filozofię. Mamy dla siebie osiem pięter, bo właśnie na ósmym piętrze jest moje mieszkanie. Dina mieszka na piętnastym; musi mieć stamtąd piękny widok na Sredozemno More. Jest to czas, który poświęcamy na dyskusję o filozofii. Kilkanaście krótkich zdań-kluczy o Platonie, Heideggerze czy Awicennie. Ja jej polecam Wittgensteina, którego uwielbiam, a ona śmieje się, kręci przecząco głową i śpiewnym głosem mówi mi o Wilhelmie Diltheyu, którego ja prawie nie znam. Bardzo często spotykam ją w windzie. To są przedziwne, piękne mikrowykłady z filozofii, niczym z książek Kołakowskiego. Takie filozoficzne akty strzeliste.

Potem razem z Hasanem robię w domu obiad. Czasami to jest jedzenie egipskie, czasami barszcz z pierogami, czasami curry z Indii czy *thieboudienne* z Senegalu, a czasami wszystkiego po trochu razem. Uczymy się Świata, stojąc nad garnkami i patelniami. Mieszamy smaki jak myśli.

Jesteśmy zewsząd.

Zawsze wtedy włączam radio. Muzyka wymieszana z jedzeniem to też filozofia.

Najczęściej jest to któraś z kairskich stacji z klasyczną muzyka arabską, która ma taki dziwny, cudownie podwędzany smak, ale czasami włączam radio z internetu. Mam kilkanaście nastawionych rozgłośni radiowych. Dopasowuję stację w zależności od przygotowywanego posiłku. Jeżeli jest to egipska zupa z liści *molokheyi* i smażona szawarma, to włączam Dwójkę, II program Polskiego Radia; to jest jedyna polska stacja, której mogę słuchać i którą od lat uwielbiam. Nie mogę bez niej żyć. W tej rozgłośni jest cała moja Polska, ta prawdziwa, ta, którą kocham i którą nazywam starą.

Jeżeli robię spaghetti bolognese, to oczywiście gra Radio Ghana Beats z Accry. Jeżeli barszcz z uszkami i mielone z mizerią, to oczywiście Radio Cocody FM z Abidżanu z dalekiego Wybrzeża Kości Słoniowej. Do czulentu z jagnięciny i marchewkowego cymesu dobrze pasuje 103 FM MBC z Rijadu albo 106.2 HUM FM z Islamabadu w Pakistanie. Wszystko pasuje, prawda? Wszystko gra?

To jest bardzo piękne. Tego właśnie chciałem.

Po obiedzie idziemy z Hasanem Pod Lampę. Tak nazwaliśmy małą *ahłę*, która jest na ulicy obok. Kilka stolików wystawionych na ulicę w otoczeniu wielkich metalowych puszek, w których rosną skrofuliczne roślinki udające kwiaty. Pod latarnią, która, kiedy zapada mrok, mruga swoim neonowym światłem. Stąd nazwa naszej kafejki.

Zapalam wreszcie swoją *shisha tuffaha*, sziszę z jabłkową melasą, i proszę o szklankę *ahły mazbout*, słodkiej i gęstej kawy. Hasan pije coca-colę albo *asir einab*, sok ze świeżych winogron. Siedzący w *ahle* mężczyźni witają się ze mną wylewnie, a potem biorą Hasana na kolana, obsypują pocałunkami i obdarowują cukierkami albo kawałkami słodkich ciastek.

Siedzę i patrzę. Znowu jestem w pracy.

Jest tutaj bardzo bezpiecznie.

Czuję to bezpieczeństwo na każdym kroku i o każdej porze dnia i nocy. Przestępczość tu praktycznie nie istnieje, nie słyszy się o złodziejach czy o włamywaczach; kiedy mój egipski znajomy zobaczył w Polsce, jakie ludzie mają drzwi do mieszkań, powiedział, że w Egipcie takie drzwi są tylko w bankach i więzieniach. Tak, to prawda, w niektórych, biednych dzielnicach ludzie w ogóle nie mają drzwi wejściowych, tylko zasłony z materiału albo z plastikowych frędzli. Po prostu niewyobrażalnym jest tutaj okraść komuś mieszkanie. Na ulicach nie ma pijanych, naćpanych, nie ma gburów o złych, nadętych twarzach, nie ma agresji i brutalności, ulicami nie płynie rzeka przekleństw, miasta nie demolują piłkarscy kibice i stada troglodytów w dresach, nikt nie sika mi na klatce schodowej, nie rzyga pod oknem na trawniku i nie wybija co tydzień szyby w samochodzie.

Nie ma przeklętego polskiego chamstwa, nie ma Polskiego Chama. Ani jednego.

Polacy bardzo lubią mówić, że „to wszystko przecież wszędzie jest". Słyszałem to ciągle od Polaków. Tak się pocieszają, próbują usprawiedliwiać tę swoją prostacką, biesiadno-wódczaną kulturę, którą – adekwatnie do ilości wypitych kieliszków – uważają za najważniejszą w Europie. I teraz, w cudownych dniach wolności i swobody, dniach internetu dla wszystkich, dniach Biedronki i Tesco, ta kultura jeszcze mocniej stoi kompletną ignorancją i niewiedzą o Innych. Ta kultura, która – wyrosła na odwiecznym antysemityzmie – skierowała dziś jego ostrze na innych Innych: na Arabów, Murzynów, Hindusów, bo tak jej podpowiada tanie kolorowe pismo, internet i telewizor.

Czasami czytam polskie portale internetowe. To jest po prostu niebywałe. Plugastwo, jakie płynie z nich, jest niewiarygodne, porażające, żenujące. Ludzie, pewni swojej anonimowości, po prostu zieją nienawiścią do Innych i Innego. Jak wawelskie smoki plują głupotą, bezmyślnością i złem. Jak można tak nienawidzić innych ludzi, innych ras, innych religii? Czytają to przecież małe dzieci, mali Polacy. Zapisałem sobie kiedyś głos jednego z tych kretynów, bo ten głos był po prostu niesłychany. To był komentarz do śmierci Macieja Kuronia: „Zdechł z przeżarcia, bo chciał zeżreć to wszystko, co jego ojciec ukradł Polakom".

Jak można pokazywać w ogóle takie rzeczy, jak można mówić i pisać o takich rzeczach, pokazywać takie zdjęcia? – naiwnie pytał mnie mój znajomy Egipcjanin z Polski. Ja też naiwnie pytam. Lubię tak naiwnie pytać.

Czasami mówią o sobie: społeczeństwo otwarte.

Tak, wyjechałem z Polski z własnej woli, ale czuję się wypędzony przez tę piwną hołotę. I chcę, żebyś to wiedział.

Tu tego nie ma.

Tak, kiedyś widziałem, jak gonili na ulicy złodzieja, który ukradł coś z warzywniaka. Tak, widziałem raz dwóch facetów pijących wino w samochodzie, dwa razy poczułem zapach marihuany na ulicy. To wszystko. Przez cały, okrągły rok.

Wszyscy z wszystkimi tutaj się znają. Pozdrawiają mnie i mojego synka sąsiedzi, ale także ludzie, których w ogóle nie kojarzę. Ale oni nas znają. Znają nasze imiona, podchodzą do nas, wyciągają ręce, pytają o zdrowie, pytają o życie, pytają o *aijsz*...

Każdy dla każdego ma tutaj zawsze czas, chwilę na spotkanie. Tę cudowną chwilę przeznaczoną na objęcia, potrząsanie dłoni, popatrzenie w oczy, potok czułych słów, uśmiech, uśmiech, uśmiech. Powitania egipskie są długie, wylewne, pełne komplementów, okrzyków radości i wybuchów śmiechu. Widzę moje dziecko, jak wędruje z kolan na kolana Egipcjan, i przypominają mi się słowa Jean-Paula Sartre'a, że „piekło to inni". Zdaję sobie wtedy sprawę, jak te słowa są tutaj mało warte.

Mam ze sobą Jabesa. Nie ruszam się bez niego. Pod Lampą, w otoczeniu tych ludzi, jego słowa zawsze docierają do mnie z większą mocą. Biorę łyk gorącej kawy, potem zaciągam się sziszą, spowijam jabłkowym dymem, zakrywam nim niby jakimś eterycznym *niqabem* i czytam:

W dłoniach tego człowieka jest trochę ziemi z kraju, z którego przybywa – Poproś go, aby zmieszał ją z naszą ziemią. W dłoniach tego człowieka jest cisza modlitwy dzieciństwa – Poproś go, aby tu zbudował swój dom. (1/140)

Siedzę i patrzę. Czuję rytm mojego miasta.

Tak, odczuwam tutaj jakąś dziwną, trudną do opisania stałość. Jakąś starą rytmiczność i cykliczność, która wyznacza życie tutaj. Wszystko dzieje się tu jakby cały czas. Powtarza się. Tu jest tradycjonalizm.

Jestem Pod Lampą przeważnie popołudniami, tak jak dzisiaj. Czasami wieczorami, kiedy chcę popatrzeć na miasto nocą. Wtedy przynoszę tutaj ze sobą kolację, którą kupuję obok, u Abu Rabiego – *ful* z chlebem, smażone ziemniaki i buraki z czosnkiem. Tutaj przynosi się swoje jedzenie do kafejek. Ale o mieście nocą napiszę potem, to trochę inny punkt widzenia. Teraz jest gorące popołudnie, czuję zapach kardamonu w ustach i przyglądam się ulicy. Sprzedawca dywanów pcha swój wózek pełen plastikowopodobnych chińskich makatek i kilimów. Mija się z takim samym wózkiem wyładowanym po brzegi pachnącymi melonami i kiśćmi fioletowych winogron. Koń ciągnie wóz, na którym leży stara lodówka i kupa żelastwa. Poganiający konia chłopak krzyczy coś przez megafon, wpatrując się z nadzieją w okna kamienic – to zbieracz złomu i starzyzny. Podchodzi do mnie facet z naręczem „oryginalnych" rolexów, a zaraz potem *buhyagi*, czyściciel butów, proponuje kosmetykę moich sandałów. Stojące w korku stare, poobijane samochody mają opuszczone szyby. Dobiegają z ich wnętrz wersety Koranu i sentymentalne piosenki Amr Diaba, które bardzo lubię, mimo że to kicz do kwadratu. Luksusowe auta mają szyby zamknięte. W środku otyli faceci w garniturach, gestykulując zawzięcie, perorują bezgłośnie do swoich komórek. Przechodzący chodnikami tłum też rozmawia przez komórki, wszyscy tutaj cały czas rozmawiają przez komórki. Telefony są tanie, wszędzie jest pełno sklepów z nowymi i używanymi aparatami, a połączenia jeszcze tańsze. Nie ma w Egipcie abonamentów, wszystkie telefony są na kartę. Komórkę ma facet z jaguara i sprzedawca złomu. To ta elektroniczna równość, o której kiedyś pisał Kapuściński. Pozorna równość.

Znowu spowijam się dymem o jabłkowym zapachu. Tak, tak, jak wczoraj o tej mniej więcej porze, z daleka już do mnie macha Baba z Brodą – tak nazywam starą, zniszczoną kobietę, która pcha przed sobą zdezelowany wózek pełen szmat, starych gazet, kawałków mebli, starych garnków, kubków, patelni i innych rupieci, spomiędzy których wystają

zielone gałązki kolendry, bazylii, oregano i innych ziół. I nędzne kwiatki pelargonii albo czegoś podobnego. To żebraczka, która przemierza tę ulicę prawie codziennie o tej samej porze. Może chodzi tędy i o innych porach; ja ją spotykam – patrzę na moją komórkę – właśnie teraz, o 15.32. Zapisuję te spotkania w moim notesie w rubryce „Baba z Brodą". Tak, wczoraj 15. 22, przedwczoraj 15.19, trzy dni temu 15.41. Następuje potem bardzo długa kolumna cyfr; jestem tutaj już prawie rok. Najwcześniejszy czas nadejścia Baby z Brodą to 15.07, najpóźniejszy – 15.50.

Kobieta dotacza się do mnie i uśmiecha kompletnie bezzębnymi ustami. Ma stopy obute w sandały zrobione chyba ze starej opony. To bardzo popularny dizajn w Afryce, chociaż w Egipcie stosunkowo rzadki. Niesamowicie kostropate palce zwieńczone długimi, krogulczymi pazurami. Postrzępiona, brudna spódnica odsłania pokryte bliznami łydki opuchłe jak balony. Zawsze przybliża do mnie swoją straszno-piękną, pokrytą kępkami siwych włosów twarz o dużych, zadziwiająco pięknych, zielonych, śmiejących się oczach, w których błyszczy obłęd. Tak, te oczy się uśmiechają, mimo wszystko, mimo tego strasznego, nędznego, upokarzającego *aijszu*. Była kiedyś przecież małą dziewczynką, miała mamę, tatę i lalkę ze szmatek. Co się stało potem? Zawsze o tym myślę, kiedy patrzę na nędzę ludzką. Nawet o Hitlerze i Stalinie tak myślę. O ich misiach i samochodzikach, o ich słodkich snach na czystej poduszce z czyjąś głaszczącą dłonią na włosach. Baba z Brodą coś szepce do mnie, coś, czego nie rozumiem. To jest zawsze jakaś forma modlitwy. Mam w komputerze trzy jej zdjęcia, nieostre, poruszone, zamazane.

Żebraczka wyciąga w moją stronę rękę. Od dłuższej chwili mam dla niej przygotowanego funta. Czasami odkładam go sobie już w domu. Wciskam banknot w porowatą, czarno-brązową od rasy i od brudu dłoń, i otrzymuję w podzięce kawałek połamanej gałązki pelargonii. Wsadzam go sobie troskliwie w butonierkę mego chińskiego garnituru w prążki i znowu spowijam się dymem. Siedzący obok mężczyźni sięgają do kieszeni. Jałmużna tutaj jest jak w Polsce przeklinanie: rozdawana jest na każdym kroku.

Pelargonia powędruje do mojego zielnika, starego, plastikowego peerelowskiego klasera z małymi kieszonkami na monety. Niektórzy taki

klaser pamiętają, prawda? Jak te brązowe papierowe torebki na kiszone ogórki. Ach, szyfry transcendencji.

Urywam potem w domu kawałek pelargonii czy gałązki zioła i umieszczam w małej plastikowej torebeczce, na której nalepiam biały sticker z wypisaną długopisem datą. Resztki gałązki czy łodyżki wyrzucam przez balkon. Zawsze wyrzucam przez balkon, nigdy nie wyrzucam do śmietnika. Zwracam miastu.

Baba z Brodą odchodzi, śpiewając coś chrapliwym głosem, a ja wiem, że zaraz spodziewać się mogę obok siebie brodatego mężczyzny w śnieżnobiałej galabii, albowiem jest już 15.36 i to jest jego pora właśnie. Jeszcze tylko autokar z napisem *Lycee Religiose Francescane* pełen krzyczących dzieci, a zaraz potem rzecz, która jest tajemnicą, jedną z tajemnic mojego miasta: drgające w oknie światło.

Tak, jest już autobus, zapisuję w notesie w rubryce „Autokar" godzinę 15.38 i rzucam okiem na słupek cyferek. Najwcześniejszy przyjazd autokaru – 15.24, najpóźniejszy 15.50. Czekam teraz na brodacza, o, już jest. W dłoni niesie bułkę z serem i papryką. Na czole ma *zibibę*, czarne znamię – ślad od modlenia, dużo ludzi tutaj ma coś takiego na czołach. Salam alejkum, salam alejkum, kłaniamy się sobie uprzejmie. Kawał bułki oczywiście dla Hasana i dla jego małego kolegi z bramy obok, Mahmouda. Widziałem brodacza kilkakrotnie w mojej dzielnicy, jak nosił jedzenie biedakom śpiącym pod ścianami i jak karmił koty na bulwarze, nad morzem. Pod Lampą zawsze zamawia tylko szklankę herbaty z miętą, *szaj bil-nana*. Dwa zdjęcia jego postaci znajdują się w pliku. Białe plamy zwieńczone czarną plamą brody.

Teraz kolej na kota z bramy, w której mieszka mały Mahmoud. Szara ciężarna kotka, która raczej niesfornie przestrzega swojego czasu, mieszcząc się w dosyć szerokim pasmie, między – zaglądam do notesu do rubryki „Kotka" – 15. 21 a 16.02. Ale już jest – 15.41 – ociera się o moje nogi i otrzymuje kawałek sera od siedzącego obok mężczyzny w białej galabii. Nie chce jednak jeść; obwąchuje tylko ser, wtedy szybko robię jej zdjęcie komórką. Kotka truchtem przebiega na drugą stronę ulicy i znika w podwórku. Wpatruję się w ten kawałek sera leżący na chodniku. Jest niesłychanie wyraźny, ostry. Przez kilka sekund widzę go

swoim ukrytym, wewnętrznym okiem w całej jego prawdziwej naturze, kształcie i istocie. Jest przepiękny, jest kosmiczny, jest nieskończony. Jest ser. Teraz, dzisiaj o 15.42, jest pulsującą istotą wszechświata. Albo mi się tylko tak wydaje.

Mężczyzna w białej galabii zapisany – 15.44. Mieści się zawsze między 15.23 a 15.46. Bardzo ścisły obiekt. Dokładny, systematyczny i regularny. Ani razu nie opuścił zajęć! Kotki nie było siedem razy w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy. Baba z Brodą opuściła zajęcia jedenaście razy, autokaru nie było tylko cztery razy (weekendów nie liczę, wtedy nie ma szkoły), natomiast wspomniane tajemnicze światło jest codziennie.

Tak, codziennie między 15.17 a – najpóźniej – 15. 31 w oknie greckiej kamienicy naprzeciwko zza cienkiej muślinowej zasłony zaczyna dobywać się blade, białe, pulsujące regularnie światło, które mruga dokładnie przez trzy minuty. Nie wiem, czy dokładnie, próbowałem to policzyć i zanotować, ale nie mam sekundnika. Nie jest to może tak bardzo ważne. Ważne jest natomiast, że w notesie, w rubryce „Białe Światło", nie mam ani jednej luki w liczbach; światło pulsuje codziennie od kiedy tutaj zamieszkałem. Specjalnie przechodziłem tą ulicą o różnych porach wieczornych i nocnych. Czasami także o brzasku po powrocie z plaży Silsila, kiedy chodziłem sprawdzić, czy ona tam cały czas stoi. Wpatrywałem się w to okno na pierwszym piętrze, ale zawsze było tam ciemno, a szyby zakrywała zielona okiennica. Pulsuje tylko wtedy, kiedy siedzę naprzeciwko, w *ahle*. Ale może mam za duże mniemanie o sobie. Zdjęcia tego światła to małe, białe świetliki na czarnym tle. Jak okładki Ksiąg Jabesa.

Moja kawa już letnia, spowijam się znowu dymem niczym białym muślinem, siedzący obok mężczyzna, ten, który mieści się zawsze między 15.23 a 15.46, pochyla się w moją stronę i łagodnym głosem, mieszając angielski z arabskim, mówi:

– *My brother*... wszystko, co objawiono w świętych księgach, znajduje się w Koranie. Wszystko, co zawiera Koran, koncentruje się w pierwszej surze al-Fatiha. Wszystkie znaczenia al-Fatihy znaleźć można w słowach: W Imię Boga, Miłosiernego, Litościwego, czyli w basmali. Cała zaś treść

basmali zawiera się w pierwszej literze – *ba*, która z kolei sprowadza się do kropki pod nią, a kropka w języku arabskim oznacza zero.

Potem bierze łyk herbaty i zastyga z tym swoim delikatnym uśmiechem, wpatrzony w moją twarz. Szumiący wiatrak pod sufitem.

Ciekawy jestem, czy Edmond Jabes był kiedyś na mojej ulicy. On mieszkał chyba w Manszei, to jest na drugim końcu miasta, chociaż nie jestem pewien. Tam głównie mieszkali aleksandryjscy Żydzi. Jutro chyba tam pojadę tramwajem. A jak był na mojej ulicy, to co robił? Czy kupował ciepły chleb u chrześcijan? Czy lubił falafel z pastą z bakłażanów? Czy on też widział to pulsujące w oknie światło? Gdzie była jego strzałka?

Dokąd zmierzasz? – Ku studniom mego dzieciństwa, a to jest droga śmierci. (Rabi Segve) (Jabes, 1/135)

Pod wieczór zamknąłem się w swoim pokoju i włączyłem partity Bacha w transcendentnym wykonaniu Glenna Goulda. Uwielbiam go, czuję pod jego szczupłymi palcami narastające szaleństwo. Słyszę kosmos w jego grze. Położyłem się na materacu i prawie natychmiast zasnąłem przykryty moimi kotami. Dobra muzyka zawsze wpędza mnie w sen. Im szybciej zasypiam przy jakimś wykonawcy, tym bardziej cenię jego muzykę. Mam w swojej kolekcji takie płyty, których chyba nigdy nie wysłuchałem do końca, zawsze przy nich zasypiam. Te są właśnie najlepsze. Muzyka z jawy niepostrzeżenie i cicho jak kot przenika w świat obrazów, w strumień świadomości, w dalekie szepty, śmiechy i nierealne myśli.

Śniło mi się, że jestem w jakimś wysokim domu. Szedłem schodami nieotynkowanej, pełnej walających się śmieci klatki schodowej. Na każdym piętrze namalowana była srebrna strzałka wskazująca na stojące w doniczkach małe krzaczki dzikich pomidorów. Zatrzymywałem się i podlewałem roślinki wodą z zielonego kielicha od sziszy. Słyszałem bicie swojego serca, a zza drzwi mieszkań słyszałem już ciche szaleństwo Glenna Goulda. Wchodziłem coraz wyżej i wyżej, aż stanąłem przed

drzwiami jakiegoś mieszkania, na których widniała srebrna strzałka namalowana grotem w dół. Pchnąłem drzwi i wszedłem do ogromnego pokoju, w którym nic nie było, tylko – na środku – mały drewniany stolik, taki jak ten w *ahle*. Na stoliku leżała brązowa aktówka i mały podłużny notes. Podniosłem go i otworzyłem. Były tam jakieś zapiski długopisem. To pismo zdawało mi się znajome. Wpatrywałem się w nie długo, ale nie mogłem nic odczytać; to było pismo bardzo niewyraźne, zamazane, lekarskie. Wreszcie z gąszczu liter i cyfr odczytałem moje imię i wtedy poznałem, że to pismo mojej matki. Zacząłem strasznie płakać, wprost zanosiłem się rozdzierającym płaczem, potworną rozpaczą i jakąś niewymowną tęsknotą, której doświadczam tylko w snach. Zobaczyłem pochyloną nade mną kobiecą twarz; to była Savina. Głaskała mnie po głowie i mówiła coś, czego nie rozumiałem, po grecku albo po hebrajsku. Siadłem gwałtownie na materacu, cały mokry od potu, i wyłączyłem Glenna Goulda.

Zaraz potem usiadłem do komputera, włączyłem 97.6 Zituna FM z Tunezji i zacząłem segregować dokumenty miasta. Za oknem powoli zapadał zmrok, minarety na mojej ulicy zaczynały już mruczeć.

Zmierzch ma skórę starca – powiada Edmond Jabes. Czyż tak nie jest?

Zdjęcia zgrałem do komputera, notatki ponumerowałem, a znalezione drobne przedmioty posegregowałem w przeznaczonych do tego pudełeczkach po makaronie *koszari*. Dzisiaj zauważyłem też, że najwięcej mam koralików. Różnej wielkości, różnych kształtów i kolorów. To zdało mi się nieco dziwne. Dlaczego koraliki? Zaraz potem guziki i papierowe wstążeczki. Sporo jest też klamerek od wieszania bielizny i spinek.

Włączyłem dyktafon i jednym uchem słuchałem jego szumu, drugim wsłuchując się w ciche piosenki z Zituna FM. Tak, był tam tylko jednostajny szum, przerywany od czasu do czasu odgłosami klaksonów i zduszonych ludzkich nawoływań. Kilka dzwonków telefonów, ryk osła i jeden przeciągły kobiecy śmiech. Nie pamiętałem, gdzie to wszystko

nagrałem, i ten fakt, jak zawsze, bardzo mnie ucieszył. Nie było jednak śpiewu Saviny i dźwięków fletu szewca. Dlaczego? Czyżby mój dyktafon szwankował? Włączyłem mały kasetowy magnetofon, który kupiłem u Chińczyków, i zgrałem wszystko na taśmę, uprzednio recytując do mikrofonu datę. Mam już dwanaście kaset z miastem.

Potem rzuciłem jeszcze okiem na zdjęcia, próbując odczytać z nich jakiś kod, ale dzisiaj nic nie zrozumiałem, biało-czarne punkty i szare plamy latały mi przed oczyma.

Wyłączyłem radio z Tunezji, zmieniłem falę na polską Dwójkę, bo leciał akurat Arnold Schönberg – a jego muzyka znakomicie komponuje się z gorącą egipską nocą – i na godzinę zamarłem, niczym jakiś jaszczur na skale, nad „Historią filozofii XX wieku" Tadeusza Gadacza. Uwielbiam tego myśliciela, a jego monumentalna praca na temat myśli ludzkiej jest dla mnie absolutnym diamentem intelektualnym i absolutnym niezbędnikiem i codziennikiem. Codziennie czytam Gadacza na zmianę z Jabesem. Czytam i innych, ale Gadacza zawsze. To jest człowiek, którego Polacy powinni nosić na rękach. Zanikający i coraz rzadszy gatunek Polaka myślącego, który do tego jeszcze umie przelać swoje wspaniałe przemyślenia na papier w sposób niesłychanie komunikatywny i jasny. Pani i Pan zapewne wiecie, kto to jest Tadeusz Gadacz, nieprawdaż?

Dzisiaj skupiłem się na rozdziałach o rzeczonym już Wilhelmie Diltheyu, którym zawstydziła mnie Dina podczas naszych mikrowykładów w windzie. Nie będę się rozwodził za długo, bo moi wydawcy zabraniają mi pisać za dużo o filozofii, twierdząc, że to mało kogo interesuje. I mają rację. Zacytuję tylko dwie myśli Diltheya. Gadacz pisze Diltheyem tak:

Życie jest niedocieczone. Jawne jest to dla poety, wieszcza, religijnego proroka, historiografa; ich geniusz i bezcenna wartość wszystkiego, co im zawdzięczamy, polega na tym, że wypowiadają oni tajemnice tego świata.[*]

* Tadeusz Gadacz, „Historia filozofii XX w.", Znak 2009, t. I, s. 126

No, po prostu piszą o sobie samych. Mam na myśli i Gadacza, i Diltheya.

Kto stoi na plaży Silsila? Dlaczego mrówki piszą Księgę? Kim naprawdę był i jest Edmond Jabes?

Strona dalej:

Innym przykładem zagadkowości życia jest przypadek. Wobec zagadek życia jesteśmy bezradni. Tę niedocieczoność i zagadkowość życia można wyrazić jedynie językiem obrazów.

Kim jest Savina? Kto namalował srebrne strzałki na murach miasta? Kto mieszka w mieszkaniu z pulsującym światłem?

Ostatni akord Schönberga. Wyłączyłem radio, zamknąłem Księgę Gadacza i na palcach poszedłem do salonu. Obok, w sypialni, Hasan już spał z kotami. Wstaje bardzo wcześnie rano, aby zdążyć zjeść bułkę z czekoladą, wypić mleko z bananami, a potem zjechać z *bawwabową* windą do czekającego przed domem school busa, którym jedzie do szkoły oddalonej prawie trzydzieści kilometrów. Z ulicy dobiegał już ostatni azan, zapadała noc. Przemykałem na palcach wąskim korytarzem do recepcji, jak na salon mówią Egipcjanie. Zawsze, jak idę tym korytarzem, zatrzymuję się na kilka, kilkanaście sekund przed wiszącymi na ścianach zdjęciami Łazienek – Edwarda Hartwiga i Henryka Poddębskiego. Tuż przed wyjazdem do Egiptu kupiłem za grosze od menela pod Halą Mirowską album z czarno-białymi zdjęciami Parku Królewskiego w Warszawie z 1955 roku. Parku, który kocham prawie jak własną matkę. Kupiłem go z myślą o tym korytarzu w moim aleksandryjskim mieszkaniu właśnie. Zaraz po przyjeździe dałem zdjęcia do oprawienia w ramki i szkło. Kupiłem te unikalne fotografie z myślą, którą teraz realizuję: to było moje marzenie o oglądaniu starych, czarno-białych, zamglonych zdjęć warszawskich Łazienek w przytłumionym świetle egipskiego zmierzchu. Udało się, teraz robię to właśnie, wsłuchując się w równy oddech śpiącego za uchylonymi drzwiami Hasana.

Na końcu korytarza wisi lustro w starych ramach. Widzę w nim siebie, niewyraźnego i zaciemnionego, jak w półmroku patrzę na stare zdjęcia starej Warszawy.

Moje mieszkanie jest bardzo duże – ma sto sześćdziesiąt metrów – ale w Egipcie to standard. Kupiłem je w cenie malutkiej kawalerki w Warszawie. Kiedy dwa lata temu zacząłem szukać tutaj mieszkania, nie mogłem znaleźć nic poniżej stu trzydziestu metrów. Klimat i wielkie, wielopokoleniowe rodziny powodują, że mieszkania tutaj, według kryteriów polskich, są ogromne. Prawie zawsze budowane są na takim samym, wywodzącym się jeszcze z osmańskich czasów, planie: od ulicy rozległy, doświetlony salon z dużym balkonem, a potem długi, wąski korytarz; prowadzi do kilku małych ciemnych pomieszczeń, w których mieszczą się sypialnie, kuchnia i łazienki. Wszystkie mają okna i okienka, tak że nawet w najgorętsze dni w całym mieszkaniu jest ciągła cyrkulacja powietrza. Ciemne sypialnie, których wąskie balkoniki i okna wychodzą na malutkie podwórka-szyby zapewniają całoroczny cień, co w tym klimacie jest błogosławieństwem. Im dom bardziej nienasłoneczniony i ciemniejszy, tym lepszy, a mieszkania w nim droższe. Drewniane okiennice, montowane wszędzie standardowo, gwarantują dodatkowy półmrok, ale także prywatność, która w tym otwartym społeczeństwie jest podstawą relacji międzyludzkich. Tak właśnie tu jest: niesłychana otwartość na ulicy, ale w domu absolutny *my house is my castle*.

Bawwab lub jego gruba żona zawsze pytają każdego obcego wchodzącego do domu o cel odwiedzin, a potem dzwonią interkomem do mieszkania i potwierdzają wizytę. Dozorca zazwyczaj też odprowadza pod same drzwi mieszkania zamówionego telefonicznie lekarza, technika, inkasenta czy kuriera z pizzą. Wizyty natury męsko-damskiej (i odwrotnie) osób niespowinowaconych są praktycznie niemożliwe. To delikatna sprawa, w której *bawwab* i jego żona pełnią rolę strażników moralności i dobrego imienia domu. To nie oni, ale mieszkańcy domu nie życzą sobie takich wątpliwych spotkań. Im bardziej jest to przestrzegane i nadzorowane, tym większą renomą cieszy się dany budynek.

A wszystko tutaj rozchodzi się natychmiast pocztą pantoflową. Wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Nie, nie jest to to, co wielu z Was nazywa pogardliwie plotkarstwem i „policyjnym państwem". To zupełnie coś innego, coś, co istnieje tutaj od setek lat, coś, co w Europie można spotkać na głębokiej prowincji i w niektórych tylko państwach. Kiedyś jeden Grek powiedział mi, że nieco podobne społeczeństwo było w Grecji sto lat temu, a dzisiaj można doświadczyć takich relacji międzyludzkich tylko w górskich miasteczkach i na nieturystycznych wyspach, w małych, hermetycznych, tradycjonalistycznych społecznościach. Tak, to jest wzajemne wspieranie i wspomaganie się ludzi. Wzajemne pouczanie i uczenie się od innych.

Ludzie mojego miasta niezmiernie rzadko i tylko w bardzo poważnych sprawach zwracają się o pomoc do policji. W rozstrzyganiu codziennych problemów rządzą tutaj prawa społeczności, niezmienne i przestrzegane od wieków. Niekiedy bardzo surowe. To społeczeństwo niesłychanie skonsolidowane wokół starych wartości, zwarte i pilnujące siebie nawzajem. Społeczeństwo na pierwszy rzut oka chaotyczne, bałaganiarskie i niezdyscyplinowane, ale tak naprawdę zadziwiająco dobrze zorganizowane w swoich oddolnych strukturach. Społeczeństwo różne od polskiego i europejskiego, inne. Wspólnota ludzka oparta na religii, tradycyjnej duchowości i niezmiennym od wieków prawie. Absolutnie nie do ruszenia przez liberalizm europejski i jego wartości. Przejdzie tu każde novum techniczne z Zachodu, ale nie jego moralność, jakakolwiek by ona była.

Kiedy komuś powinie się tutaj noga, zawsze może liczyć na zbiorową pomoc tych, z którymi na co dzień przestrzega wspólnego prawa. I to jest bardzo ważne. To dlatego między innymi jest tutaj tak mało żebraków, umierających na ulicach z głodu, porzuconych, bezpańskich dzieci i dogorywających bez rodzin starców. Obrazy nędzy, rozpaczy i ludzkiego upodlenia znane z Afryki subsaharyjskiej, Indii i Ameryki Łacińskiej są tutaj bardzo rzadkie. „U nas nikt z głodu nie umrze" – jak mawia jeden z moich egipskich znajomych. I to jest prawda, która może się Wam, ludziom z Europy, zdawać daleka i nierealna, ale tutaj, w Afryce, bliżej równika, dużo znaczy. Bardzo dużo.

W salonie mam telewizor, DVD i kilkaset polskich filmów z czasów PRL-u. A także trochę tych przedwojennych – porwanych, polepionych i porysowanych, z grasejującymi i zaciągającymi duchami scen polskich.

Przywiozłem to wszystko do Egiptu razem z kilkoma tysiącami książek z Polski, które walają się wszędzie – pod ścianami, na stołach, pod stołami, na szafach, w kuchni, łazienkach i na balkonach. Nie mogę dogadać się na razie z żadnym stolarzem w sprawie półek. Książki niepostrzeżenie rozeszły się po mieszkaniu, zalewają je powoli, a nowe dojeżdżają z Polski, przywożone przez rodzinę i przyjaciół. Czuję się trochę jak taka staruszka od kotów, która ma w swojej kawalerce najpierw pięć, dziesięć, piętnaście kotów, a potem już przestaje liczyć i tylko donosi nowe ze śmietnika.

Rozsunąłem nogą książki, zasiadłem na balkonie, odwróciłem telewizor bardziej w moją stronę i nie namyślając się długo, wsunąłem do odtwarzacza płytę z Polskimi Kronikami Filmowymi z lat 1970-76 i włączyłem kronikę o numerze 11, wydanie B, z roku 1971. Mam już chyba wszystkie kroniki PRL-u. Dostaję je regularnie z Francji od mojego przyjaciela, który jest jeszcze większym kronikarzem niż ja. To – obok starych polskich i egipskich filmów – moje ulubione kino. Jestem specjalistą od wielu elitarnych spraw i niezmiernie ważnych kwestii. Wiem na przykład dużo o produkcji obrabiarek w Pruszkowie na początku lat siedemdziesiątych, z wielką radością opowiem Ci o dekoracji Warszawy z okazji 50-lecia Rewolucji Październikowej w 1967 roku, zdam pełną relację ze Święta Plonów, czyli z obchodów dożynkowych na Białostoczczyźnie w 1973 roku, opowiem o Pokoleniu Jutra, czyli o przygotowaniach do VII Zjazdu PZPR w roku 1975, albo o zmechanizowanej farmie mlecznej w Bronowicach w listopadzie roku następnego. Tak, mam wszystkie kroniki do 1979 włącznie. Dalej już nie, dalej nie mogę. Jestem zdecydowanie człowiekiem gomułkowsko-gierkowskim z odchyleniem honeckerowskim.

Kronika 11b z 1971 roku to jedna z moich ulubionych, często i z lubością ją oglądam. Bo tam jest mój dom. Tak, mój stary dom.

Zacząłem oglądać czarno-biały film, jednym okiem rzucając od czasu do czasu na szumiące morze. W oddali świeciły drobne punkty statków. Pomyślałem o zdjęciu. Strasznie lubię nocne, dalekie światła samolotów

na niebie i statków na morzu. Potem jednak skupiłem się na kronice, bo bardzo lubię być na bieżąco ze sprawami świata. Czyta R. Beeger – cudowny, miękki, lekko „zaciongający" głos.

Najpierw „Najmłodsza załoga" – reportaż o zakładzie wytwarzającym lampy oświetleniowe w Pogwizdowie Nowym. To od razu budzi moją ochotę na kaszankę albo golonkę, które to dania z powodów religijnych i geograficznych stały się już dla mnie skamielinami. Oglądam dziewczyny pochylone nad taśmą z jarzeniówkami, gdzieś w marcu 1971 roku, w małym miasteczku na Rzeszowszczyźnie. Dyrektor inżynier Zbigniew Kolbusz, lat 24, najmłodszy dyrektor w Polsce Ludowej. Nie ma go w internecie, sprawdzałem. Jedna z robotnic mówi: „Często bierze do ręki śrubokręt i robi takie prace, które powinien robić ślusarz". Na bulwarze, przed Pałacem Ślubów, grają bębny i tamburyny, to orkiestra nubijska wita młodą parę. Druga robotnica w białym kitlu dodaje: „Jest bardzo ładny, wysoki, przystojny, czarny, lubimy go". W gorące, pełne gwiazd aleksandryjskie niebo wystrzeliwują dziesiątki, setki świetlnych rac i rakiet. Po arabsku gwiazda to *nigma*. Jak enigma.

Gdzie jest teraz dyrektor Zbigniew Kolbusz? Kto namalował srebrne strzałki na murach miasta? Teraz za oknem rozlegają się dźwięki sudańskiego mambo, zielone okiennice naprzeciwko otwierają się z impetem; Rania już tańczy. Dzisiaj w czarnej sukni, z białym kotem na rękach. Macha do mnie ręką i śmieje się, szczerząc zęby białe jak śnieg. Jak niegdysiejszy śnieg. Dochodzą mnie zapachy smażenizny kuchni różnych ludów zamieszkujących moją ulicę. Dochodzą mnie krzyki mew i syreny dalekich statków. Dochodzi mnie muzyka, krzyki dzieci i egipskie seriale, które niebieskawo migają na ekranach w oknach kamienic dookoła. Dochodzi mnie szczęk sztućców – wszyscy siadają teraz do kolacji, która tutaj w lecie jest obiadem. Smażony czosnek z pomidorami i liśćmi kolendry wdziera mi się do mieszkania. Cienie na ścianach, cienie w moim telewizorze. Czuję przez oliwę i czosnek narastający zapach gnijących glonów. Czuję, jak bardzo powoli czynię to miasto.

I już drugi temat kroniki: „Puste przewozy". Reportaż o milicyjnej akcji mającej na celu zapobieżenie pustym przewozom ciężarowym na dalekich trasach.

Polskie szarobure zimowo-wiosenne drogi z lat siedemdziesiątych. Ciężarowe stary okryte mokrymi plandekami i zakutani w waciaki kierowcy z papieroskami w ustach. Milicjanci w czarnych kurtkach przepasanych białymi pasami z białymi kaburami od niechcenia salutujący kierowcom. „Trzysta pięćdziesiąt kilometrów jedzie pan pusto do Stargardu...". Słyszę na ulicy śmiechy dzieciaków, odgłosy kopanej piłki i dzwonki sprzedawcy *fulu*. „Jak wynika z danych milicji, ponad trzydzieści procent ciężarówek jeździ po kraju bez ładunku w przebiegach docelowych i powrotnych...". Siąpi tam deszcz, tam – w Polsce na przedwiośniu 1971 roku. Ach, jak pięknie, jak pięknie! Podrywam się na nogi i przez moment patrzę na morze, na północ. Ale widzę tylko światełka statków. Rania podkręca muzykę. Ja znam tę muzykę, to *haqiba,* muzyka sudańskich wesel, czasami zwana *mambo al-Sudani*, przypominająca trochę muzykę kubańską pomieszaną z reggae i rytmami à la James Brown. Taki zepchnięty z góry, powoli rozpędzający się walec. Nic mu się nie oprze. Mam za oknem dwa wesela. Mam ich teraz wiele.

I zaraz potem mój ukochany reportaż: „Saperskie zadanie". Ukochany, albowiem opowiadający i pokazujący proces powstawania mojego bloku na ulicy Orłowicza w Warszawie. Tak, mojego bloku, którego makieta jest w tej kronice. Zatrzymuję płytę i długo wpatruję się w piąte piętro bloku, w okna mojego pokoju, gdzie kiedyś ja, ach ja, ja, ja...

Jeszcze jeden Dilthey dzisiaj, dobrze? Króciutki i nietrudny. Bardzo proszę... o:

Najwyższą formą, jaką przybiera rozumienie życia, jest autobiografia. Autobiografia to wyrażony w literackiej formie namysł człowieka nad przebiegiem własnego życia. W niej bieg życia i jego rozumienie stanowią jedność, gdyż są dziełem tego samego człowieka. (Tadeusz Gadacz, s. 128)

Jest w tej kronice i mój kuzyn – prezes spółdzielni, pan Henryk Lipski – dzięki któremu moi rodzice otrzymali to mieszkanie. Stoi z planami w ręku razem z dwoma starszymi mężczyznami. Ma na głowie zimową czapę w stylu włochatego garnka. Proch, proch, proch...

I pod to wszystko superjazz. Taki polski jazz z kronik filmowych. No, wiesz... Taki jak te papierowe torebki na ogórki, jak stary plastikowy klaser z małymi kieszonkami na monety. Polski jazz i mój blokas na warszawskim Powiślu widziany z balkonu w Egipcie. Czy może być coś piękniejszego? Jeszcze raz podnoszę się z kanapy i patrzę w czarne nocne morze. Jeden z okrętów podpłynął bardzo blisko mojego egipskiego domu. Wpatruję się w niego intensywnie, statek powoli staje się słowem. Oświetlające go pokładowe lampy i ciemne zarysy kadłuba tworzą kształty arabskich liter. Chcę pędzić po aparat albo komórkę, ale jakaś siła przykuwa mnie do podłogi. Nie robię zdjęcia, tylko szeptem odczytuję, odszyfrowuję słowo: maszt tworzy literę *alif*, potem jest gardłowe „h" kadłuba, potem znowu *alif* i dwie łodzie ratunkowe podwieszone do burty, tworzące złudność litery „n". Na końcu jakby podniesione ramię dźwigu, przypominające *alif* końcowy. Do złudzenia, do złudzenia....

To słowo to Hanna. Tak ma na imię moja mama. Notes, notes! Na ekranie telewizora widzę teraz klubokawiarnię Grześ w pawilonie pod moim blokiem. Chodziłem tam na coca-colę i wuzetki. Czasami podjeżdżała tam Violetta Villas mini morrisem albo dużym białym kabrioletem mercedesem, wtaczał się Tomasz Hopfer, a czasem, lekkim zygzakiem, wkraczał Jan Himmilsbach z pieskiem i pijakami. Długie marlboro, długie szklanki, wódka z colą i cytryną, trener Górski, „Czterdziestolatek", Boney M, Pewex i Bazar Różyckiego. Oj, niedługo zwariuję.

Halas – jak mówią Egipcjanie – dość. Po prostu jednym kliknięciem wyłączam telewizor. Za oknem dudni sudańska muzyka i smaży się jedzenie, gdzieś niedaleko jakaś kobieta zagdakała głośno niczym przestraszona kura. Dosyć często gdacze tak nocami, to chyba pani doktorowa z willi na mojej ulicy: jest wielka, strasznie gruba i mocno umalowana; przypomina trochę Gołdę Tencer. Stoi czasami na balkonie z papierosem, podśpiewując coś pod nosem; tajemnicza aleksandryjska diva. Rania śpiewa wysokim głosem. Życie jest niedocieczone jak polski jazz. Moje miasto, moje miasta...

Zasypiam. Jeszcze trochę starego, analogowego, czarno-białego jazzu polskiego: przenoszę się na Jazz Jamboree z października 1969 roku. Wtłaczam sobie w głowę rosół i mielone z mizerią z błogosławionego

baru mlecznego. Płyta nazywa się „New faces in polish jazz". Zgrałem ją kilka lat temu z wymęczonego, spracowanego winyla na płytkę CD. Zachowałem tym samym wszystkie bezcenne szumy i trzaski. Jak stygmaty. Wiele polskich analogów z PRL-u tak zgrałem. Nawet Festiwal Piosenki Żołnierskiej Kołobrzeg 1979 „A mnie się serce rwie do wojska". Jak słucham trzeszczącego i skrzeczącego Centralnego Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego, to czuję od morza powiew transcendencji i mistyki.

Tak, kiedy zgrywam stare winyle na małe, błyszczące płytki, to czuję się trochę jak kardiochirurg. Jest tam utwór grupy Paradox pod tytułem „Ploteczki cioteczki". To jest ten rodzaj polskiego jazzu, który nazywam Wakacje z duchami. Takie popierdywanie beztroskie, czekając na Teleranek albo Zwierzyniec. Jeszcze tylko jeden Jabes dzisiaj...

Jesteś tym, który pisze i który jest pisany. (1/wstęp)

Tak, dzień był wyjątkowo upalny.

***

Otworzyłem oczy „i dzień długi jak życie był przede mną cały" – jak powiada William Butler Yeats. Zaraz jak wstałem, jeszcze pod prysznicem, postanowiłem porozmieszczać dzisiaj moje koraliki na mieście. One przecież są stąd, wrócę je miastu. Wygrzebałem z pudełka kilkanaście sztuk i schowałem do kieszeni, po czym zrobiłem szukszukę, czyli jajka zmiksowane z pomidorami, cebulą i kolendrą. Do śniadania Edward Stachura w prujących się dżinsowych okładkach i egipski, stary, czarno-biały film. Nie wiem nawet, jaki nosił tytuł, bo włączyłem go w połowie. Egipskie stare filmy powodują u mnie – niczym zastrzyk z relanium – zwiotczenie napiętych myśli i mięśni, powodują natychmiastowe uspokojenie i przykucie do fotela. Najlepsze są te z pięćdziesiątych i sześćdziesiątych lat, naserowskie. Mają w sobie klimat przedwojennych polskich i niektórych powojennych, tych z Cybulskim i Machulskim na

przykład. Są jak razowy chleb z masłem i miodem ściekającym na palce. To często takie teatry telewizji z wnętrzami przypominającymi mieszkanie moich babek i ciotek ze starej Warszawy. Stary, spękany Mokotów.

Mam już sporą ich kolekcję na DVD. Kupuję je regularnie od starszego pana, który handluje ziemniakami, kwiatami doniczkowymi i właśnie starymi filmami. Czasami na swoim wózku ma też wielkie jak dynie bakłażany i kolekcję kompaktów z klasyczną muzyką arabską. Znamy się bardzo dobrze. Od razu wpadliśmy sobie w oko, w ucho i w serce. Hagi Hossam bardzo często zatrzymuje swój kram na kółkach pod moim blokiem i zawsze gromkim głosem odśpiewuje początek jakiejś starej piosenki. Na przykład tak jak dzisiaj, Abdela Halima Hafiza „Ahwak", Uwielbiam cię. Zjeżdżam wtedy zazwyczaj szybko na dół i witam się z Hossamem wylewnie. Potem pytam o piosenkę, a on mi wszystko tłumaczy. To prawdziwy poeta, jak Jabes albo Stachura. Hagi Hossam poprawia swoją wytłuszczoną marynarkę, podciąga równie wytłuszczone i pocerowane gacie, a następnie opowiada mi o nieszczęśliwej i jedynej miłości życia Abdela Halima Hafeza, o romansie ostatniej królowej Egiptu Narriman Sadik z aktorem i piosenkarzem Faridem al-Atrashem, albo konfidencjonalnym tonem przedstawia mi swoją kolejną wersję tajemniczej chusteczki w dłoni Oum Kalsoum. Ja go słucham i potakuję głową, próbując zrozumieć jak najwięcej z jego peror. Czasami mam w kieszeni dyktafon, czasami nie. Mam też cztery zamazane plamy Hagiego Hossama w komputerze. Potem pochylamy się nad wózkiem i grzebiemy razem w stosie filmów lub płytach z muzyką, wszystkich elegancko zapakowanych w papierowe, odbite byle jak na ksero, okładki. Wszystko pirackie, oczywiście. Hossam pachnie mocno czosnkiem, cebulą i świeżą ziemią oraz śmierdzi potwornymi papierosami Cleopatra. Moje chrapy lekko się poruszają, kiedy Hossam przesuwa się obok mnie, cytując jakąś poezję lub dialog z egipskiego filmu. Lubię tę nutę zapachową, to jedna z moich ulubionych, ta z tych nut serca, chociaż na wieczór do chińskiego garnituru preferuję raczej glony i koci mocz. Glony z kocim moczem, taki mój słodki groszek, moje piżmo, frezja, kwiat jaśminu, biały hiacynt i różowy pieprzyk, nuta miejsko-morska. Bergamotka, mandarynka i herbatka earl grey prosto z kuwety. Aromat

odpowiedni dla zdecydowanego mężczyzny osiągającego sukcesy w życiu zawodowym i prywatnym, czyli dla mnie. Zapach dynamiczny i bez zahamowań, ze sporą dawką adrenaliny. Delikatne fale tropikalnego morza rozkrajane na pół przez elegancki jacht. Taki właśnie jest koci mocz z glonem.

Dzisiaj kupiłem u Hossama absolutną klasykę: film zatytułowany „Ayyamna al-Holwa", Nasze piękne dni, z 1955 roku. Czarno-biały oczywiście, tak, jak trzeba i tak, jak lubię. W rolach głównych rzeczony Abdel Halim Hafez, młody Omar Sharif i jego późniejsza żona Faten Hamama, dla której słynny aktor przeszedł na islam. O, dużo sobie obiecuję po tym dziele, wieczorem otoczę je dymem z sziszy. Hafez był, jak to często w Egipcie, aktorem i piosenkarzem w jednym, czasami też tańczył. Do filmu dokupiłem jeszcze płytę Layli Mourad, dwa kilo kartofli, pęczek bazylii i na koniec dostałem gratisowego bakłażana oraz szorstki pocałunek w czoło. Hagi Hossam został na ulicy w eterycznej aurze czosnku i tytoniu i przekrzykując handlarzy starzyzną i roznosicieli gazu, śpiewał zachrypniętym głosem:

Ahwak...
Uwielbiam cię...
We atmana law ansak...
i jeśli kiedykolwiek cię zapomnę...
Ansa rohy wayak...
to tak, jakbym stracił duszę...

Właściwie to ja to też powinienem śpiewać.

W windzie spotkałem Dinę z górą świeżych chlebów-placków. Jej aurą byli dzisiaj Channel i Platon. Dwanaście sekund o dialogu „Parmenides", jeden placek dla mnie i rada, jak nie spalić bakłażana w piekarniku.

Potem dokończyłem zimną szukszukę, popiłem herbatą i przez chwilę patrzyłem na lazurowe morze. Od jakiegoś czasu czekam na delfiny. Doktor Abdurahman, mój sąsiad z dziesiątego piętra, twierdzi, że je widuje czasami z balkonu. Ale dzisiaj znowu nie było ani jednego delfina. Nie szkodzi, będę codziennie ich wypatrywał, mam czas.

Mam nareszcie dużo czasu i chiński garnitur w prążki z kieszenią pełną starych koralików. Wychodzę na miasto. Wychodzę je czynić. Do chińskiego garnituru egipskie sandały i aktówka ze sprzętem. W kieszeni marynarki plastikowa butelka po pepsi, z wodą dla dzikich pomidorów.

W windzie wielkie lustro udające secesję i taśma z wersetami z Koranu. Wpatruję się w lustro; moja twarz staje się coraz bardziej okrągła i śniada – to jedzenie i słońce Egiptu. Na podłodze leży banknot dziesięciofuntowy i kartka, lista zakupów dla *bawwabowej*. Tu jest taki zwyczaj, że mieszkańcy domu wkładają do windy listę zakupów i pieniądze. Na kartce jest numer mieszkania. *Bawwabowa* albo jej mąż od czasu do czasu zaglądają do windy na parterze, zabierają pieniądze, robią zakupy i wkładają je do windy, wysyłając na górę na konkretne piętro. Czasami informują o tym zainteresowanych przez interkom. Jeden lub dwa funty są dla nich. Bywa, że takie pieniądze krążą w windzie godzinę albo dwie, zanim dozorczyni je wyciągnie; tu się nikomu nie spieszy. Kiedy pierwszy raz natknąłem się na leżący na podłodze windy banknot, pomyślałem, że ktoś go zgubił, i oddałem dozorczyni. Ona mi bardzo podziękowała, po czym od razu udała się do sklepu. Dopiero jakiś czas potem, kiedy po raz kolejny znalazłem w windzie pieniądze, zorientowałem się, że to musi być jakiś obyczaj. Teraz już wiem. Patrzę na czerwony, pomięty banknot z popiersiem Tutenchamona i myślę sobie, co by było, gdyby ktoś położył pieniądze w windzie w polskim bloku na godzinę albo dwie. Wychodzę na moją ulicę. Uderza mnie fala gorącego, nasączonego intensywnymi zapachami powietrza, koty grzebią w przepełnionych śmietnikach.

Podlałem już pomidory, idę do *taramy,* czyli tramwaju. Tramwaje aleksandryjskie to rzecz cudowna sama w sobie. Wyglądają jakby pochodziły z czasów wczesnego Gierka albo późnego Gomułki. Toczą się wolno i majestatyczne, zgodnie z rytmem życia swoich pasażerów i rytmem miasta. Czcigodnie zgrzytają, trzeszczą oraz niemiłosiernie piszczą. Pogniecione, pogięte, niekiedy już pordzewiałe, w środku mają niewygodne plastikowe albo drewniane ławki i grubych, wąsatych kanarów, żonglujących plikami banknotów. Zawsze podziwiam ich za niesamowitą zdolność rozpoznawania w tłumie twarzy pasażerów: kto zapłacił już za

bilet, a kto jeszcze nie. Czasami kanary muszą staczać bitwy z młodymi chłopakami, którzy jeżdżą na gapę na tramwajowych buforach albo na zewnętrznych stopniach, ocierając się o słupy i drzewa. Bilet kosztuje ćwierć funta, jakieś piętnaście groszy. W tramwaju można jeść, pić, palić papierosy oraz głośno śpiewać, co zdarza się tutaj ludziom dosyć często. Bardzo lubię nimi jeździć, zawsze coś ciekawego zdarza się w *taramie*.

Do mojej stacji – mahatta Camp Shezar – mam jakieś czterysta, pięćset metrów wąskimi, ocienionymi uliczkami, ustrojonymi sznurami z kolorowymi lampkami, praniem i reklamówkami pepsi-coli. Codziennie chadzam nimi, wchłaniając w siebie tynki murów, pył chodników i zieloność oczu poobdrapywanych okiennic. W niektórych oknach zawsze o tej porze siedzą kobiety i mężczyźni, przeważnie starzy, z rękami opartymi na poduszkach. Czasami z przysypiającym obok kotem albo klatką z kanarkiem. Z przysypiającym obok czasem. Kiedy idę tymi samymi uliczkami wieczorem, w innych oknach siedzą inne osoby, ale bywa, iż w oknach porannych widzę te same twarze. Cały dzień w oknie, to cudowne! Zawsze mniej więcej jest ten sam układ siedzących i patrzących, ten sam obraz, stałość, niezmienność, tradycjonalizm. To dotyczy wszystkiego tutaj, powoli to odkrywam i sam staję się częścią tej stałości, tej aleksandryjskiej skamieliny. Bardzo tego pragnę, bardzo. To miasto zawsze jest na swoim miejscu. Zauważyłeś, jak często czyniąc al-Iskanderiję, używam słowa „zawsze"? Niech tak zawsze już będzie. Na zawsze i zawsze, jak mówią Anglosasi. To jest bardzo dobre powiedzenie.

Jak jest zima, to mój spacer w dużej mierze polega na umiejętnym przeskakiwaniu i omijaniu rozległych kałuż po monstrualnych deszczach, które zalewają wtedy miasto, ale kiedy jest lato – tak jak teraz – to kroczę powoli, aby nie przegrzać organizmu już na samym początku dnia, niespiesznie omijając kocie obiady oraz świeże i nieświeże ośle kupy, zostawiane przez zamyślone zwierzęta ciągnące swoje wózki. Czy Edmond Jabes skakał przez kałuże jak ja? Czy jego eleganckie sztyblety także wdeptywały w ośle gówno? Gdzie chodził Edmond Jabes w swoim prążkowanym garniturze? I najważniejsze pytanie, które męczyło mnie dzisiaj w nocy: czy też widział strzałki?

Jeszcze nie ma dziesiątej, większość sklepów i zakładów jest o tej porze zamknięta. Wczoraj były pootwierane do pierwszej czy drugiej w nocy, czasami do *salat al-fadżr,* czyli do pierwszej modlitwy o brzasku. Tak tutaj właśnie jest w lecie, nocne życie przede wszystkim. O północy można pójść do *ahły* na szklankę herbaty albo z wizytą do krawca. Ja już dawno przestawiłem się na ten rytm, tak jest zdecydowanie chłodniej, a i pisanie zawsze przychodziło mi łatwiej w nocy.

Po drodze często – tak jak dziś – wstępuję do sklepu Daniela i kupuję ćwierć kilo orzeszków ziemnych. Daniel, starszy, siwy jak gołąb pan z wytatuowanym na dłoni krzyżem, jest niewidomy od urodzenia. Rozmawiamy zabawnym anglo-arabsko-francuskim miksem. Chrześcijanie aleksandryjscy, szczególnie ci starszego pokolenia, używają języka francuskiego w rozmowach z cudzoziemcami. Jedna z najlepszych szkół w mieście – College St. Marc – jako język wykładowy ma francuski. Daniel prowadzi swój sklepik w tym miejscu od prawie siedemdziesięciu lat, sam dokładnie nie pamięta. Przedtem prowadził go jego ojciec. W chwili, kiedy Daniel wypowiada słowo *abuya* – mój ojciec – zawsze na kilka sekund zamiera, pochyla głowę i w milczeniu kreśli w powietrzu znak krzyża. Potem znowu zaczyna się uśmiechać i prosi mnie, abym mu coś opowiedział o Polsce. Idąc do tramwaju, zawsze przygotowuję sobie jakąś krótką polską historyjkę dla niego.

Daniela interesuje wszystko, jest niesłychanie osłuchany. Jak mówi, od wczesnej młodości skupuje książki z wszystkich dziedzin i specjalności i codziennie każe najbliższym czytać je sobie. Pyta mnie o historię Mieszka I, Powstanie Warszawskie albo o różnice w cenach wołowego mięsa między prowincją a Warszawą. Interesuje go Wałęsa, Maria Curie-Skłodowska i kolor liści w polskich lasach. To są jakieś dwie, trzy minuty dialogu w tym naszym wspólnym języku. W tym czasie niewidomy Kopt metalową łychą sypie orzeszki do papierowej torebki, ja odliczam pieniądze i opowiadam – tak jak dzisiaj – o śnieżnym bałwanie z marchewkowym nosem, którego lepiłem w dzieciństwie, oraz o jodle z bombkami i wydmuszkami. Daniel jest rozpromieniony, bo nie znał *blowing egg-shells*, jak nazwałem wydmuszki, bo absolutnie nie wiem, jak to powiedzieć po arabsku. Potem pyta, czy na wadze jest ćwierć kilo

czy nie. Czucie w dłoniach ma po prostu niesamowite, bo prawie zawsze jest to tyle, ile zamawiam. Dzisiaj sypnął parę gramów za dużo. Mówię mu o tym, a on delikatnie ujmuje trochę orzeszków. Następnie bierze ode mnie banknoty i pyta, czy ma coś wydać, czy jest akurat. Mówię, że powinien mi wydać pięćdziesiąt piastrów. Daniel podaje mi banknot i pyta, czy to jest właśnie pięćdziesiąt piastrów, ja mówię, że nie, że to jest gwinea, czyli jeden funt, ale dodaję, żeby nie szukał, tylko mi dał tę gwineę, a ja mu wydam pół funta, co też czynimy. To jest zupełnie niesamowite, zupełnie niesamowite, jak koptyjska msza z Dair Maqariyus, to mnie pozytywnie ustawia na cały dzień.

Dwie, trzy minuty dialogu. Liturgia koptyjska. Czarne okulary znowu swędzą za uszami; będzie dobry dzień. Jeszcze tylko puszka coli w sklepiku na peronie, pokrytym dzisiaj wyjątkowo grubą warstwą petów i opakowań po chipsach.

O dziesiątej rano nie ma tłoku w *taramie*. Dzisiaj miałem szczęście, zajechała ta najstarsza, przedwojenna, chyba z lat trzydziestych. Wyglądała jak moja stara ciotka wtaczająca się z metalową tacą z herbatami do salonu. Dzwoniła, jęczała i szurała. W Aleksandrii są trzy rodzaje tramwajów: niebieskie, pochodzące tak na oko z lat siedemdziesiątych – nazywam je „gierkami" – żółte, wąskie i potwornie niewygodne, chyba jeszcze starsze od niebieskich, więc nazywam je „gomułkami", i kilka przedwojennych, troskliwie odrestaurowanych, które oprócz tego, że cieszą oczy turystów, pełnią swoją normalną transportową służbę. Wyglądają jak ze starych warszawskich pocztówek, jak zresztą wiele rzeczy w tym mieście. Jest wielka szansa, że jeździł nimi Jabes i Demis Roussos – bo on też z Aleksandrii, spędził tutaj pierwszych dziesięć lat życia. Wyobrażam sobie ich obu, jak przypadkiem, gdzieś w pięćdziesiątych latach – jeszcze przed kryzysem sueskim – spotykają się w tej właśnie *taramie* i siadają na tej właśnie drewnianej ławce, zapatrzeni w swoje miasto za oknem. Mały Demis trochę popierduje i pobekuje po wczorajszej musace, więc Edmond mierzy go karcącym spojrzeniem, wachlując się złożoną na pół „Egyptian Gazette". Prycham w dłoń ze śmiechu, po czym salam alejkumuję kanarowi, kupuję bilet, siadam na drewnianej ławce pełnej flamastrowych wyznań miłosnych

i zaczynam łuskać orzeszki, wystrzeliwując skorupki przez szeroko otwarte okno *taramy*. Staram się trafiać w mijane słupy trakcyjne. Od razu stawiam sobie w głowie zakłady i różne postanowienia, co zrobię, a czego nie, jeśli trafię w następny słup. Kilka błyskawicznych aktów strzelistych o tematyce tak nonsensownej, że nawet nie mogę o tym napisać, i szybki pstryczek-sssyczek zawleczki od cocacolowej puszki. Wypijam napój prawie jednym haustem, martwiąc się, żebym tylko dowiózł beka do pętli, do mahatta Raml; jestem człowiekiem kultury, pisarzem, nie będę bekał w tramwaju jak Roussos. Na ławce naprzeciwko mnie kiwa się młody, brodaty chłopak z małym Koranem w ręku. Na głowie ma coś na kształt dreadlocków zwieńczonych czymś na kształt czapki. Słyszę jego cichą, monotonną, śpiewną recytację. Chłopak ma na sobie żółto-zieloną koszulkę reprezentacji Brazylii. Numer 10. Dziesiątka to napastnik, pamiętam to z czasów gry w kapsle. Nogi w czerwonych adidasach oparł na kartonie z telewizorem marki GZ Hongxun Electronic Co. Ltd., który z pewnością dopiero co zakupił u chińskich kupców z Ibrahimii.

Ja wyjmuję z aktówki Księgę Jabesa. Księga Pierwsza – Księga Pytań. Jadę przecież dzisiaj do jego dzielnicy, poniuchać po starych kątach. Ale najpierw zapisuję w notesie nazwę chińskiego telewizora. To rzecz niezwykle ważna, religijna bym powiedział. Okej, teraz Jabes:

Słowa są nami, drzwiami uchylonymi w przestrzeń; odgaduję je dotknięciem dłoni, rozpoznaję po śladach, które pozostawiły. (1/153)

Koło okna, między uszczelką a ramą, jest mała dziurka, akurat na mały koralik. Wsuwam dłoń do kieszeni. Ach, szyfry transcendencji, bądźcie zawsze ze mną. Na zawsze i zawsze.

Pstryk łupinką i kolejny słup trafiony. *Tarama* jęczy i wzdycha sentymentalnie; jest już stara i bardzo zmęczona, wiezie przecież taki ciężki bagaż wspomnień. Czuję, jakby była żywa, jak te piękne, pokryte zmarszczkami kamienice za jej oknami. Jak restauracja Athineos, którą właśnie mijam, jedna z najstarszych w mieście. Tu na pewno Roussos jadał te gazopędne musaki z bakłażanami i późnowieczorne,

cudowne ośmiornice w gęstych sosach z pachnącym anyżkiem tzatziki. Tu z pewnością kardamonową kawę sączył Edmond Jabes, kontemplując rozgrywającą się przed jego oczami Księgę. Może tutaj właśnie, przy wystawionym na trotuar starym żeliwnym stoliku, donna Amalia przewijała małego, wrzeszczącego Filipka Tomaszka Marinettiego – autora wariackiego „Manifesto del futurismo", którym tak zachwycałem się w młodości. Obok donny Amalii swojemu słodkiemu maleństwu mogła wtykać do dzioba smoczek piękna Klara Munch, a tym słodkim maleństwem był Rudolf Hess, który też stąd, też stąd.

Donna Amalia i Frau Klara w kapeluszach od Elsy Schiaparelli, wymieniając codzienne plotki, z pewnością jak zawsze narzekały na aleksandryjski upał i wszędobylski pył, tęsknie wzdychając za swoimi dalekimi, chłodnymi Toskaniami i Bawariami. Tu, w Athineosie, w podcieniach stylizowanych na greckie patio, z pewnością popalał sziszę sefardyjczyk, lingwista i piosenkarz-poeta Georges Moustaki, zatopiony we francuskich, włoskich, greckich i arabskich poezjach. Tu mógł snuć swoje wielkoarabskie plany Gamal Abdel Nasser w czasie, gdy przy stoliku obok swoje finansowe plany snuł inny dystyngowany młody człowiek – Mohamed al-Fayed, dzisiejszy właściciel londyńskiego Harrodsa. To tutaj właśnie, w najdalszym kącie tego spatynowanego czasem i kurzem lokalu, całowali się kiedyś Michel Demitri Shalhoub – Grek, Libańczyk, Syryjczyk, a na pewno Egipcjanin – znany bardziej jako Omar Sharif – i powabna Faten Hamama, którzy oczekują mnie dziś wieczór w moim odtwarzaczu DVD. Płyną chmury na lazurowym niebie i płynie czas...

Ala balad el mahboub – jak śpiewała niezapomniana Oum Kalsoum. – Nad miastem zakochanych... Tak, to wszystko jest jak jakiś film, a ja jestem scenarzystą, reżyserem i aktorem... Widzę moje miasto w obiektywie komórkowego telefonu. Pstryk, pstryk, pstryk. Stara *tarama* jęczy i wzdycha sentymentalnie.

Płynie czas... ale on nie jest nieubłagany, jak myśli wielu, wcale nie, wcale nie...

Mahatta Raml to stacja końcowa, wyskakuję z tramwaju i wypstrykuję ostatnią łupinkę w ostatni słup. Coś wygrałem, ale nie mogę sobie przypomnieć, o co się założyłem sam ze sobą. Zmęczona ciotka *tarama* już przysypia na bocznicy. – *Bye-bye, baby* – szepcę do niej i bekam w rękaw, jednak dowiozłem beka na miejsce. *Raml* po arabsku znaczy piasek, pewno dawno temu sięgała tu pustynia. Dzisiaj nie ma piasku, jest za to pełno kiosków z gazetami, pirackimi płytami i hamburgerami, między którymi rozłożone są wielkie, zielone, plastikowe maty pełne bawiących się dzieci i pogrążonych w modlitwach ludzi. Popularna Ramla to miejsce, w którym młodzi aleksandryjczycy umawiają się na randki. Bezustannie słychać tutaj, nastawione na full, telefony komórkowe z melodiami egipskich przebojów zamiast dzwonków. Grupy nastoletnich, potwornie nażelowanych chłopaków przechadzają się wkoło z przesterowanymi, dudniącymi boom-boxami i kiedy modlący się kończą już swoje modlitwy, zaczynają na tych samych matach ewolucje taneczno-akrobatyczne, będące niesamowitym miszmaszem breakdance i tańca arabskiego. Za jednego funta jest tutaj gorący popcorn, za dwa coca-cola albo *fairouz* – okropny gazowany napój jabłkowy z puszki. Ludzie czekają na swój tramwaj, jedzą, piją i klaszczą rytmicznie, zachęcając okrzykami tańczących. Naprzeciwko Ramli, po drugiej stronie sharia Saad Zaghloul, usadowił się wielki Gad – rewelacyjny egipski fast-food. Pita z szawarmą, tzatziki i sok ze świeżych pomarańczy w tempie ekspresowym wpadają w dłonie zamawiających. Przed lokalem długa kolejka czekających; tu jest bardzo tanie jedzenie na ulicy. To stara tradycja jedzenia poza domem, wspólna dla całego Południa. Bardzo dobra tradycja. Zawsze byłem zafascynowany tanimi knajpkami, smażalniami i garkuchniami Afryki i Azji, gdzie zwykli ludzie mogli się najeść do syta za małe – nawet dla nich – pieniądze. W Egipcie tanie knajpy, tak jak zresztą większość małych lokali, mają bardzo niskie, czasami wręcz symboliczne czynsze. Niewidomy Daniel płaci za swój lokal siedemset funtów rocznie, czyli niecałe czterysta złotych. Tych lokali jest niezmierzona ilość, egipskie miasta dosłownie toną w ich zalewie. Prowadzą je, często z pokolenia na pokolenie, całe rodziny. Bardzo często jest tak, że na dole jest sklep, knajpa albo

warsztat, a na pierwszym piętrze mieszka rodzina, która od pokoleń prowadzi interes na parterze. Gdy ktoś się żeni albo wychodzi za mąż, dobudowuje się piętro. Jest tutaj ogromna pajęczyna małej i starej, obrosłej tradycjami, przedsiębiorczości rodzinnej, której nie zdążył jeszcze zniszczyć globalny supermarket. W czteromilionowej Aleksandrii jest tylko jeden wielki Carrefour na obrzeżach miasta, w którym ceny są wyższe niż w małych sklepach. Wszędzie za to jest natłok sklepów i sklepików, bud z warzywami i mięsem, małych i większych kramików, które nierzadko funkcjonują w tym samym miejscu od ponad stu lat czy więcej. Pieniądze, tylko gotówka, przechodzą z rąk do rąk ludzi, z minimalnym pośrednictwem państwa. Własność prywatna jest tutaj absolutną świętością. Wiele interesów ubija się bez żadnych rachunków i faktur, bez żadnych poświadczeń i kwitów, tylko na słowo honoru. Tuż obok mojego domu jest duży francuski bank NSGB. Nieraz widzę, jak wychodzi z niego któryś z pracowników banku i wynosi worki z pieniędzmi, które nonszalancko wrzuca do bagażnika osobowego samochodu, po czym odjeżdża. Sam jeden, bez żadnej ochrony.

Większość sprzedawców i rzemieślników płaci stały ryczałt państwu. Nieduży, naprawdę nieduży; wypytywałem o to wielokrotnie. To jest właśnie to, co wielu ludzi na Zachodzie nazywa pogardliwie „gospodarką bazarową", a co daje tutaj godne życie milionom ludzi. W Gadzie można zjeść wielki posiłek za dziesięć funtów, czyli pięć czy sześć złotych, ale w tych malutkich, zatłuszczonych smażalniach-dziurach-w-ścianach prosty i sycący obiad ze szklanką herbaty można dostać nawet za połowę tego. Ja zazwyczaj tak właśnie jadam. Nie wchodzę do Gada, jestem dopiero co po śniadaniu, patrzę tylko przez chwilę, jak roześmiani od ucha do ucha sprzedawcy w firmowych T-shirtach i czapeczkach uwijają się jak w transie, nieustannie wykrzykując numery dań w stronę kuchennego okna, z którego wydobywają się kłęby dymu i migają zacięte twarze kucharzy. Odnosi się wrażenie, że ci sprzedawcy też tańczą, jak ci chłopcy na plastikowych matach. Ten rytm miasta, ten wibrujący, wciągający rytm, będący jakimś dziwnym, nieodgadnionym połączeniem muzyki, religii, zmysłowości i gorącego wiatru czuć bardzo dobrze właśnie na Ramli. To wszystko zlewa się w jedną szumiącą całość, stanowi jedną

pulsującą plazmę. To życie. Czuć je tutaj.Wiatr rozwiewa stosy śmieci ponad głowami tańczących arabski breakdance...

Między Gadem a kioskiem z gazetami w szparę w ścianie, obok lampy, wsunąłem koralik. Jakbyś kiedyś tu był, to poszukaj dobrze.

Do Manszei z Ramli jeszcze kawałek drogi, postanowiłem pojechać *mashruą,* czyli minibusem, których krąży nieprzebrane mnóstwo po mieście i które – machnięciem ręki – zatrzymuje się gdziekolwiek. To przeważnie niezwykle tu cenione toyoty hiace, które podobno potrafią przejechać milion kilometrów na tym samym silniku, jak twierdził jeden z kierowców, ale z dnia na dzień po ulicach coraz więcej jeździ chińskich jin bei i indyjskich tempo travelerów. Te pierwsze do złudzenia przypominają toyoty, te drugie to prawie kopie busów mercedesów. Widziałem te samochody chyba wszędzie, gdzie byłem: od Dakaru po Bombaj. W Aleksandrii jak grzyby po deszczu wyrastają małe i duże salony z chińskimi autami – od malutkich chery qq, prawie kopii matizów, po ogromne terenówki i autokary. Najpopularniejszą marką jest tutaj Speranza. Jest już od prawie trzech lat na egipskim rynku, więc wielu potencjalnych klientów czeka na efekty trzyletniego używania speranz przez tych, którzy – skuszeni niską ceną – zaryzykowali i kupili od razu. Ale chyba samochody są dobre, bo pojawia się ich coraz więcej i więcej.

Speranze występują w wielu odmianach i modelach, wszystkie przypominają z daleka auta różnych znanych zachodnich i azjatyckich marek, od których kosztują dwa razy mniej. Poza tym – jak mi mówili Egipcjanie – chińscy producenci samochodów oferują jakieś wyjątkowe warunki do prowadzenia salonów z ich produktami, więc i potencjalnych dealerów jest bardzo dużo. Coraz częściej w gazetach i na ulicznych banerach pojawiają się ogłoszenia reklamujące naukę chińskiego. Uczą oczywiście Chińczycy, którzy już dawno nauczyli się arabskiego u siebie w Chinach, zanim jeszcze pojawili się w Egipcie, Syrii czy Maroku. Jak twierdzą Egipcjanie, chińscy nauczyciele mówią perfekt po arabsku, a dokładnie w *'ammiyi,* dialekcie egipskim.

Z daleka mruga już do mnie reflektorami biały jin bei, macham ręką i wsiadam do środka, nie pytając o drogę; stąd wszystkie *mashruy* jadą do

Manszei. Chiński bus pełen jest zakfewionych studentek ze skryptami w rękach oraz wersetów z Koranu – wiszących pod przednią szybą i wybrzmiewających z nastawionego na full radia. Czarne *niqaby* chichoczących studentek, ich długopisy, srebrne i złote torebki, plastikowe sandałki z motylkami, koszula w paski kierowcy, jego spodnie, mój garnitur, moje majtki, mój dyktafon, aparat, komórka, miarka i notes – to wszystko pochodzi z Chin. Tylko moja brązowa, bardzo brzydka, czyli niezwykle piękna aktówka z żółtym napisem *Kablobeton – przedsiębiorstwo budowlane* na boku nie jest chińska, jest z 1976 roku, ze starej dobrej Polski Ludowej. Jest prawdziwa i bezcenna. I Jabes, Jabes też nie jest chiński, ale kiedyś... może za kilkaset lat on także będzie chiński, kto wie...

Wciskam kierowcy pół gwinei. Pędzimy opętańczo zatłoczonymi uliczkami w stronę Manszei, niegdysiejszej dzielnicy aleksandryjskich Żydów.

Przez szybę auta patrzę na aleksandryjskie ulice i myślę, co powinienem teraz o nich napisać – o tych arabskich ulicach. Myślę o tym, co Ty teraz czytasz. Dokładnie o tym właśnie. I trochę się martwię, że nie wiem, co mam napisać o tych zatłoczonych, pełnych samochodów, wózków i furmanek ulicach mojego miasta, bo widziałem takie ulice już w wielu krajach arabskich i one wszystkie są do siebie podobne, a ja opisałem je już przecież w poprzednich książkach. Nie chcę się powtarzać, mimo iż nie chce mi się nic pisać, mimo iż jest bardzo, bardzo gorąco, a ja jestem zmęczony. Nie chce mi się pisać, słyszysz mnie? To nie kokietowanie i poza, ja po prostu chciałbym usiąść, zapalić sziszę i gapić się tylko na te ulice, jak ci faceci za oknami jin beia.

A muszę przecież pisać.

Ale jesteśmy już umówieni, że kiedyś tak właśnie będzie, pamiętasz, prawda? Ja nie będę pisał, ale Ty będziesz czytał. Czasami dojdzie Cię dym z sziszy, przyrzekam.

Okej, niech będzie, piszę, piszę, no popatrz tylko sam: niby takie same ulice jak w Damaszku, Fezie czy Bejrucie, ten sam *feeling*, *ambiance* i *aijsz*, ale tylko tu, właśnie tu, w al-Iskanderiji, w dzielnicy Manszeja, gdzie pół wieku temu ośle kupy przeskakiwał pewien żydowski poeta, teraz – 20 czerwca 2009 roku, o 11.16 – na rogu sharia el Bahariye i sha-

ria Ismail Sabri zza uchylonego okna chińskiego busa widzę papierową torebkę, którą porywa podmuch gwałtownego wiatru, wysoko, wysoko, kilkanaście metrów ponad ulicę. Torebka obija się o balkony, latarnie, słupy, drzewa, owija się wokół rozciągniętych nad ulicą kabli, jakby tańczyła, zmysłowo i zalotnie kręcąc swoimi papierowymi bioderkami, a potem spływa powoli na dół razem z innymi śmieciami, prosto na głowy tych mężczyzn palących sziszę, którzy – nie odwracając wzroku od ulicy – oganiają się od niej jak od muchy, osy albo jak od papierowej torebki właśnie. Torebka zaczepia ich i kokietuje jak tancerka belly-dance'u, spada nagle na chodnik i chwilę drga rytmicznie w miejscu niczym *bailaora* flamenco, potem znów podrywa się kilka metrów w górę i na koniec nieruchomieje na sekundę w powietrzu, jakby się nad czymś zastanawiała, i zrezygnowana powoli i dostojnie opada na kurek z zapalonym gazem w smażalni falafelu. Nikt nie zauważył jej tragicznej śmierci, nikt nie zwrócił uwagi na jej piękne akrobacje w powietrzu. Kilka sekund i już czarny popiół rozwiewa wiatr. I tak to właśnie wygląda, te arabskie ulice, jakbyś miał jakieś wątpliwości.

Jeden koralik w lekko nacięty skaj siedzenia jin beia. Głęboko w gąbkę. To jest fotel w ostatnim rzędzie, pierwszy od lewej strony. Biały jin bei, numer tablicy rejestracyjnej: Alex – Taxi 21927. Jakbyś kiedyś tu był, wiesz…

I już idę przez małe, ciasne i wąskie uliczki Manszei. Takie same jak w starym Damaszku czy Marrakeszu. Ale to nieprawda, nieprawda, wystarczy tylko podnieść wzrok i poszukać pewnej szarej, latającej papierowej torebki i już jest inaczej.

Podnoszę wzrok, nie szukam torebki z papieru, szukam żydowskich liter i sześcioramiennych gwiazd. Mam to już obcykane, mam dosyć dobrze opanowaną penetrację *mellahów*.

Mellah, *melh* to po arabsku sól. Tak nazywały się w Kalifacie żydowskie dzielnice. Od pierwszego *mellahu*, który powstał w 1438 roku w Fezie, w dzielnicy noszącej taką właśnie nazwę.

Usłyszałem tutaj kiedyś w radiu piosenkę Layli Mourad – *Al aijsz wa melh* – chleb z solą – i od razu zrozumiałem, o co w niej chodzi, mimo iż słabo mówię po arabsku. To smutna piosenka.

Kocham Laylę Mourad, bo ona zawiera w sobie to, co kocham najbardziej. Jej mama była z Polski, ale nie była Polką. Musisz jej sam posłuchać, ja i tak mówię za dużo.

Gęsta plątanina wąskich, zaniedbanych i spatynowanych czasem uliczek. Kałuże, gruz, śmieci, koty, koty, koty – moi włochaci przyjaciele. I przepiękne, chylące się ku upadkowi domy. Nie wiem nawet, jak je określić, nie znam się też za bardzo na architekturze, to chyba nie kamienice, to coś jakby wielki plaster starych, pokruszonych murów z nieregularnie powybijanymi, zakrytymi zielonymi okiennicami oknami – dużymi, małymi i zupełnie malutkimi, w których, tak jak w mojej dzielnicy, tak jak wszędzie tutaj, przesiadują, oparte na poduchach, grube kobiety w papilotach, z malutkimi dziećmi po bokach. Patrzą na mnie, przypatrują się mi uważnie. I te domy, tak jak w Ibrahimii, i te kobiety na wyszywanych kolorowych poduszkach. Jestem nie stąd, wyglądam na cudzoziemca, robię zdjęcia telefonem, coś szepcę do mikrofonu dyktafonu, siadam na schodach klatek schodowych i coś tam zapisuję w czarnym notesie, długo przyglądam się w milczeniu miejscom, w których pozornie nic nie ma. Domy tłoczą się i wpadają na siebie, pochylone we wszystkie strony, jakby zamarły w jakimś tańcu, jak uchwyceni w obiektywie pijacy albo chasydzi. Już wiem, skąd je znam – to domy z obrazów Marca Chagalla, domy z książek Bruno Schulza, domy z piosenek Layli Mourad. Niektóre, jak jacyś schorowani starcy, podtrzymywane są przez drewniane konstrukcje, trochę przypominające wręgi łodzi. Widziałem takie konstrukcje w *mellahu* w Damaszku, *mellahu* w Marrakeszu, starych dzielnicach Asmary. Niezliczone warstwy farby, odpadające płaty tynków, gdzieniegdzie dziury jak po kulach, jak w Warszawie, całe serie dziur na ścianach. Tak, znam te dziury z Warszawy. Od dziecka je oglądam, one tam zawsze były, w moim starym mieście, one tam zawsze będą. Towarzyszą mi od przedszkola na Wiślanej, którego ściany pokryte były takimi właśnie kamiennymi ranami, aż po moje ostatnie mieszkanie na Stępińskiej na Mokotowie, w przedwojennej kamienicy, gdzie kulami poranione były schody na klatce. Ale tu? Kto tu strzelał, kiedy? Niemcy, Włosi, Anglicy, Egipcjanie? Muszę sprawdzić w domu, w książkach i internecie, ale teraz muszę poszukać drzwi, znowu szukam drzwi, jak zwykle…

Czarne belki z szerokimi szparami, z których wytryskują ku słońcu zielone łodyżki chwastów. Pomarańczowe karaluchy bezszelestnie przemykają pod murami. Z okien na sznurkach zjeżdżają w dół wiklinowe koszyki, do których roznosiciele chleba i warzyw wrzucają swoje produkty. To bardzo popularna metoda zakupów w moim mieście. Sztandary prania powiewają nad Manszeją. Drzwi, muszę zobaczyć drzwi. Drzwi do tych żydowsko-turecko-arabskich kamienic.

Zawszę patrzę w byłych *mellahach* na drzwi i ich okolice. Jednym rzutem oka rozpoznaję żydowskie bramy, mimo iż nie mam żadnego pojęcia o ich historii i nie posiadam żadnej wiedzy teoretycznej na ich temat. Nauczyłem się tego sam podczas podróży.

Często na szczycie jest lew, ptak, korona albo gwiazda Dawida, tak jak teraz, w tej malutkiej, niesamowicie wąskiej uliczce, przypominającej górski wąwóz, w której domy-starcy pochylają się ku sobie, jakby zamierzały zaraz paść sobie w objęcia. Często są tylko po nich ślady; czyjeś ręce je usunęły. Gwałtownie i ze złością. Wieczna wojna, wieczna nienawiść.

Czasami na murze obok drzwi jest mała srebrna strzałka... Tak jak teraz. Tutaj. Jest!

Poza tym w żydowskich drzwiach jest jakaś charakterystyczna, żelazna ornamentyka nad górną belką framugi, na pierwszy rzut oka wyglądająca jak arabska czy turecka, ale po bliższym przyjrzeniu się nieco jednak inna. To jest orientalna arabeska, ale jakby trochę oddzielna, osobna, jakby przyklejona, tylko udająca arabeskę. Nie wiem, co to jest, ale zawsze to wyczuwam i wiem, że mogę uchylić takie drzwi i cicho wejść do klatki schodowej. Potem już pozostaje mi tylko szukać zamazanych hebrajskich liter i tych utłuczonych symboli. Tak było w Damaszku, tak było w Rabacie, tak jest teraz.

Tutaj.

Boże, jak ja bym chciał Ci powiedzieć, jak jest teraz. Jak jest tutaj. Nie, nie chodzi mi tylko o tę chwilę w starej, pachnącej czosnkiem i kocim moczem żydowsko-arabskiej klatce schodowej, nie, chodzi o chwilę i miejsce w ogóle. I w szczególe. Naprawdę, to jest niesamowite, ta chwila, ta jedna chwila, która jest zawsze i tutaj. Ale nie opowiem Ci

o niej teraz, nie potrafię, nie umiem. Jeszcze nie teraz opowiem Ci o teraz i tutaj. Kiedy indziej, *inshallah*.

Na krzesełku pod zagrzybioną i obdrapaną ścianą przysypia gruby *bawwab*; nie obudził się, mimo iż drzwi jęknęły i pisnęły smutno. Dozorca pochrapuje cicho, muchy chodzą mu po czole, wąsach i po pocerowanej galabii. Omiatam wzrokiem półmrok przetykany wąskimi strumieniami słonecznych promieni wpadających przez drzwi i niewielkie okno. Światło fascynuje mnie od niepamiętnych czasów. Okej, już mam: za plecami *bawwaba* widzę pierwszą hebrajską literę, potem, nieco wyżej, następną i jeszcze dwie, i jakiś napis albo słowo. Potem chyba jeszcze jakaś litera, ale nie, to dzieciaki, to dzieciaki wyryły coś gwoździami albo kluczami. Klatka pełna śmieci, pod sufitem dostrzegam rząd pokruszonych stiuków wyobrażających liście i kiście winogron. Cichutko wyciągam z aktówki komórkę, boję się pstrykać tutaj aparatem, i robię kilka zdjęć literom, stiukom i grzybom na murach. Fotografuję plamy, fotografuję cienie, fotografuję czas. Tu byłem: Edmond Jabes. Tu na pewno byłem. Potem ostrożnie przybliżam się do napisu. Ledwo go znać, jest kompletnie zamazany, w ciemnym kącie. Bardzo powoli uchylam szerzej okiennicę okna obok *bawwaba*, żeby wpadło więcej światła. Klik, klik, klik. Czarna nokia made in China. Teraz patrzę na ekranik telefonu, najpierw litery, pierwszą jest:

ה

Potem następne zdjęcie, bardzo słabo widoczna litera:

ב

I następna litera, taka sama jak pierwsza:

ה

I ostatnia, złapana z małą muchą:

א

A potem to słowo koło okna, bardzo słabo je widać, to coś jakby:

תקווה

Ale może to nie to? Może to zupełnie coś innego?

Piotrek, ty sobie chyba za dużo wyobrażasz?

Prawdziwe poznanie to stałe zyskiwanie pewności, że w istocie nie dowiemy się niczego; ponieważ Nic jest także poznaniem, będąc odwrotną stroną Wszystkiego, na podobieństwo powietrza, które jest odwrotną stroną skrzydła. (Jabes, 1/130)

Popękane schody. Pokruszałe kiście winogron. *Aijsz wa melh,* chleb i sól. Edmond Jabes.

Cichutko wychodzę z domu, żeby nie zakłócić snu grubego *bawwaba*. Wielka, obrzydliwa mucha wylądowała właśnie na jego policzku, odpędzam ją niezdarnymi ruchami spoconych dłoni, coś szepcę do siebie. Ta chwila teraz... teraz i tutaj.

Zawsze.

Ściskam pod pachą moją peerelowską aktówkę i ponownie zanurzam się w plątaninie wąskich, ciemnych uliczek. Kolorowa bielizna rozwieszona w poprzek uliczki łopocze na wietrze. Na jednej ze ścian wielki mural przedstawiający Osamę bin Ladena z gitarą, ucharakteryzowanego na Elvisa Presleya stojącego w charakterystycznej pozie – na czubkach palców przed mikrofonem z lat pięćdziesiątych. Pod muralem podpis: *Love me tender*. Muszę iść i pisać. Zerwał się silny wiatr, taki, jaki zdarza się tutaj często, wciskając do nosa i oczu morską wilgoć przemieszaną z kurzem i pyłem. Jeden z wiszących staników urwał się ze sznurka i spadł mi pod nogi, prosto w kałużę. Przez moment w milczeniu wpatrywałem się w ten zbrukany stanik. Poczułem ból; ten widok mnie zabolał. Ten bezbronny, unurzany w błocie stanik. Małe metalowe drzwi z domu obok otworzyły się z nienaoliwionym przeciągłym, zimnym jękiem i młoda dziewczyna w hidżabie na głowie wypadła na uliczkę. Pochyliła się nad stanikiem i w zatroskaniu go podniosła. Potem spojrzała na mnie i uśmiechnęła się delikatnie, chowając wstydliwie stanik za plecami. Zdążyłem zauważyć, że długie, szczupłe dłonie miała pokryte arabeską amarantowej henny. Odwzajemniłem jej uśmiech, chociaż zabolało mnie jeszcze bardziej. Gdzieś za murem krzyknął kot. Potem drugi, potem jeszcze jeden i następny. Koty śpiewały o Manszei.

Szedłem dalej i pisałem. Muszę przecież pisać. Bolało mnie. Na hakach u rzeźnika kołysały się trzy odrąbane baranie łby. Wąziutkie

czerwone strużki spływały z otwartych pysków na asfaltowe placki uliczki, tworząc małe jeziora, w których odbijał się blask Manszei. Pochyliłem się nad jednym z tych jezior i spojrzałem na czerwoną taflę. Ujrzałem książkę. Ale to nie była ta książka, którą czytasz, to nie była Księga Jabesa, to było coś innego. Jakaś inna struktura, jakby utkana z niezmiernie delikatnej, eterycznej materii. Coś niesłychanie ulotnego, ale jednak realnego. Czułem upływ czasu. Błyskawiczny i przeszywający całą wyobrażalną, możliwą do wyobrażenia, rzeczywistość. Błysk. Blask. Ułamek ułamka i jednocześnie cała wieczność, chociaż czułem, że to słowo nie ma tutaj żadnej wartości, żadnego zastosowania, odniesienia. Do niczego, albowiem wszystko było teraz wszystkim i niczym jednocześnie. Ale to też nie miało żadnego znaczenia. Było tylko coś na kształt falowania. Usłyszałem cichy głos i podniosłem głowę. W oknie na pierwszym piętrze, za uchyloną okiennicą, stała dziewczyna od stanika i uśmiechała się do mnie delikatnie. Wysunęła pokrytą henną dłoń i nieśmiało wskazała palcem na krwawą kałużę, jakby zachęcając mnie do ponownego na nią spojrzenia. Potem pomachała mi takim gestem, jak macha się komuś, kto właśnie daleko odjeżdża. Trochę bezradnym, trochę smutnym, trochę z nadzieją szybkiego powrotu. Rzeźnik z tasakiem wyszedł na ulicę i zapalił papierosa, ocierając czoło skrwawioną dłonią. Błysnął pierścień albo sygnet. Rzeźnik zaciągnął się głęboko i spojrzał na mnie, ale odniosłem wrażenie, jakby mnie w ogóle nie widział. Patrzył na wskroś mnie, dalej, w stronę górującego nad Manszeją białego minaretu. Kolejny powiew gorącego wiatru podniósł kurz z uliczki i wtedy usłyszałem śpiew.

Dobiegał z podwórka.

Tęskna i melancholijna piosenka, jak miejsce, w którym byłem.

Tuż obok kamienicy z sześcioramienną gwiazdą i srebrną strzałką był – jakby przylepiony – mały sklepik czy warsztat bez żadnego szyldu. Wyfrunął z niego z furkotem skrzydeł szary gołąb. Zajrzałem do środka przez uchylone drzwi, w środku nikogo nie było oprócz chmury kurzu i stada gruchających gołębi. Wszedłem. Śpiew stał się wyraźniejszy. Kobiecy, delikatny, smutny głos; znałem go. W środku sklepiku panował półmrok i nieludzki wręcz bałagan. Jakieś graty, stare, połamane meble,

żelastwo, części maszyn, połamane kosze i koszyki, a nade wszystko pełno glinianych garnków i doniczek pokrytych gołębim guanem. Po prostu morze skorup. Wszystko dziurawe i połamane, pokryte kurzem i pyłem. Skorupy chrzęściły pod moimi sandałami, gołębie gruchały niespokojnie, raz po raz trzepocząc skrzydłami i potęgując tym samym i tak straszny kurz. Zatkałem nos, wyciągnąłem komórkę, żeby zrobić zdjęcie, i skonstatowałem, że nie ma tutaj zasięgu, chociaż jeszcze kilka metrów obok był. Aparat też odmawiał wykonania zdjęcia. Co dziwniejsze, ekran telefonu nie wyświetlał także godziny. Po prostu komórka przestała działać. Jestem już przyzwyczajony do niedoskonałości techniki w Egipcie, złożyłem to na karb… nie, nie… chciałem tylko złożyć na karb, ale… ale przecież zasięg operatora to nie czas, komórka bez zasięgu powinna pokazywać godzinę i robić zdjęcia. Ale nie, ekran świecił pustką, niebieskim – niezmąconym żadną literą ani cyfrą – blaskiem. Żaden klawisz nie reagował na nerwowe klikanie moich palców. Nowa nokia, 190 funtów, kurczę. Z pomieszczenia prowadziły na zaplecze drugie drzwi. Przeszedłem przez to pobojowisko, oganiając się od gołębi, pchnąłem drzwi i znalazłem się na niedużym, pełnym kwiatów, krzewów i gór przeróżnych gratów i śmieci podwórku.

To było typowe arabskie podwórko studnia, pełne okien, okienek i wąskich żelaznych balkoników obwieszonych praniem, wiązkami cebuli, czosnku i pękami suszonych ziół. Na środku podwórka, między pudłami, skrzynkami z narzędziami, stosami staroci i przysypiającymi kotami stała jakaś dziwna maszyna, a właściwie jej szkielet. W pierwszej sekundzie pomyślałem, że to traktor, ale po uważniejszym przyjrzeniu się maszyna zaczęła przypominać mi szybowiec albo coś jakby prymitywną lotnię zbudowaną na bazie traktora. Po jej bokach wyraźnie rysowały się stelaże skrzydeł obciągnięte białym materiałem przypominającym zwykłe prześcieradło. Wielki brodaty mężczyzna z burzą siwych włosów krzątał się wokół tej absurdalnej konstrukcji, dokręcając śruby i śrubki kluczem i z impetem wbijając młotkiem gwoździe, których cały pęk trzymał w ustach. Raz po raz rzucał okiem na rozłożoną na zardzewiałym, chyboczącym się pulpicie starą, porwaną książkę. To był taki pulpit, jakiego używają skrzypkowie do położenia nut. Pod ścianą domu mały

chłopczyk siedział na rozłożonym na ziemi dywanie i rzucał kostkami do gry w drewnianym pudełku.

Na środku podwórza, na krześle, ubrana w tę samą czarną sukienkę siedziała Savina i śpiewała, dziwnie poruszając dłonią tuż nad brzuchem. To ją słyszałem z ulicy.

Ho yad 'anuga haytah lah
Eysh lo he'etz ga'at ba...

Obok niej, na rozpadającej się, dziurawej kanapie, siedział szewc Hussein i grał na *oudzie,* arabskiej lutni. Miał zamknięte oczy. Oprócz palców obejmujących struny i gryf nic się w nim nie poruszało, był całkowicie nieruchomy; jakby spał.

Smutna, melancholijna i nostalgiczna piosenka. Jak tamta w Ibrahimii. Znowu nadstawiłem ucha, pragnąłem rozpoznać język. To nie był grecki, to nie był arabski, ale bardzo podobny. Kostki chłopczyka jedna po drugiej uderzały o pudełko. Wsunąłem dłoń do aktówki i nacisnąłem klawisz dyktafonu.

...zug sh'foteha shani che
Rak li n'shikot natzru hen
Ho lin'a Rak li n'shikot natzru hen
Ho, 'eyn shohrah haytah lah
Or vatzel hit nag shu bah...

Siwy brodacz w zapamiętaniu walił młotkiem w dziwaczną maszynę, cały czas odczytując coś z książki na pulpicie. Wyjął z ust gwoździe i zamarł z szeroko otwartymi ustami, wpatrzony w dzieło swoich rąk, potem podszedł do pulpitu, poślinił palec i zadziwiająco delikatnym ruchem przewrócił stronnicę książki. Przed oczami mignęły mi jakieś rysunki, znaczki i litery. Stare, zamazane, namalowane ciemnym atramentem na żółtym pergaminie. Savina uśmiechnęła się do mnie, nie przestając śpiewać. To jest ten grecki uśmiech właśnie. Tak samo uśmiechała się Irene Papas w „Działach Navarony", Melina Mercouri w „Nigdy

w niedzielę" i tak uśmiecha się Eleftheria Arvanitaki, kiedy śpiewa. To jest nie do podrobienia, jak taniec czarnej Ranii w oknie. Dopiero teraz zauważyłem, że na kolanach Saviny, okrytych czarną sukienką, leży mały czarny kot, którego Greczynka delikatnie głaszcze.

...'al mitzchah ra'ad or ooooo...
Tal hayal dut male hod
Ho, ima, tal hayal dut male hod...

Savina przestała śpiewać, nieruchomy szewc zamarł, nie wypuszczając *oudu* z rąk i nie otwierając oczu. Wyglądał jak swój własny posąg. Mimo że szaleniec z młotkiem nie przestawał walić, zapanowała cisza, przetykana tylko grą w kości małego chłopczyka i daleką recytacją Koranu.

– Salam alejkum, jak się cieszę, że znowu cię widzę, Ibrahimie-ze-Świata...

Wskazała na kanapę.

– Usiądź.

Usiadłem na zdezelowanej kanapie, obok Husseina; słyszałem jego miarowe pochrapywanie; tak, spał. Grał i spał jednocześnie. Siwy konstruktor szeptał coś nerwowo, pochylony nad pulpitem z książką. Zapadłem się chyba z ćwierć metra pod siebie, z czeluści mebla dobiegł mnie smętny odgłos podrażnionej sprężyny. Jakby wyrzut zmęczonego przedmiotu. Takie kanapy były u moich ciotek na Mokotowie. Wyleżałe i zmęczone. Jak aleksandryjskie *taramy*. Kot na kolanach Saviny przeciągnął się i zeskoczył na ziemię. Na ulicy koty śpiewały o Manszei.

– To jest hebrajska pieśń o kobiecie o tak delikatnych dłoniach, że żaden mężczyzna nie śmie ich dotknąć... – powiedziała Greczynka, patrząc mi w oczy.

Brodacz zaczął gwałtownie grzebać w silniku maszyny, wydawał z siebie przy tym jakieś pohukiwania i dziwne, wariackie onomatopeje. Zapytałem Savinę o niego.

– To Aziz Mahmoud Effendi. Jest niemową z wyboru. Wiele, wiele lat temu zamilkł. Nikt nie pamięta, kiedy to było. Poeta, malarz, skrzypek,

rzeźbiarz, filozof, teozof, kolekcjoner starych książek i nie wiem kto jeszcze... Od kilku lat robi maszynę do latania, już kończy. – Savina roześmiała się i wskazała palcem do góry. – Zamierza wznieść się do nieba.

Hop, hop, to the sky – tak to ujęła.

Mały brzdąc cały czas strasznie hałasował kośćmi.

Podszedłem do machiny i przyjrzałem się jej. To była chyba jakaś rolnicza maszyna – miała takie siodełko jak stare młocarki – z doczepionym silnikiem, chyba z pompy, i z innymi nieodgadnionymi dla mnie, pomniejszymi silniczkami i urządzeniami, z których wystawały kłęby kabli i drucików. Od jej kadłuba odchodziły na boki przemyślnie pospawane pręty przykryte białym płótnem. Mężczyzna zniknął w wąskich drzwiach kamienicy, by pojawić się chwilę potem uzbrojony w maskę z szybą, z wielką piłą do metalu w dłoni. Rozległ się nieprzyjemny hałas piłowanego metalu i w powietrze wytrysnął snop iskier.

– A ta książka...? – Wskazałem na pulpit, przekrzykując hałas piły.

Usta Saviny otwierały się, wyrzucając jakieś słowa, ale nic sensownego nie usłyszałem, ledwie poszczególne słowa, bez ładu i składu. To było coś jakby:

– Wojna... *ladino*... Niemcy... kelipot z Zoharu... *tayyara il-bahr*...

Tayyara il-bahr znaczy po arabsku latawiec. To pamiętam. Hasan mnie nauczył. Jej dłoń wskazywała na Aziza. Nagle Aziz przestał piłować równie gwałtownie, jak zaczął i znieruchomiał, dysząc, wpatrzony w dymiący kawał blachy.

– ...z Salonik, ze wspólnoty Dönme, żydów nawróconych na islam, którzy podążyli śladami Sabbataja Cwi...

Mały chłopiec z impetem zaczął ciskać kostkami, Aziz nerwowo przerzucał kartki księgi. Doszedł mnie zapach smażonych na oliwie krewetek. Krewetek zmieszanych z przyjacielem człowieka, czosnkiem. Na jeden z balkoników wyszła tęga kobieta z wiklinowym koszem. – *Ya, habibi!* – krzyknęła do mnie z uśmiechem, a potem zaczęła wyciągać z kosza – jedną po drugiej – sporych rozmiarów srebrne i czerwone ryby i przypinać je klamerkami do sznurków na bieliznę. Woda z ryb ściekała cienkimi strumyczkami na małego chłopca i siwą głowę Aziza.

To był zupełnie niesamowity widok, nigdy nie widziałem, żeby ktoś wieszał ryby na sznurku do prania. Sięgnąłem po telefon, ale stwierdziłem, że nadal nie działa, skonstatowałem w dłoni tylko wielki błękit ekranu. Z szeroko pootwieranych okien podwórka dobiegały mnie monotonne wersety Koranu i skwierczenie tłuszczu. Takie skwierczenie, jakie wydają czynele w jazzowej perkusji. I jeszcze cichy głos Saviny:

– ...kabalisty ze Smyrny, który w tysiąc sześćset czterdziestym ósmym roku ogłosił się mesjaszem...

Aziz włączył piłę. Patrzyłem w milczeniu na jego twarz w blasku iskier. Wyglądał na starego człowieka, ale tutaj jest dużo ludzi, których wiek trudno określić. Twarz jak spieczone albo zasuszone jabłko. Ale inne jabłko niż w Polsce czy na północy Europy. To jest takie specyficzne zasuszenie śródziemnomorskie połączone z zasuszeniem arabskim. Konserwuje słońce, słony wiatr i ten niespieszny tryb życia, który próbuję uchwycić, uczynić moim, bo mi się strasznie podoba. Rysy twarzy konserwują też te monotonne wersety. Twarze tutaj są jakby zastygłe w tradycjonalizmie. Woda z ryb mieszała się z potem i spływała pod koszulę. Usta Greczynki poruszały się miarowo.

Kto maluje srebrne strzałki? Dlaczego mój telefon przestał działać? Kto pisze Księgę?

Aziz Mahmoud Effendi wyłączył piłę i rzucił się do książki na pulpicie. Te czerwone ryby to barweny, przypomniałem sobie.

– ...wyznawali sabatarianizm, mieszankę judaizmu, islamu i kabały, prześladowani przez wszystkich, rozproszyli się po krajach Lewantu i Bałkanów, dotarli nawet do twojego kraju, gdzie...

Okropny dźwięk piły na kilka sekund zagłuszył jej dalsze słowa. Czarny kot ponownie wskoczył na kolana Saviny. Aziz odrzucił piłę i wzniósł ręce i oczy w stronę nieba.

– ...odwracali Torę do góry nogami, wszystko robili na wspak...

Aziz po prostu wgryzł się piłą w jedno miejsce maszyny. Topił blachę. Iskry i dym zasnuwały podwórko. Znowu przerwał i osunął się na ziemię. *Turning Torah upside down* – tak to określiła. Po angielsku, chociaż mówiła do mnie w wielu językach.

– ...odczytał jedno z pism Sabbataja Cwi, w którym znalazł opis tej maszyny do latania, jaką podobno skonstruował Sabbataj Cwi i na której latał nocami nad Salonikami... – Savina zachichotała.

Aziz popatrzył na mnie błędnym wzrokiem, chyba po raz pierwszy od kiedy się tutaj znalazłem, ruszył w stronę drzwi do kamienicy, wykonując w moją stronę zapraszający gest dłonią. Popatrzyłem trochę niepewnie na Greczynkę.

– Idź. Zobaczysz coś, czego nigdy przedtem nie widziałeś. – Uśmiechnęła się, głaszcząc mruczącego kota. – Idź, nie bój się.

Szewc Hussein zaniósł się chrapaniem. Mały chłopczyk, nie zwracając na nic uwagi, rzucał kostkami. Wcisnąłem się za Azizem wąskimi drzwiami do ciemnej klatki schodowej. Stary człowiek wszedł na pierwsze piętro, stąpając po rozeschniętych, pokrytych kurzem, wiekowym brudem i śmieciami schodach, cały czas machając do mnie dłonią w zapraszającym geście. Ciągnął się za nim zapach potu i szaleństwa.

Czułem się trochę jak na melinie na Pradze. Ale nie było tutaj czuć kwasu alkoholu, był tylko zapach tych smażonych krewetek, potu człowieka z piłą i zapach biedy. Aziz pchnął zdezelowane drzwi – do ich framugi przytwierdzonych było kilka małych szklanych i drewnianych pudełek – i wszedł do mieszkania. Podążyłem za nim, potykając się o próg.

Mieszkał w ciemnym, zadymionym mieszkaniu; w korytarzu stała stara kuchenka, na palniku umieszczony był wielki gar, z którego wydobywały się kłęby dymu. Sufit w korytarzu był czarny od tłuszczu. Obok kuchenki leżały jakieś szmaty, kawałki mebli oraz ogromny stos książek i czasopism. Pod ścianami walały się małe i większe blejtramy, pokruszony gips i stare puszki po farbach, pełne zaschniętych pędzli. Z korytarza prowadziły drzwi do dużego pokoju, w którym panował, podobnie jak w całym mieszkaniu, niepokojący półmrok. Aziz Mahmoud Effendi uśmiechnął się do mnie i gestem wskazał na pokój, gulgocząc coś pod nosem.

Rozmarzony przymknął oczy, po czym wyjął z górnej kieszeni koszuli wymiętą paczkę papierosów, wydłubał jednego i zapalił.

Mój wzrok przyzwyczajał się powoli do ciemności. Zobaczyłem wszędzie wprost niewiarygodną ilość książek. Po prostu góry ksiąg, książek,

książeczek i walające się wszędzie sterty papieru. Niekiedy porwanego i nadpalonego, tak jakby w mieszkaniu był kiedyś pożar. Część książek stała pod ścianami na prymitywnych, byle jak skleconych z nieheblowanych desek półkach. Część leżała po prostu na niesamowicie brudnej podłodze w stosach i piramidach sięgających sufitu. Przyglądałem się zniszczonym okładkom i grzbietom książek, próbując w nikłym blasku wpadających przez okiennice promieni słonecznych odcyfrować zatarte napisy. To były, prawie bez wyjątku, stare książki. Zacząłem je przeglądać, cały czas słysząc za sobą zadowolone mruczenie i gulgot Aziza. Większość zapisana była arabskim pismem, dużo w sanskrycie, w alfabecie łacińskim; widziałem „Phaedrusa" Platona, „De Anima" Arystotelesa, bardzo rzadkie „Bibliothece" Diodora Sycylijskiego, „Annalesy" Tacyta, sześć tomów postrzępionych „Ennead" Plotyna, niepojęte i szalone „Protreptikos" Aleksandryjskiego Klemensa, błyszczące tajemnym blaskiem złoconej okładki monumentalne augustyńskie „Civitas Dei", opasłą i dziurawą „Summa Theologiae" Tomasza i niezliczone tractatusy, epistulaesy, descriptiony, coniugalie, dialogorumy, historie naturalisowe, anthologie, phaenomenosy, rerumy, de vity, exemplarumy, praeceptusy, comparationy, moralia, legesy, apologiaesy, controsy, commentariosy, epitomy, fabulaesy, poeticosy, quaestionesy... Boże, skąd on ma takie rzeczy? To przecież absolutne białe kruki, majątek, tu, w tym biednym mieszkaniu w obdrapanej aleksandryjskiej kamienicy... Obok nonsensownych rzeźb, przypominających trochę figury z Wyspy Wielkanocnej i bestiarium antycznej Grecji, cała ściana kompletnie sparciałych, rozpadających się greckich tytułów, zaraz potem rozsypujące się ze starości ogromne foliały z hebrajskimi literami na grzbietach, setki, tysiące ksiąg o tytułach w jakichś dziwnych, nieznanych mi językach. Najbliżej mnie stały książki zapisane gotykiem. Zmrużyłem oczy i zacząłem odczytywać tytuły, bezwiednie szepcąc pod nosem:

– „Durchschnittlichkeit und durchsichtigkeit in der weltanschauung...", „Realenzyklopedie für protestantische Theologie und Kirche...", „Parmenides und die Geschichte der griechischen Philosophie...", „Festschrift zur zweiten Jahrhundertfeier seines Geburstages", 1924..., „Die Grundbegriffe der Metaphysik. Welt – Endlichkeit – Einsamkeit..."

Wszystkie ściany pokoju obwieszone były obrazami przedstawiającymi Aleksandrię.

Mimo iż były namalowane bardzo niewyraźnie, wręcz abstrakcyjnie, widziałem, a raczej czułem na nich moje miasto. To były brudno-brązowo-czarne plamy, z których wyłaniały się minarety, wieże kościołów, dachy kamienic, okna, drzwi, zamglone, rozpływające się w bruzdach i koleinach farb ludzkie i zwierzęce postacie. Obrazy były jakoś tak przedziwnie namalowane, że czuło się w nich nieustanną obecność światła. Jakby były podświetlone niewidoczną, ukrytą gdzieś poświatą. Po prostu emanowały tajemniczym blaskiem w tym ciemnym pokoju. I mimo swojej artystycznej niewyraźności jawiły mi się całkowicie zrozumiałe. Wpatrzony w to dziwaczne malarstwo, bardzo mocno czułem teraz miasto za okiennicami. Tak, tu, w tym śmierdzącym, niesamowitym pokoju-bibliotece było ono uczynione niezwykle, niezwykle mocno. W szparę w rozeschniętej półce wetknąłem malutki koralik. Tu była prawdziwa al-Iskanderija Magna.

W kącie na brudnym materacu leżał stary koc i kilka poduszek. Obok metalowa miska, połamane świece, utłuczony talerz z resztkami jedzenia. To chyba był *hummus,* pasta z ciecierzycy, i kilka kawałków suchego chleba. Czułem smród zgnilizny i starego papieru, przypomniał mi się zapach z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie ponad dwadzieścia lat temu pracowałem jako magazynier. To był ten sam zapach. Aziz, zgodnie ze swoim wieloletnim postanowieniem, nic nie mówił, wydawał jednak z siebie takie króciutkie, gardłowe dźwięki, trochę podobne do paplania malutkiego dziecka, które jeszcze nie potrafi mówić, albo do gaworzenia Jasia Fasoli z jego wczesnych krótkometrażówek. Nagle ujął mnie za rękę, jego koścista dłoń była zadziwiająco gorąca. Jakby płonęła. I dopiero teraz ze zdumieniem zauważyłem, że ten stary mężczyzna ma na przegubie swojej patykowatej, brązowej, ale niezmiernie silnej ręki elegancki zegarek marki Tissot. Absurdalność tego przedmiotu w zestawieniu z tym człowiekiem, w zestawieniu z całą sytuacją, była po prostu porażająca. Chyba się przesłyszałem, ale odniosłem wrażenie, że mężczyzna zachichotał cicho i coś wyszeptał. Cicho bądź, Aziz, ty nic nie mów. Tak będzie lepiej.

Zaczął wyjmować z szuflady jakieś papiery i rysunki i pokazywać mi je, cały czas bulgocząc nerwowo. Odnosiłem wrażenie, że on już bardzo chce przemówić, ale nie jest jeszcze gotów, nie czuje się na siłach. To były zażółcone, porwane, popalone kartki z hebrajskimi, tureckimi i łacińskimi literami i szkicami fragmentów latających maszyn. Przekrój ptasiego skrzydła, wykresy matematyczne, wzory, równania, funkcje, słupy cyfr, tajemnych znaków i liter, rysunki skrzydlatych smoków, pegazów, mucha z ludzką głową... Mignęła mi data 1670 A.D. i napis: *Specialis volatilis apparatus ut molior per nostrum vinco quod nuntius Shabtai Tzvi...*

Aziz, cały rozgorączkowany, raz po raz wskazywał palcem w stronę podwórka, a potem podnosił go do góry i uśmiechał się rozradowany. Czułem od niego zapach palonego żelaza.

– *Makana al-tayyara,* latająca maszyna? – zapytałem.

Wybuchnął radością i gulgotem, klepiąc mnie po plecach i kiwając rozczochraną głową. Między siwymi włosami na jego klatce piersiowej zauważyłem wisior przedstawiający gwiazdę Dawida okoloną półksiężycem. Miałem wrażenie, że słyszę w pokoju jakieś szepty i ciche westchnięcia. Wtedy dopiero dotarło do mnie, że te pudełka na drzwiach wejściowych to mezuzy. Mój telefon nadal nie działał, usłyszałem dźwięk rzucanych za oknem kostek i pomyślałem, że muszę już chyba jechać do domu odebrać Hasana z school busa. Wyszedłem, zostawiając Aziza Mahmouda Effendiego nad starymi papierami. Gulgotał i gruchał jak ptak. Jak naprawdę się nazywa?

Na podwórku nic się nie zmieniło. Savina siedziała na wiklinowym krześle i głaskała kota. Szewc Hussein spał z głową opartą na piersiach.

– *H'truh youm il-guma'* – powiedziała Greczynka po arabsku. – W piątek. Przyjdź w ostatni piątek miesiąca, w nocy, po salat al-ishaa. Będą tutaj Sheikh Mohamed al-Helbawy i jego przyjaciele z Ferqat al Inshad al sufi. Sheikh al-Helbawy ma oczy dziecka zapatrzonego w niebo, na lecące ptaki. Ta kamienica nazywa się Tikvah. – Uśmiechnęła się po grecku. Ryby kołysały się na wietrze. Szare gołębie krążyły nad podwórkiem.

***

Późnym popołudniem poszedłem z Hasanem na spacer nadmorskim bulwarem. Mój telefon już działał, jednak dyktafon nic nie zarejestrował, żadnego dźwięku, jak poprzednim razem w piwnicy szewca. Szedłem i robiłem zdjęcia plamom i cieniom miasta; niezobowiązujące fotografie niczego i wszystkiego. Mimo że jeszcze nie było wieczoru, od morza wiał błogosławiony chłodny wiatr; letni aleksandryjski wiatr kłaniał się nisko paniom i panom. O tej porze miasto zaczyna oddychać pełną piersią, choć słońce świeci jeszcze ostrym blaskiem. Upał powoli skrywa się w odmętach morza i ulice zapełniają się rodzinami niespiesznie kroczącymi w stronę nadmorskich plaż. Wszyscy wylegają na el-Geish – ten ogromny, wijący się bulwar, będący kręgosłupem Aleksandrii. Tysiące ludzi z dziećmi na ramionach, z dziećmi w wózkach, z dziećmi biegającymi dookoła, czyniącymi niesamowity harmider, czyniącymi niesamowity, przepiękny *aijsz*. Lubię tę przedwieczorną porę na bulwarze, czuję wtedy bardzo wyraźnie moje miasto, czuję jego dobrą duszę, jego uśmiechniętego człowieka. Nad morze wzbijają się latawce dzieci i małe awionetki ciągnące za sobą trzepoczące banery reklamujące KFC, Amplico Egypt i proszek Persil. Na el-Geishu gromadzą się gromady nastolatków i śpiewają przeboje Amr Diaba i Nancy Agram, akompaniując sobie stukaniem o mur plastikowymi butelkami po wodzie mineralnej. Pełno sprzedawców balonów, popcornu, cukrowej waty, małych ciasteczek zwanych *fresca* i opiekanych na przenośnych grillach kolb kukurydzy. Tak jak Mamdouh, który jest na bulwarze chyba o każdej porze dnia i nocy, czasami ze swoją grubą żoną. Niestrudzenie, zachrypniętym głosem wieśniaka z Górnego Egiptu zachwala swoje osmalone od węgla żółte kolby i zawsze pozdrawia mnie salutowaniem do swojego turbanu. Nie wiem, czemu salutuje; zawsze to robi. Sprzedawcy lodów pchają swoje wózki z pojemnikami pełnymi zimnej, owocowej, kolorowej mazi i stożkami wafli, krzycząc na nasz widok:

– *Dżelati, dżelati, ice-creams, ice-creams, morożennoje, morożennoje.*

Próbują zgadnąć, skąd jesteśmy. Bolanda jest Holandą zazwyczaj. Nigdy odwrotnie, to ciekawe, ale zawsze wszyscy mówią najpierw:

„Ah, Holanda...". Dopiero potem następuje Bolanda i promienne: „Welcome to Egypt".

Szliśmy z Hasanem do parku naprzeciwko Biblioteki Aleksandryjskiej karmić koty batonikami czekoladowymi Borio. Jak prawie zawsze po szkole, wszystkimi popołudniami, kiedy słońce rozpoczyna swoją drogę w odmęty morza. Ja wypełniam swoje rytuały sumiennie i regularnie. To nadaje rytm mojemu byciu, powolny, monotonny, codzienny trans – rzeczy niezbędne mi do normalnego funkcjonowania. Jak tylko mogę, staram się czynić moje życie rytmicznym, powtarzalnym i monotonnym na kształt indyjskich rag – długich, leniwych, magicznych. Docieram powoli do sedna nudy. Tak, zaczynam pojmować i akceptować nudę. Pragnę jej coraz mocniej. Tyle lat ciężkiej pracy, tyle lat patrzenia w przestrzeń, tyle czasu spędzonego na fotelach w tylu krajach, w tylu domach... Wszystko po to, aby dotknąć nudy, objąć ją delikatnie w pół i pocałować, zdając sobie wtedy sprawę, że to wcale nie ona. Czytałem niedawno traktat Leszka Kołakowskiego o nudzie. Był piękny, był nudny.

Yad 'anuga, delikatna dłoń. Idę z Hasanem po bulwarze nadmorskim w stronę najstarszej biblioteki świata.

Znamy się w parku bardzo dobrze z jednym czarno-białym kotem. On nas poznaje i zawsze pędzi nam na spotkanie, licząc na kawałek batonika. Codziennie zbieram w domu resztki jedzenia i rozdaję ludziom i zwierzętom. Kupuję kotom czekoladę. Lubię to robić.

Po drodze sprawdziłem, czy ona nadal stoi na plaży Silsila. Zawsze to robię przecież. Była, jak zawsze nieruchomo trwała obok zardzewiałej wieży ratownika, wpatrzona w Mar Mèditèrranê. Na plaży, na jej początku, tam gdzie woda łączy się z piaskiem. Wpatrzona w przestrzeń drgającą od gorącego powietrza. Patrzyłem na nią w milczeniu; ona też milczała, poruszając nieznacznie głową, jakby w zadziwieniu.

Na zawsze i zawsze.

Na murku oddzielającym bulwar od morza leżał sprzedawca cukrowej waty. Postawił obok długi kij z przyczepionymi u jego końca torebkami z watą, a sam zasnął, znużony upałem. Obok niego leżała plastikowa trąbka, którą sprzedawcy cukrowej waty oznajmiają dzieciom swoje nadejście. Moją uwagę przykuł jakiś dziwny przedmiot na plaży, tuż obok

jej pięknych, długich nóg. Z początku myślałem, że to kawałek szkła. Lśnił w słońcu, świecił odbitym blaskiem. Ale po uważnym przyjrzeniu się stwierdziłem, że to kawałek folii z opakowania chipsów, zakopany w mokrym piasku swoją wewnętrzną, srebrną stroną. Wystawał tylko fragment w kształcie trójkąta. Fale morza raz po raz zalewały go, przygniatając do dołu, po czym, po każdym odpływie, srebrny trójkąt jak gdyby powstawał, ponownie wystawiając się na promienie słoneczne, które odbijały się w jego srebrzystości, a następnie wpadały do moich oczu. I tak w kółko, trójkąt znikał i pojawiał się, oślepiając mnie. To było niesamowite. Czułem, jak to opakowanie po chipsach powoli mnie hipnotyzuje. Za każdym razem, kiedy promień słońca oślepiał moje oczy, przez kilka sekund widziałem sceny z przeszłości. Jak na puszczonej od tyłu taśmie filmowej. Króciutkie sceny, ale absolutnie prawdziwe, nie wspomnienia, nie akty strzeliste, tylko rzeczy tak, jak naprawdę się wydarzyły, po prostu mikrofragmenty mojego własnego filmu. Najbardziej mojego z moich, tego, który sam nakręciłem. Przejrzyste, niesamowicie wyraźne i kolorowe sceny. Przez moment przestraszyłem się, że umieram. Przypomniały mi się słowa hadisu: „Prawdziwie budzimy się, dopiero gdy umieramy". Rozejrzałem się za Hasanem. Przykucnięty na chodniku, szukał dla mnie koralików. Po bulwarze jak oszalałe pędziły samochody. Balony i latawce frunęły wysoko w lazurowe niebo. Słońce ponownie odbiło się w srebrnym opakowaniu i uderzyło w moje oczy.

Widziałem siebie ze swoim kuzynem Robkiem, jak mamy jakieś pięć, sześć lat i jedziemy przez podwórko na Powiślu na małych rowerkach, trzymani z tyłu przez naszych ojców za długie kije wetknięte w bagażniki. Kiedy morze zakryło światło opakowania po chipsach, patrzyłem przez moment na kołyszącą się na falach łódź z rybakami wyciągającymi sieć pełną trzepoczących się czerwonych barwen.

Potem znów był odpływ i blask promieni odbił się od srebrnego trójkąta i ukazał mi na sekundę mojego ciotecznego brata jakieś czterdzieści lat temu, jak rozsypuje miskę truskawek na nową, śnieżnobiałą, wykrochmaloną pościel. Widziałem każdy detal, każdą plamkę, szew na pościeli, każdy guzik, czułem zapach truskawek, czułem tamtość. Tamtość dokładnie taką, jaka była.

Albo jest.

Potem fale ponownie zakryły srebrny trójkąt i kupiłem tutkę z popcornem dla Hasana, otrzymując od niego w zamian kilka koralików i jedną spinkę do koszuli. Potem znowu pogrążyłem się w blasku opakowania po chipsach. Mam cztery latka i jestem na wakacjach w Kątach Rybackich. Wrzucam cegły do beczki ze smołą. Gospodarz wychyla się z okna czerwonego domu i otwiera usta, aby na mnie krzyknąć, ale nie zdąża, bo woda znowu zalewa błyszczące opakowanie. Blask, błysk, zuhr, zohar. Niebezpieczna zabawa, wiem. *Halas,* dosyć, muszę iść nakarmić kota batonikiem. Ale może jeszcze raz, jeszcze raz... to jest strasznie kuszące... fala wraca do morza i srebrny trójkąt pokazuje mi tym razem oślepiające światło, szpitalne łóżko i wrzask noworodka... potem zarys kobiecej piersi... ciepło, gorąco, mleko, mleko, dobrze, ach, jak dobrze...

Znowu fala, znowu Aleksandria, niebo pełne latawców i jeszcze raz srebrny trójkąt w oczy... ostatni raz, naprawdę już ostatni...

...pokój, jakiś ciemny pokój... to ten pokój z kamienicy Tikvah, pokój Aziza Mahmouda Effendiego. Widzę go, jak przystawia do ust swój medalion z gwiazdą i półksiężycem i całuje go. Potem odwraca się w moją stronę i zaprasza mnie gestem dłoni. Nieee... chyba powinienem się stąd zrywać... Aziz gdzieś idzie, chyba do drugiego pokoju... tak, odsuwa regał z książkami, za którym są drzwi, i otwiera je... za długo to trwa, za długo... to niebezpieczna zabawa... gdzie jest Hasan? Woda nie chce zakryć opakowania po chipsach...

Ona stoi nieruchoma na plaży, wpatrzona w przestrzeń drgającą od gorącego powietrza, wpatrzona w wielki błękit. Idę za Azizem, jego usta coś szepcą... Czy on już mówi? Słyszę, jak mały chłopczyk na podwórku rzuca kośćmi o drewniane pudełko. To jest taka gra egipska, nazywa się *tałla*. Słyszę krzyki dzieciaków i sprzedawcy lodów na bulwarze i śpiew, daleki śpiew Saviny:

Ho yad 'anuga haytah lah
Eysh lo he'etz ga'at ba...

Dlaczego nie nagrał się na dyktafon?

Aziz wchodzi do drugiego pokoju... Niech wrócą fale... niech... gdzie jest Hasan? Idę za mężczyzną o siwych włosach... Aziz Mahmoud Effendi odrzuca baranią skórę i bucha na mnie jasność lichtarzy i kandelabrów. Nie... nie chcę... nie chcę tu wchodzić... Nagle usłyszałem słowa Saviny:

– Idź. Zobaczysz coś, czego nigdy przedtem nie widziałeś, idź, nie bój się...

Piękny rokokowy salonik. Stary fortepian Pleyela z leżącym na nim oprawionym w skórę egzemplarzem partytur Cherubiniego, świece w przepięknych lichtarzach z długimi brodami wosku, świeczniki z kutego złota, mauretańskie chodniki, wyglansowane posadzki, girlandy kwiatów, ach, róże, róże, róże! Jakie wyraźne i ostre! Nigdy tak wyraźnie nie widziałem róży. Boże, jaki to piękny kwiat! Na eleganckim sekretarzyku figurka świętego Nepomuka, przed którym płoną oliwne lampki, wszędzie cudowne światło minterowskich, w żelazo okutych lamp astralnych. Tłum ludzi, kobiet i mężczyzn wita nas brawami i uśmiechami. Na bogato zdobionym marmurowym stole tort z wielkim lukrowym napisem *Πλάτων*. Kątem oka zauważam, że Aziz wpina sobie w siwe włosy piękny, błyszczący fermoar z motyli srebrnych ukształcony. Po co? Co to jest? Mam poczucie inności języka. Dziwne, niewytłumaczalne poczucie inności słowa. Czuję, jak język, który mnie tworzy, w niesamowitym tempie zmienia się w moim wnętrzu. Jest zupełnie inaczej. Zupełnie... Gdzie jest Hasan? Dlaczego fale nie zalewają srebrnego opakowania po chipsach? To niebezpieczna zabawa, Piotrek... Kto pisze Księgę? Jabes, Jabes, Jabes... Potem Aziz uchylił drzwi następnego pokoju.

W tym pokoju było pusto, pod ścianą, w bladym świetle wiszącej na kablu żarówki, siedział odwrócony do mnie plecami przygarbiony starszy mężczyzna w jasnoszarym szlafroku i mycce na głowie. Spod mycki

wychodziły kosmyki siwych włosów. Pochylał się nad czymś. Wydawało mi się, że nad stołem, ale samego stołu nie widziałem. Miałem także wrażenie, że na stole leży książka. Nie mogłem też dostrzec, na czym siedział stary człowiek. Tak jakbym widział samo ciało. Samego człowieka tylko. Za jego plecami widziałem kolejne drzwi do kolejnych pokojów. Długi, niknący w otchłani ciąg pokojów z pootwieranymi drzwiami, jakby odbity w lustrach. Gdzieś daleko ktoś tęsknie śpiewał. Tęskna wschodnia pieśń. Kobiecy głos. Tak, to Savina. To cały czas ona. *Yad 'anuga,* delikatna dłoń. Nagle na kilka sekund zapanowała ciemność. Potem znowu blade światło padło na siedzącego mężczyznę. Usłyszałem jego beznamiętny, spokojny głos, mówił po polsku: – Myślałem o Nim tylko w nocy, wierzyłem w Niego, przychodziłem... – Mężczyzna odwrócił do mnie swoją twarz i wtedy zdałem sobie sprawę – mimo iż nigdy przedtem go nie widziałem – że to Josef Kalwas z Lublina, przewodniczący przedwojennego kaha...

Nie, nie... boję się, muszę już iść. Widzę wysoką falę, ona powoli powraca. Kiedyś znowu wszystko zaleje. Nagle obok mężczyzny w mycce pojawili się brodaci chasydzi, jakby żywcem wyjęci z „Austerii", i ująwszy się za ramiona, zaczęli tańczyć, śpiewając:

Az der rebe zingt, zingn ale khasidim,
az der rebe tantz, tantzn ale khasidim,
az der rebe shlof, shlofn ale khasidim,
az der rebe lakht, lakhn ale khasidim,
az der rebe est, fresn ale khasidim,
un az der rebe redt, shvaygn ale khasidim...

W chwilach największych uniesień wszystko, co jest wokół nas, staje się niejasne. (Jabes, 2/101)

Wielka fala z hukiem spadła na brzeg, zatapiając srebrny papierek w swoich odmętach. Sprzedawca cukrowej waty gwałtownie obudził się, usiadł na murku i zaczął dąć w plastikową trąbkę. Długi, przeciągły dźwięk przypominał mi nieco płaczliwy jęk hinduskiego sitaru.

Hasan siedział na murku i jadł białe grudki popcornu, machając nogami. Wziąłem go za rękę i poszliśmy do parku karmić koty batonikami Borio po pięćdziesiąt piastrów za sztukę.

A Rabi Messade napisał:„gdziekolwiek pójdę, będę czerpał ze studni dzieciństwa. Czyż moje pragnienie nie ma wszędzie tego samego imienia?”. (Jabes, 3/102)

***

Nie czekałem na ostatni piątek miesiąca. Przychodziłem jeszcze wielokrotnie do kamienicy Tikvah. Wąsaty *bawwab* za każdym razem uśmiechał się, widząc, jak nadchodzę, ściskając pod pachą brązową aktówkę. Prowadził mnie przez sklep, odganiając gołębie i usuwając mi spod nóg skorupy. Podwórko w kamienicy Tikvah stało się moim drugim domem. Przesiadywałem tam czasami godzinami. Savina śpiewała dla mnie zawsze jakąś pieśń, a szewc Hussein akompaniował jej na różnych instrumentach. Czasami na *neyu* czy *oudzie*, a czasami na starej, poklejonej *bouzuki*, połamanym *qanunie,* arabskiej harfie, i wielkim *riqu,* tamburynie. Czasami spał, czasami nie. A może po prostu miał tylko otwarte oczy. Nie wiem.

To przeważnie były sefardyjskie piosenki z Grecji. Czasami z Bałkanów, arabskie, tureckie, ze śródziemnomorskich wysp i wybrzeży. Czasami średniowieczne pieśni z Kalifatu. W ladino, greckim, arabskim, hebrajskim, korsykańskim, maltańskim, albańskim i wielu innych, często zapomnianych językach, jak na przykład wenecki. Nigdy przedtem nie słyszałem nic po wenecku. Savina do każdej piosenki przedstawiała jej krótką historię i tłumaczyła mi treść na angielski pomieszany z *‘amiją,* egipskim dialektem, którym powoli zaczynam mówić. Poznawałem dzięki jej piosenkom Południe. Czułem jego gorąco, jego cudowność, jego *aijsz*.

Aijsz znaczy Chaim.
.חיים znaczy عايش

Tak właśnie śpiewała. O tym. Przekraczała granice jak progi pokojów z szeroko otwartymi drzwiami.

Byliśmy zewsząd.

Wszystkie moje pytania o jej własną historię zbywała greckim uśmiechem. Czasami chodziła po podwórku z blaszaną konewką i troskliwie podlewała doniczki z miętą, kolendrą, oregano, bazylią, z kwitnącymi pelargoniami, limonkami i *arvolicos d'almendra*, małymi migdałowymi drzewkami. Już wiem, że zapach tych właśnie roślin, przemieszany ze smażonym czosnkiem i krewetkami, słonym morskim wiatrem, kocim moczem, zgnilizną kanałów, brudem ulic i paloną jabłkową melasą to jest właśnie zapach Południa. Delikatne fale Mediterraneo Itsasoa rozkrajane na pół przez elegancki jacht i starą, śmierdzącą rybami łódź. Ta nuta właśnie. I glony o zmroku czasami.

Aziz cały czas konstruował swoją maszynę do latania. Na pulpicie skrzypcowym rozkładał różne stare plany, które mi potem prezentował, z pietyzmem i czułością przewracając stare stronnice. To wszystko były, tak jak poprzednio, jakieś kompletnie niezrozumiałe dla mnie wykresy i rysunki starych maszyn i konstrukcji w aureoli matematycznych i fizycznych równań oraz hebrajskich, łacińskich – czasem w innych językach – napisów. Zapraszał mnie też do swojego mieszkania. Pomagałem mu układać książki na półkach. Miał w nich kompletny bajzel. Zacząłem je segregować i układać, sugerując się okładkami, rocznikami i językami. Nie wiem, czy dobrze robiłem, ale Aziz pozwalał mi na to, a ja miałem pretekst, aby zapoznać się z jego biblioteką. To była zupełnie niesamowita kolekcja książek. Absolutne muzeum i cymelium. Nie widziałem żadnych książek powojennych, wszystko było stare, niektóre pozycje z XVIII, XVII wieku, niektóre może jeszcze starsze, nie miały żadnych dat. Księgi zniszczone, zaniedbane, niektóre wręcz trudne do odczytania ze względu na swój stan. Przyniosłem kiedyś spray na karaluchy, bo było ich tutaj sporo, ale potem zrezygnowałem z tego, bojąc się, że chemiczne wyziewy mogą zaszkodzić i tak zniszczonym książkom.

Za półkami nie było żadnych drzwi. Tylko brudna ściana.

***

Dzisiaj kupiłem na Allegro Warszawski Informator Kulturalny z 1970 r. Taka mała książeczka z twarzą Józefa Duryasza na okładce. Za pięć złotych. Dużo sobie po nim obiecuję, kiedy dotrze wreszcie do Egiptu. Takie informatory leżały u mojej babki na półeczce obok telewizora. Jako mały chłopiec pogrążałem się w ich czytaniu, a może bardziej po prostu w przeglądaniu. Jestem wręcz pewien, że ten już przeglądałem 39 lat temu na wygniecionej kanapce babkociotek, takiej samej, jaka stoi na podwórku kamienicy Tikvah. Ach, zasiądę z szisza do tego WIK-u. Otoczę się chmurą dymu i znowu pogrążę się w starym repertuarze tamtego świata. Takie pogrążanie się to niezwykle inspirujące zajęcie. Jak oglądanie peerelowskich kronik, słuchanie Demisa Roussosa z Sopotu '79 i czytanie książek Sat-Okha czy Kamila Giżyckiego. Kto jeszcze w ogóle pamięta Sat-Okha i Kamila Giżyckiego?

Pogrążanie się w oglądaniu. Moja namiętność. Ziemia słonych skał.

Jak słuchanie nostalgicznej i tęsknej klasyki arabskiej, co ma aromat podwędzanych na grillu bakłażanów. Jak oglądanie starych, czarno-białych egipskich filmów, bo przecież teraz tutaj jestem i tutaj muszę się trochę popogrążać. Jak podlewanie dzikich zielonych pomidorów pod zmurszałą ścianą rozpadającej się greckiej willi.

„Ayyamna al-Holwa", na przykład. „Nasze piękne dni", kupione u Hossama razem z kartoflami i bazylią. 1955 rok. Klisza poraniona białymi bliznami, pełna zmarszczek i rys. Od razu zwiotczałem jak po zastrzyku z relanium. Angielskie napisy.

Omar Sharif, Ahmed Ramzy i Abdel Halim Hafez, wszyscy kochają się w Faten Hamamie, rywalizując ze sobą na śmierć i życie. Kiedy Faten zapada na śmiertelną chorobę, wszyscy trzej solidarnie zbierają pieniądze na operację. Faten umiera jednak... Piękna, naiwna historia w dekoracjach uliczek i zaułków starego Kairu, jak z książek Nagiba Mahfouza, ciemnych egipskich mieszkań, w których staromodne, trochę kiczowate wnętrza wpatruję się jak urzeczony; to jakby żywcem wnętrza

mokotowskiego mieszkania mojej babki i ciotek. Szukam podświadomie regaliku z Warszawskimi Informatorami Kulturalnymi i pustej butelki po wódce przebranej w biały wełniany kubraczek imitujący pudelka. Ale nie ma, nie ma. Jest za to przemawiający w telewizorze Naser.

Abdel Gamal Naser jako Władysław Gomułka.

Omar Sharif i jego koledzy wyglądają trochę jak egipscy Jamesowie Deanowie albo kopie Eddie'ego Cochrana, tylko fryzury jakby nieco bardziej grzeczne. Gamal Naser w czasach powstawania „Naszych pięknych dni" lansował modę zachodnią, potem radzieckopodobną, zarówno w życiu, jak i polityce; był jednym z tych polityków afrykańskich, którzy za wszelką cenę chcieli naśladować dalekie idee z dalekich krajów.

Ale nie będę o tym pisać, bo dla Ciebie to też są dalekie idee z dalekiego kraju, poza tym jak mogę, to uciekam od przeklętej polityki. Chronię się przed nią w chmurze dymu z sziszy.

Za oknami dźwięki dzwonka sprzedawcy *fulu*. To znaczy, że jest gdzieś między jedenastą a dwunastą w nocy. Tak, ten dzwonek jest bardzo blisko. On jest tu i teraz, w moim mieście. *Ful* to rodzaj bobu, który trzeba gotować co najmniej osiem godzin, aby nadawał się do zjedzenia. Jest tak tani, że bardziej opłaca się kupować ugotowany od sprzedawców. Sprzedają go tutaj często z przenośnych wózków, na których umocowany jest gruszkowaty, cynkowy zbiornik, trochę przypominający bardzo starą armatę, wypełniony gorącą brązową mazią. Obok leży góra chlebowych płatów, a w misce piętrzy się stos gotowanych jajek, które spożywa się z *fulem*, polewając ostrym czerwonym sosem z małych plastikowych saszetek. Jedna porcja to jedna wielka chochla z armaty do metalowej miski, jeśli na miejscu, lub do plastikowego pudełka, jeśli na wynos, o ile w ogóle można tak powiedzieć, bo to wszystko przecież dzieje się na ulicy. Porcja bez jajka kosztuje jednego funta, z jajkiem półtora.

Sprzedawcy *fulu* uaktywniają się właśnie po jedenastej wieczorem, bo wielu ludzi kupuje wtedy *ful*, aby, po odgrzaniu, spożyć go na śniadanie. To narodowe śniadanie Egipcjan. Przed północą na mojej ulicy z okien kamienic wyskakują całe stada wiklinowych koszyków z funtem w środku,

aby wrócić z pudełkiem gorącego bobu. Lubię na to patrzeć z balkonu. Te dziesiątki wiklinowych koszyków krążących po ścianach obdrapanych domów napawają mnie zawsze optymizmem i dziwną do wytłumaczenia radością. Jest w tym coś niezmiernie ludzkiego i radosnego. Szczególnie jak towarzyszy temu tańcząca sudańska dziewczyna i podśpiewująca gruba pani doktorowa o wyglądzie Gołdy Tencer, która zresztą sama nieraz spuszcza koszyk z banknotem jednofuntowym, a może nawet i z dodatkowym półfuntowym za jajko. Jak towarzyszą tym wiklinowym koszykom rytmy wesela na bulwarze i dalekie światła statków na morzu.

Nieznanych statków piszących świetlistą Księgę na rozkołysanych falach czarnego morza. Piszących imię mojej matki. Czuję się teraz blisko Edmonda Jabesa, a to zaprawdę piękne uczucie. Ja zjeżdżam po *ful* windą, nie używam wiklinowego koszyka. Jem go potem palcami, nabierając parującą pacię brązowym *aijszem*. To jedzenie, jego smak, jego nie-zwykłość, jego ludzka cena – to wszystko jest prawdziwe jak ten pulsujący świat za oknem. Czuję wtedy bardzo intensywnie moje Piękne Dni.

Potem, oblizując palce, postanawiam popogrążać się w starej dobrej Polsce. W Polsce Ludowej, w jej prawdziwej i cudownej, zaginionej, zapomnianej sztuce.

Wsuwam płytę do odtwarzacza i przenoszę się na czarno-białą, bezludną bałtycką plażę 1958 roku. Czołówka pięknie informuje, że muzykę podał Adam Pawlikowski. To muzyka Camille'a Saint-Saënsa, wieje morski wiatr i przesypuje piasek na wydmach. Kobieta i mężczyzna ubrani na czarno. I nikogo więcej.

Ten film nazywa się „Ostatni dzień lata".

Wszystko surowe i statyczne. Długie dialogi egzystencjalne. Piękny język polski, zapomniany język, który coraz rzadziej można usłyszeć, właściwie już go nie ma. Zastępuje go szybki bełkot, szybka komunikacja polskopodobna. Gesty, miny, spojrzenia... niespotykane prawie dzisiaj w tym schamiałym, zdebilałym, ogarniętym manią kupowania i sprzedawania społeczeństwie. Jest w tym filmie ta unikalna niegdysiejsza atmosfera dramatu, niepokoju, która tak naprawdę jest spokojem i refleksją. Nad plażą przelatują odrzutowce. Czuć niedawną wojnę, jak w wielu polskich filmach z tamtych czasów, wojnę, którą czujemy

cały czas. W kulturze aktorów, a także w kulturze tego niegdysiejszego, pięknego dzieła, czuć także przedwojnie. Czuć ten świat nie do końca zamordowany. „Potomkowie katów są w dobrym humorze" – jak powiedział kiedyś Vladimir Jankélévitch.

Irena Laskowska i Jan Machulski rozmawiają, pływają, całują się i topią jak w nierealnym śnie. Nikogo więcej w tym filmie nie ma. Jest za to ta niepowtarzalna, niewyrażalna, magiczna atmosfera polskiej czarno-białej sztuki. Nie tylko filmowej. Chwila zatrzymana.

Tamtej sztuki. Tamtej chwili. Sprzed 1989 roku.

Film obsypany nagrodami. Myślę, że gdyby ten film powstał teraz, co jest raczej niewykonalne, bo nie ma już w Polsce takich typów ludzkich i takiego języka, to nikt by i tak go nie oglądał. Może jakiś festiwal offowy i parę krótkich notek w awangardowych pismach. Zawsze, jak oglądam stary polski film, taki jak ten – a było ich multum – to myślę o Julio Cortázarze i jego „Grze w klasy". Ta książka to dla mnie kwintesencja intelektualności – za to dziwne słowo od razu przepraszam. Co by było, gdyby olbrzymi Argentyńczyk napisał ją teraz, w tych czasach? Kto to w ogóle by czytał? Kogo by takie egzystencjalne bzdury interesowały? Ile musiałaby ta książka kosztować, żeby ktoś chciał ją kupić? Po co?

Jest już środek nocy. Piję herbatę i słucham *shadiru*, który dzisiaj w nocy odbywa się chyba gdzieś niedaleko.

Zatrzymuję pilotem kadry „Ostatniego dnia lata" i wsłuchuję się w recytację Koranu na ulicy. Wychylam się przez balkon – tak, trochę za rogiem, na sharia St. Nicholas. Zaraz za willą pani doktorowej, obok apteki.

Shadir to wspominanie zmarłego. To takie bardzo popularne w Egipcie nocne spektakle uliczne, związane bardzo często z kimś niedawno zmarłym: na ulicy, zawsze małej, bocznej, rozwija się dywany, stawia na nich krzesła, a nad tym wszystkim, pomiędzy kamienicami, rozwija się dach z płótna. Całą konstrukcję oświetla się ostrymi reflektorami. Na kilka godzin ruch uliczny jest zatamowany. Schodzą się ludzie, siadają na krzesłach, piją przynoszoną z okolicznych *ahł* herbatę i kawę i słuchają recytacji Koranu, wspominając zmarłego, który zazwyczaj mieszkał przy którejś z okolicznych uliczek. Koran czasami gra z płyty, ale najczęściej

na honorowym miejscu zasiada żywy recytator Księgi, *qari*, i przez kilka godzin melodeklamuje wersety, wprowadzając ludzi zgromadzonych pod baldachimem, w oknach i na balkonach w stan transu i katalepsji. To jest zawsze recytacja niezwykle głośna, zwielokrotniona przez wielkie kolumny, niosąca się nad miastem, i zawsze w najwolniejszym z możliwych rytmów – *tartil*.

Dzisiaj nie ma jeszcze żywego *qari*, wszyscy na niego czekają, słuchając płyty z głosem najsłynniejszego *qariego* Egiptu – Abdula Basita 'Abd-us Samada. To jest głos nie do opisania, więc go nie opisuję. To zabiera bardzo daleko. Jak ten film. Przenika do szpiku kości, do serca i mózgu. Jak ten film. Wzrusza.

Jak „Ostatni dzień lata".

Irena Laskowska i Jan Machulski. Tadeusz Konwicki i Jan Laskowski. Adam Pawlikowski podał muzykę. Cała kamienica naprzeciwko pełna jest ludzkich twarzy w oknach. Wszyscy znieruchomiali, milczą zadziwieni, oszołomieni przeszywającym, rozpaczliwym, dramatycznym śpiewem *qariego* Abdula Basita 'Abd-us Samada. Nad pustą polską plażą lecą odrzutowce, pisząc Księgę Wojny i Pokoju.

Chyba nie pójdę dzisiaj spać. Wyprawię Hasana rano do szkoły i dopiero potem się położę. Już dwa dni nie zaglądałem do Księgi Gadacza, to poważne niedopatrzenie. Mam go założonego ołówkiem na Ortedze y Gassecie.

Ten elegancki pan w typie Pabla Picassa, w kapeluszu panama powiada:

Zdziwienie, zaskoczenie to początek zrozumienia. To specyficzny i ekskluzywny sport i luksus intelektualistów. Dlatego też charakterystycznym dla nich gestem jest patrzenie na świat rozszerzonymi ze zdziwienia źrenicami. Cały otaczający nas świat jest dziwny i cudowny, jeśli nań spojrzeć szeroko otwartymi oczami. To właśnie, uleganie radosnemu zdziwieniu, jest rozkoszą dla futbolisty niedostępną, natomiast dzięki niej intelektualista idzie przez życie pogrążony w niekończącym się, wizjonerskim upojeniu, którego oznaką

zewnętrzną jest zdziwienie widoczne w oczach. Dlatego też dla starożytnych symbolem Minerwy była sowa, ptak, którego oczy są zawsze szeroko otwarte, jak gdyby w niemym zdziwieniu.

Potem poszedłem do mojego pokoju i przez moment siedziałem przy komputerze. Zajrzałem na polskie strony internetowe. Ja to lubię od czasu do czasu robić. Pasę się wtedy tym rynsztokiem. To bardzo dobrze, że tam zajrzałem, bo zaraz potem w Księdze Gadacza znalazłem piękne – adekwatne do bredni i plugastw Onetu i Wirtualnej Polski – słowa. Gadacz pisze Ortegą y Gassetem tak:

Według Ortegi, panuje obecnie w Europie, jako produkt technicznej i liberalnej cywilizacji XIX wieku, mierny rodzaj ludzi, forma życia określona przez wulgarność i samozadowolenie. Przejawem dominacji mas jest aglomeracja, wypełnianie przez tłumy miejsc zarezerwowanych dotąd dla elit. „Człowiek masowy to człowiek, którego życie nie ma wytkniętego celu, a on sam bezwładnie i bezwolnie dryfuje".

Człowiek masowy uważa się za uosobienie doskonałości, tymczasem jest intelektualnie pospolity, nie potrafi się samookreślić, narzuca innym swoje dążenia i upodobania. Przyczyną tej europejskiej choroby jest zniszczenie zasad i norm, które stanowiły podwaliny życia społecznego. W Europie nie ma już moralności – głosił Ortega. (s. 181)

Zawsze lubię zwalić winę na kogoś innego. Jest mi wtedy znacznie lżej. Szukam kumpli i znajduję ich. Nawet tutaj, w tej aglomeracji.

XIX wiek... to chyba te piękne czasy, które ja tak lubię... Panowie proszą panie... Co by było, gdyby Ortega y Gasset nadal żył? Gdyby żył w dzisiejszych czasach?

Jest coraz gorzej, prawda?

Potem przez kilka minut wsłuchiwałem się w odgłosy podwórka za oknem. Jak pisałem, sypialnie egipskich domów wychodzą na wewnętrzne podwórka-szyby. Małe, ciasne i ciemne. To też trochę jak na starym, przedwojennym Mokotowie moich babkociotek, tylko że dużo

ciemniej. W moim pokoju jest mały balkonik, na którym wywieszam pranie, tak jak wszyscy tutaj. Czasami bywają noce, że leżąc w łóżku, słyszę za oknem padające rytmicznie krople. Brzmi jak deszcz, ale to nie deszcz, tu deszcze padają rzadko, bardzo rzadko. To woda z prania sąsiadów spływa po murach domu, zazwyczaj na moje pranie.

Te odgłosy... Każdy kraj ma inny zapach, inne kolory, inne dźwięki. Zawsze, jak zasypiałem w niezliczonych hotelach Afryki i Azji, nasłuchiwałem dźwięków za oknem. Najlepsza była pierwsza noc. Ona najbardziej mnie zadziwiała. Teraz w moim mieście jest gorąca letnia noc. Wszyscy mają szeroko pootwierane balkony i okna. Szyb niesie wszystkie hałasy od parteru po szesnaste piętro. Przez moment zagłębiłem się w porównywanie dźwięków Warszawy i Aleksandrii. Tu – mimo ciągłego hałasu – jest spokój. Tak, wsłuchiwałem się w ten nocny harmider mojego bloku i znajdowałem w nim uspokojenie. Przypominałem sobie także dzienne odgłosy i mieszałem je teraz z nocnymi. Jak mówi moje miasto?

Metaliczny szczęk sztućców – tu w lecie je się bardzo późno obiad – śmiechy i płacze dzieci, płyty z Koranem, stacje z arabskimi przebojami, ale nigdy za głośno. Telewizja jest zawsze w salonie, w telewizorze przeważnie mecz albo serial, często odgłosy sygnałów wiadomości i dużo klasycznej muzyki, dzwonek sprzedawcy *fulu*, megafon handlarza starzyzną, dziwne, teatralne pokrzykiwania sprzedawców dywanów, śpiewne zawodzenia handlarzy warzyw, owoców i gromkie pokrzykiwania roznosicieli gorącego chleba. Zawsze rano przenikliwe stukanie kluczy francuskich o metalowe butle – to sprzedawcy gazu, azan z minaretów pięć razy dziennie – całe powietrze naładowane jest wtedy wibracją, odgłosy modlitw o świcie z pootwieranych meczetów, porykiwania osłów, rżenie koni i zawsze, o każdej porze, krzyki i śmiechy dzieci. To wszystko tworzy jakąś niezwykle mocną, stałą, niezmienną trwałość, jakąś dziwną, nieprzepuszczalną ścianę dźwiękową, która otacza ten *aijsz* i doskonale oddaje charakter, atmosferę i klimat miejsca. Mimo iż jest tutaj prawie cały czas głośno, nie odczuwam w tym nic niepokojącego, nerwowego, nic, co powodowałoby irytację czy strach. Bardzo silnie odczuwam trwałość i niezmienną powtarzalność tych odgłosów i zapachów. Zdaję sobie

sprawę, że tutaj jest zawsze tak samo. Od wieków. To mnie uspokaja, wycisza.

Potem zacząłem przypominać sobie odgłosy z mojej ulicy w Warszawie. Mieszkałem na Stępińskiej, w przedwojennej, tak zwanej dobrej kamienicy, na Mokotowie, w dobrej dzielnicy. Miałem ogromne szczęście, kupując to mieszkanie, bo nie kupiłem ani jednego menela i ani jednej meliny. Wszystkie lumpy z mojej ulicy mieszkały w kamienicach obok. Tak, to wielkie szczęście, bo przynajmniej nie musiałem ich spotykać na schodach. Byli za to zawsze na mojej ulicy. W dzień i w nocy. Czasami siarczyste mrozy zapędzały ich do ich nor, ale zazwyczaj zimową porą gromadzili się grupkami w okolicznych bramach, łojąc tanie wina i piwa, czerwonymi od mrozu dłońmi zakrywając żar papierosów.

Jak się upili, to po prostu wyli kurwami. I to był chyba najczęstszy odgłos mojej warszawskiej ulicy. Nie, nie zawsze strasznie wyli, nie zawsze byli przecież kompletnie pijani. Czasami godzinami po prostu stali w bramie, wydając z siebie jeden niekończący się zwierzęcy charkot przepalonych i przepitych gardeł, który był zwartym strumieniem przekleństw. Moja brama zawsze śmierdziała ich moczem, często było narzygane, a od czasu do czasu nasrane. Srali zazwyczaj w kąt obok pojemnika na recycling, podcierając się papierowymi reklamami pizzy, kursów angielskiego albo promocji w Tesco, które znajdowały się w specjalnej skrzynce na reklamowe druczki, przytwierdzonej do ściany. Czasami, jak nie było druczków, podcierali się pustymi butelkami po piwie albo wódce, które potem troskliwie odstawiali pod ścianą, żeby nie robić zbytniego hałasu. Zresztą któregoś dnia i tak wyrwali skrzynkę z muru i kolorowe kartki od tego czasu walały się po całej bramie i ulicy.

Mieszkając na poddaszu, na Stępińskiej lubiłem siedzieć w oknie, za firanką, i obserwować te kiwające się na boki człekokształtne postacie w dresach i dżinsowych kompletach. To było jak kontemplowanie małp w ZOO. Nie, właściwie małp na wolności. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, była ich przystań, błogosławiony, śmierdzący kiszoną kapustą, ludzkim potem i kwaśnym piwem sklepik, w którym zaopatrywali się w alkohol i papierosy. Czasami, kiedy byli już na zupełnym luzie, nie chowali się ze swoimi potrzebami fizjologicznymi, tylko lali na trawnik

przed wejściem do sklepiku, a niekiedy zwalali się tam i leżeli z półotwartymi ustami, między psimi odchodami, przyciskając do siebie reklamówkę z pustymi butelkami.

Mój Hasan siedział w oknie i zawsze o nich pytał. Mówiłem mu: „Ten pan jest chory". Tak właśnie mu mówiłem.

Letnimi gorącymi nocami, kiedy wszystkie okna na Stępińskiej były szeroko pootwierane, tak jak tu, dochodziły mnie wrzaski, śpiewy i ciągły bluzg meneli i menelic. Nie było praktycznie nocy, żebym tego nie słyszał. Pamiętam, że celowała w tym jedna stara pijaczka, która miała straszny, metaliczny głos niczym Nina Hagen. Potrafiła wyć bluzgami do białego rana, zanosząc się przy tym potwornym śmiechem. Do tego dochodziły wieczne impry u nastolatków, czasami przenoszące się na chodnik i ulice, którym towarzyszyła niegorsza fala przekleństw połączona z monotonnym, bezmyślnym, rezonującym po całej ulicy basowym dudnieniem głośników roznoszących coś, co nawet nie próbowało udawać muzyki.

Hasan się budził i pytał. Ja mu odpowiadałem. Już nie pamiętam co. Już nie chcę pamiętać.

W piłkarskie dni, to były chyba środy i soboty, wieczorami pod moimi oknami wracali kibice z meczu. Ich łyse, faszystowskie łby i białe adidasy migały w blasku latarń, kiedy szybkim krokiem, z rączkami w kieszeniach, maszerowali ulicą. Ci wydawali trochę inne odgłosy. To były takie krótkie, gardłowe dźwięki, czasami z charakterystycznym wiejskim zaśpiewem, przeplatane oczywiście bluzgami i – co pewien czas – krótkimi piosenkami-wyciami wychwalającymi lub przeklinającymi jakiś piłkarski klub. Zza firanki wiodłem za nimi wzrokiem. Dresy owinięte szalikami i flagami, czasami zielony flajers. Pochyleni nieco do przodu, przygarbieni, przyczajeni, jakby zaraz mieli komuś zapierdolić ze łba albo z glana.

Piwo.

Wszędzie piwo, po prostu kult piwa. Bezmyślne społeczeństwo. Coraz bezmyślniejsze i coraz bardziej puste. Ale nie to jest najgorsze,

najgorsze jest, że coraz bardziej nienawistne i agresywne, dzielące swój bardzo mały świat na przyjaciół-ziomali i wrogów-frajerów, którym trzeba za wszelką cenę nakopać adidasami i martensami, a najlepiej ich unicestwić.

Tak, policja czasami przyjeżdżała. Szkoda mówić nawet. Niepewnym krokiem zmierzała w stronę zaszczanej bramy, ostrożnie oświetlała latarkami zawalone puszkami po browcu chaszcze, wpatrywała się w okna kamienic na Stępińskiej.

Policja się ich boi, tak jak ja, tak jak moi sąsiedzi, tak jak moje dziecko. Myślę, że to jest podobny strach, jaki odczuwałem w dżungli przed dzikimi zwierzętami i jadowitymi insektami.

Łysa głowa, brudny dres, bezmyślne, zaćpano-pijane oczy. Są wszędzie. Oni rządzą. Legia rządzi. HWDP.

Wszyscy spotykają się wieczorami w necie na blogach i na wirtualnych forach. Tam dalej klną i bredzą swoje wulgarne, puste e-brednie. Powstają nawet o nich książki, filmy i sztuki teatralne. Projektanci projektują dla nich ubrania i świecące buty. Są znakomitymi i bardzo masowymi klientami. Nierzadko są także obiektami piosenek, ba, nawet sami często śpiewają, a właściwie melodeklamują z towarzyszeniem adaptera i komputera te same brednie, tymi samymi gardłowymi, niskimi, bezmyślnymi głosami, chwaląc przemoc, marihuanę i swoją kretyńską subkulturę. Rządzi nami hołota i cham, jak powiedział kiedyś Henryk Mikołaj Górecki. Sakralizacja chamstwa, jak to ujął Sławomir Mrożek.

To takie właśnie odgłosy pamiętam z mojej ulicy w Warszawie. Aha, i jeszcze non stop wyjące alarmy okradanych samochodów, pozbawionych uprzednio znaczków firmowych, które małoletni kretyni urywali, aby je potem odsprzedawać właścicielom na Wolumenie albo w necie.

Czasami pod oknami przechodziła pani z panem i nic nie mówili. Jak miło było posłuchać.

Tak, takie były z grubsza dźwięki mojego miasta tam.

Halas, dosyć, wracam do salonu, powoli wypełniającego się zapachem glonów i dalekiej smażenizny wwiewanej przez słony, ciepły wiatr. Będę słuchał Layli Mourad, jej *mellahu* i *aijszu*, będę wpatrywał się w czarne morze.

Potem chyba zasnąłem na trochę. Jakby z Drugiego Świata usłyszałem huk padającego na podłogę Tadeusza Gadacza. Śniła mi się dłoń, która mnie głaskała, a potem śniło mi się moje miasto, całe czarne, nad którym unosiłem się, siedząc na małym stołeczku, z przytwierdzonymi do ramion skrzydłami z białego płótna. Słyszałem z dołu, spomiędzy czarnych labiryntów ulic i kamienic, tęskny, smutny śpiew, ten sam:

Az der rebe zingt, zingn ale khasidim...

Potem obudziłem się, wykąpałem i poszedłem na pusty nadmorski bulwar. Plaża Silsila i zardzewiała wieża ratownika. Jest, stoi tam cały czas, ledwo widoczna w szarości brzasku. Chyba śpi.

Tak, już wstaje nowy dzień.

***

Byłem dzisiaj na koncercie. Razem z Hasanem. Niezwykły był to koncert. Bibliotheca Alexandrina i Coca-cola Egypt urządzały Dni Kultury Fińskiej. Nad aerodynamicznym gmachem Biblioteki, przypominającym trochę uciętą puszkę, powiewały białe flagi z niebieskim krzyżem przemieszane z czarno-biało-czerwonymi flagami Egiptu. Na zaimprowizowanej scenie przed gmachem usadowiła się Tampere Academic Symphony Orchestra – grupa młodych, ubranych na czarno ludzi, wszystkich – prawie bez wyjątku – o blond włosach i niebieskich oczach. Wykonywali „Finlandię" Jana Sibeliusa.

Sibelius to imię mojego kota. Szesnastoletniego starca, który zawędrował z warszawskiego śmietnika do dalekiego egipskiego domu, gdzie – *inshallah* – w promieniach słonecznych dokona kiedyś żywota. Nazwałem go tak na cześć fińskiego kompozytora, którego wtedy, kilkanaście lat temu, wręcz pochłaniałem uszami i sercem.

Piękne blondynki i rośli blondyni już przykładają czerwone od egipskiego słońca policzki do swoich skrzypiec. *Maa murtuu, mutta taivas avautuu* – ziemia rozpada się, ale niebiosa otwierają, jak mówią w Fin-

landii. I gorąco jest przecież jak w saunie; jest egipskie lato, niebiosa są tutaj teraz otwarte non stop. Siedzę na murku między Egipcjanami, piję coca-colę przez słomkę. Muzyka powoli wznosi się nad bulwar.

To niesłychane, ale ten utwór, którego z uwielbieniem słuchałem kilkanaście lat temu, kiedy wyciągnąłem ze śmietnika szaro-burego, wyziębionego i trzęsącego się z biedy i strachu Sibeliusa, zaczyna się podobnie jak niektóre symfonie-poematy Oum Kalsoum czy Mohammeda Abdela Wahaba. Ten sam nastrój, ta sama patetyczność i te same jakieś dziwne, tajemnicze arabskie zasępienie. Ale tylko przez chwilę, tylko przez kilka pierwszych taktów.

Potem już była tylko Finlandia. Ciemne, zimne bagna i torfowiska, krystalicznie czyste jeziora okolone gęstymi lasami, zasępieni ludzie o niebieskich oczach i blond włosach. Chłodna, stonowana muzyka płynąca jak zimny, kojący wiatr nad tym gorącym, wibrującym, przepełnionym hałasem Południa miastem. Nurzałem się teraz po prostu w Północy, będąc na Południu. Skandynawska, spokojna, wyważona poetyka wymieszana z niespokojnym, intrygującym rytmem arabskiego miasta. *Maa* i *aijsz* – ziemia i życie. Tampere i Aleksandria. Cudowny kontrast. Nie, to nie kontrast, to związek.

Spotkanie kultur, najlepsze z najlepszych. Jedność.

Wstęp był wolny, właściwie w ogóle nie było wstępu; orkiestra grała na ulicy, ludzie przystawali i słuchali, komentowali i szli dalej. Chmary dzieci, na czele z Hasanem, który zdecydowanie odmówił słuchania Sibeliusa, wrzeszczały wniebogłosy, biegając dookoła podestu z muzykami, trąbiąc w plastikowe trąbki. Sprzedawcy słodyczy i napojów przekrzykiwali się nawzajem, zachwalając swoje produkty, kierowcy na el-Geishu wygrywali klaksonami motywy znanych szlagierów, siedzący na kamiennych murkach ludzie śmieli się głośno i dyskutowali, krzycząc do siebie i do swoich komórek, a między uśmiechniętymi, wyraźnie szczęśliwymi płowowłosymi muzykami przebiegały stada kotów w pogoni za tłustymi ważkami. W Finlandii podobno ludzie mówią najmniej słów na świecie, Egipt jest na jednym z pierwszych miejsc, jeśli chodzi o gadatliwość. Radosne krzyki Egipcjan co rusz wyrywały mnie z kontemplacji bagien i lasów Finlandii, przypominały

mi, gdzie jestem. I wtedy nurzałem się w Południu, będąc na Północy. I było tak, jak lubię.

Stada szarych, burych i czarnych Sibeliusów biegały po scenie. Morskie fale wzbijały się w gorące błękitne niebo Aleksandrii, pełne mew i latawców. Pod Bibliotekę zajechał autokar, z którego wyskoczyli japońscy turyści z aparatami, wszyscy jak jeden mąż w białych galabijach. Na pewno chińskich. Tak, to jest naiwne i dla wielu z Was z pewnością tylko zabawne, ale tak właśnie lubię. I jest to dla mnie bardzo poważne.

Tak, tak właśnie lubię.

Tak najlepiej słucha mi się „Finlandii". To jest *salam*, pokój, *rauha*. Spotkanie kultur, najlepsze z najlepszych. Zderzam kultury i mieszam je, jak tylko mogę i gdzie tylko mogę. Jestem zewsząd. Kobiety w czarnych *niqabach* zasłuchane w dziwne dla ich uszu, dalekie, chłodne rytmy. Inne. Muzyka. Ojczyzna ludzi. Jedna. Bez granic.

Po koncercie stałem na brzegu i długo wpatrywałem się w morze. Pisarz jest cały czas w pracy. Daleko od brzegu kołysała się mała łódka. Wyciągnąłem z brązowej aktówki lornetkę Hasana i przystawiłem do oczu. W łódce, pośród skłębionych sieci i dziesiątek wielkich srebrnych ryb, leżał nieogolony mężczyzna z głową nakrytą szmatą i najwyraźniej spał. Morze wokół niego skrzyło się tak samo jak te nieżywe ryby. Mężczyzna był daleko od Sibeliusa, ale jednocześnie bardzo blisko, był częścią morza, nieodłączną i nierozerwalną. Był zespolony z tym właśnie *morzem porannym, spontanicznym, ale roztargnionym i pełnym fantazji; morzem zakochanym, miękkim; morzem smug za łodziami...* (Jabes, 3/30)

Był częścią Księgi.

Nie, nic poza tym. Tylko nieogolony mężczyzna śpiący w kołyszącej się łódce. I jeszcze dalekie głosy fińskiej orkiestry, przeplatane arabskimi i japońskimi pokrzykiwaniami. Z daleka te wszystkie języki zdawały mi się bardzo podobne, zlewały się w jeden. Jeden język.

Nie, nic więcej, tylko to.

„Tylko w chwilach tryska źródło życia", jak powiedział kiedyś Vladimir Jankélévitch.

Jutro gra tutaj saksofonista Juoni Järvelä.

***

O siódmej rano obudził mnie widok wiszącego nad moją głową dużego pająka, zawieszonego na niewidocznej niteczce z własnej śliny, oraz dalekie krzyki z ulicy i intensywny zapach mango wwiewany z salonu do mojej sypialni wąskim tunelem korytarza. Poszedłem od razu to sprawdzić. Na ulicy leżał wywrócony drabiniasty wóz pełen żółto-zielonych owoców mango. A właściwie już prawie pusty. Kilkaset kilogramów owoców rozsypało się po ulicy; część z nich rozjechana była przez stojące za leżącym wozem, trąbiące samochody. Żółta maź owoców z perspektywy ósmego piętra wyglądała jak jakiś dziwny dywan, przetykany brązowymi plamami pestek. Właściciele wozu, dwóch starszych mężczyzn w białych turbanach, wrzeszcząc, zawodząc i wznosząc ręce do nieba, kłóciło się ze sobą i ze zniecierpliwionymi kierowcami. Potem nagle, jak na zawołanie, wszyscy razem postawili wóz na koła i w ciągu trzech, czterech minut wrzucili do niego wszystkie nierozgniecione owoce. Obserwowałem to zafascynowany; ludzie powychodzili z klatek schodowych, ze sklepików, z apteki, z małego meczetu naprzeciwko mego domu i zabrali się do zbierania. Potem umyli dłonie pod kranami wystającymi ze ściany meczetu i rozeszli się i rozjechali. Zacząłem grzebać w stosie płyt z filmami. Na początku wybrałem sobie „Czterdziestolatka", bo go ekstatycznie wręcz kocham, ale po krótkim namyśle postanowiłem odłożyć to na później i na stole położyłem „Dzięcioła". Też Gruzy i Toeplitza. Widziałem to arcydzieło już chyba kilkadziesiąt razy. Absolutna cudowność... Widać tam moją dzielnicę Powiśle od strony Wisły. Jest też najazd kamery na unikalny, garbaty diaskop, z którego puszczałem sobie moje pierwsze filmy. Przyglądałem się przez chwilę okładce, odczytując nazwiska.

Gołas, Villas, Janowska
Hańcza, Kwiatkowska
Dziewoński, Jędrusik, Jędryka
Rudzki, Pluciński, Łazuka...

Piękny wiersz, nieprawdaż?

Muzyka... muzyka z Mszy Beatowej Katarzyny Gärtner, tej z pastorałkami Kulmowej i Łojana, z tekstami w opracowaniu Kazimierza Grześkowiaka... Archeologia...

Potem jednak zdecydowałem, że wieczorem *insh'Allah* obejrzę sobie coś niezwykle wysublimowanego i rzadkiego, coś absolutnie wyjątkowego: „Wanda Gościmińska. Włókniarka" w reżyserii Wojciecha Wiszniewskiego. 1975 rok. Dobry rok, dobre roczniki. Widziałem już ten film ze trzy razy chyba. Jest to wino pełne wigoru, masywne, o wysokim poziomie napięcia, niewiarygodnym skupieniu i intensywności. Jego smak charakteryzują nuty kawy arabskiej, mango, jeżyn, wiśni, lekko podwędzanego bakłażana, niekiedy jagód leśnych, przypalonego dębu, smarów fabrycznych, ludzkiego potu przemieszanego z dyskretnym, ulotnym aromatem perfum Być może i długa, długa końcówka. Napij się kiedyś tego, jak będziesz mógł. Nie pożałujesz.

Tak, miałem ochotę na dobrą robotę. Na kombinat, przemysł, na normę, wiece pracownicze, slogany, transparenty, spracowane dłonie, gardła charczące od sportów, na plan i jego przedterminowe wykonanie. Ciągnęło mnie strasznie do szarości dziecięcej. Czułem zapach włókienniczego zakładu, czułem zapach tłustych spalin wypadających z rury koślawego żuka. Okej, droga Wando, droga towarzyszko Gościmińska, oczekujcie mnie dzisiaj wieczorem. Przyjdę. Zasalutowałem do spoconego czoła i położyłem srebrny dysk na Gadaczu.

Potem obudziłem Hasana, wykąpałem go, odziałem w mundurek szkolny, dałem bułkę z nutellą i zjechaliśmy windą z wersetami Koranu i pięciofuntowym banknotem na podłodze, do którego dzisiaj była przypięta karteczka z numerem mieszkania doktora Abdurahmana i słowem

mouttabal oznaczającym gęsty dip z bakłażana, tahiny i czosnku. Można go nabyć o każdej porze dnia i nocy za rogiem, u Abu Rabiego. Duża porcja kosztuje trzy funty. School bus Hasana już stał na żółtym, lepkim, pachnącym dywanie. Owiał mnie gorący podmuch wiatru o słodkim smaku gnijącego mango.

Kiedy czekałem na windę, zobaczyłem, że na wyświetlaczu zapalił się guzik z numerem 15. To prawdopodobnie Dina. Bardzo często spotykam ją o tej wczesnorannej porze. Ona też odprowadza swoje dziecko – siedmioletnią córeczkę – do school busa. Innego, żółtego, z The American School of Alexandria. To jedna z najlepszych szkół w mieście. Mogłem zrobić tak: poczekać, aż winda zjedzie, kiwnąć głową Dinie, a potem poczekać, aż wróci po odprowadzeniu córki, i pojechać z nią na górę, na piętnaste piętro, po czym wrócić na ósme. To by było jakieś 35-40 sekund, kupa czasu. Moglibyśmy wtedy podyskutować na temat co najmniej dwóch filozofów albo filozoficznych szkół. Dwa szybkie Kołakowskie. Ale takie rozwiązanie odpada, bo w recepcji klatki schodowej, za marmurowym kontuarem siedzi *bawwabowa* i ma dzisiaj bardzo zachmurzone oblicze. Zorientowałaby się, że czekam na Dinę, ona wszystko widzi. *Bawwabowa* nie wie, że rozmawiam z Diną o Wittgensteinie i Diltheyu. *Bawwabowa* nie umie pisać, a czyta bardzo powoli.

Dina jest rozwódką, ale ja nie. Tak nie można. Muszę użyć jakiegoś fortelu, żeby przeprowadzić z Diną dzisiejszą kilkunastosekundową dysputę o filozofii, nie budząc podejrzeń dozorczyni. Chciałem podzielić się z nią Ortegą y Gassetem z Gadacza oraz pochwalić tym, że zacząłem czytać „Enneady" Plotyna, do czego przygotowywałem się od ponad roku. Podczas ostatniego wykładu, gdzieś na wysokości trzeciego piętra, Dina wspomniała mi o Bergsonie. Ja bardzo lubię Bergsona i chcę, żeby pani profesor z Bostonu w czarnym *niqabi*e coś mi o nim opowiedziała swoim śpiewnym angielskim. Bardzo chcę.

Moja decyzja była więc bardzo szybka: wyciągnąłem z kieszeni portfel, a z niego pięciofuntowy banknot, i wręczyłem naburmuszonej *bawwabowej*, z trudem tłumacząc jej moją koślawą arabszczyzną, że doktor Abdurahman z wielką niecierpliwością czeka na swoją pastę bakłażanową, bez której nie wyobraża sobie śniadania.

Z windy wyszła Dina z córką. Zobaczyłem, że jej mocno umalowane oczy wpatrują się we mnie. Podszedłem do marmurowego kontuaru. Byle tylko dużo śmiechu i uśmiechu. Wtedy w Egipcie wszystko się załatwi. *Bawwabowa* z politowaniem spojrzała na mnie, po czym na Dinę, i wyszła z budynku, uśmiechając się pod nosem, klapiąc głośno swoimi chińskimi klapkami po mangowym dywanie. Ach tak, ach tak... wszyscy o wszystkich tutaj wszystko wiedzą. Weszliśmy z Diną do windy, schyliłem się, podniosłem zielony banknot i schowałem go do kieszeni.

– Okej – powiedziałem, naciskając guzik. – *Forty seconds*.

Jej wielkie, piękne oczy, pomalowane czarnym *kuhlem,* śmiały się do mnie. Potem zaczęła mówić jak karabin maszynowy.

– *Listen*, Ibrahim, *Bergson argues that people are like inverted cones*...

Qari z taśmy w windzie zanosił się płaczem.

– ...ludzie są jak odwrócone stożki... czasami mam wrażenie, jakbym była właśnie takim stożkiem, podstawą odwróconym w stronę nieba... – Narysowała w powietrzu odwrócony trójkąt, *you know*... Poczułem drogie perfumy.

– Mam napisać „nieba" przez duże „N" czy przez małe? – przerwałem jej.

Drugie piętro. Tu mieszka emerytowany inżynier Esir. Starszy, pogodny pan, siwy jak gołąbek, który co rano w dresie i adidasach wybiega z bloku i uprawia jogging na el-Geishu. Jest *hafizem* – zna na pamięć cały Koran, ponad tysiąc stron, 6237 wersetów. Inżynier albo technik, nie pamiętam dokładnie. Jeździ kilkuletnim fordem fiesta, którym zawsze zawadza o kamienne doniczki *bawwabowej,* wystawione na chodnik. Dina uśmiechnęła się oczami.

– *„Sky" always write with a capital letter*... czubkiem stożka stykam się z ziemią-rzeczywistością-ulicą, w czasie gdy podstawa stożka niczym trąba zwrócona jest w stronę Nieba...

Czwarte piętro. Tutaj swoje mieszkanie ma major policji Fawzy. Zawsze w śnieżnobiałym mundurze i czapce z egipskim orłem, poważny, napięty jak struna, z nieodłączną teczką i krótkofalówką w ręku zjeżdża na dół, aby wsiąść do swojego równie białego jak jego mundur tereno-

wego daihatsu. W Święto Ofiarowania kupił cztery krowy, zarżnięte następnie w garażu pod blokiem przez wynajętego rzeźnika. Ich mięso zostało rozdane przez *bawwaba* biedakom, którzy ustawili się po nie w długiej kolejce. Pamiętam ten dzień, cała moja ulica spłynęła wtedy krwią zmieszaną z wodą ze szlauchu. Zamiast dywanu z mango był dywan z krowich jelit.

– ... i jest całością moich wspomnień, przeżyć, całego życia, *my whole aijsz*... – Oczy Diny przeszywały mnie na wylot.

Jak widzisz w kobiecie tylko oczy, to je strasznie mocno czujesz. Teraz to zrozumiałem, wpatrując się w jej nieodgadnione źrenice. Czwarte piętro. Miałem wrażenie, że winda jedzie dzisiaj jakby wolniej. Windy jako miejsca kontemplacji nie znoszą pośpiechu. Szybko jeżdżą tylko z dziećmi do szkoły i z banknotami dla *bawwabowe*j. Może.

Windy też piszą swoją księgę. *Qari* w mojej windzie śpiewa o sprawiedliwości.

Nie wiem, kto mieszka na szóstym piętrze. Jest tutaj na klatce ogromna fototapeta przedstawiająca wodospad i tropikalny las pełen fruwających papug i tukanów. Stoi też kilka wielkich doniczek z plastikowymi kwiatami, a nad drzwiami do mieszkań wiszą pozłacane tabliczki z imieniem Boga w wianuszku błyskających lampek. Nie wiem, kto mieszka na szóstym piętrze, ale jest tutaj bardzo *halł*. Jest tu bardzo po egipsku.

– ... z niej to, z tej podstawy, spływają ku wierzchołkowi wszystkie moje pojęcia, idee, stany, krystalizując się w słowach, gestach, mimice... – W torebce Diny zadzwonił Beethovenem telefon, ale go nie odebrała.

Crystalised themselves in words... krystalizując się w słowach... to piękne słowa...

Ósme. Na ósmym piętrze mieszkam ja i moja sąsiadka, madame Marianne, Koptyjka. Starsza pani z białym pudelkiem i strasznie mocnym makijażem na pomarszczonej jak jabłko twarzy. Jest malarką i mówi – jak wszyscy starzy chrześcijanie egipscy – perfekt po francusku, więc jej prawie nie rozumiem. Zrozumiałem kiedyś, gdy konfidencjonalnie pochyliła się w stronę mojego ucha, że dawno temu wystawiała swoje obrazy w Paryżu razem z Marcelem Duchampem. Mówi mi to za każdym

razem, kiedy jedziemy razem windą. Mówi też bardzo dużo do siebie, kiedy spaceruje ulicą z Coco, białym pudelkiem z czerwoną wstążeczką pod szyją. Obserwuję ją przez lornetkę, próbując zrozumieć z układu ust, co mówi. Interesuje mnie to, bo sam non stop gadam do siebie, tylko że – jak na razie – niepublicznie, chociaż i to zdarza mi się coraz częściej. Wydaje mi się, że madame Marianne gada do siebie po francusku; wargi i mimika twarzy jest jakby inna niż przy posługiwaniu się językiem arabskim, ale może mi się tylko wydaje. Mam jej kilka plam w galerii, mam na taśmie jej drżący głos i szczek Coco. Zapisałem ją. Jest moja.

– ...wierzchołkiem jest teraźniejsza chwila świadomości mojego ciała, a ulica jest płaszczyzną rzeczywistości... – Oczy Diny nieruchomo wpatrywały się we mnie.

Na dziesiątym mieszka doktor Abdurahman. Ten od *mouttabala* i delfinów za oknem. Jest psychiatrą w Salama Hospital, na czole ma *zabibę*, czyli rodzynkę, odciśnięty znak od częstego modlenia się. Jego pasją jest antypsychiatria Ronalda D. Lainga, amerykańskiego ekscentrycznego psychiatry z lat sześćdziesiątych, o której to pasji opowiadał mi wielokrotnie podczas naszych wspólnych posiedzeń Pod Lampą. Doktor Abdurahman dobrze trafił, ja sam interesowałem się Laingiem i jego szaleńczą terapią dawno, dawno temu, miał więc kogo zamęczać tymi skomplikowanymi teoriami w obłokach sziszowego dymu. Drugą pasją doktora Abdurahmana jest tłumaczenie wersetów z Koranu pod kątem naukowym, kolejną – namiętne łowienie ryb, na które wyprawia się często o świcie, po *salat al-fadżr,* odpalając pod domem swojego ogromnego czerwonego dodge'a rama, pikapa, na którego platformie trzyma ponton uzbrojony w silnik oraz kilka wędek. Mam w komputerowej galerii poruszoną plamę doktora Abdurahmana, jak karmi pod Pod Lampą ciężarną kotkę. Bardzo lubię tę plamę fotograficzną, często przypatruję się jej w milczeniu. To jest zdjęcie miłosierdzia. Dina, *please*... już dwunaste piętro...

– ...*these cones* – Dina przeglądała się teraz w lustrze – im człowiek bardziej otwarty, tym płaszczyzna podstawy stożka większa. Rozszerza się w momentach otwartości, dochodząc do figury, którą można by

przyrównać od ogromnego koła, *great circle* – Dina złączonymi dłońmi w czarnych rękawiczkach zatoczyła przed moimi oczami duże koło – w którym, *my dear brother*, w ekstremalnym otworzeniu zawiera się wszystko, *the brightness of the whole*, *tauhid*, jedność...

The brightness of the whole – cała jaskrawość.

Qari przestał śpiewać; śpiewa tylko do dwunastego piętra.

Na dwunastym piętrze mieszka para emerytów, którzy niezmordowanie plują przez balkon pestkami słonecznika i skorupkami po orzeszkach pistacjowych. Zauważyłem to zjawisko, to znaczy padające mi na głowę pestki i skorupki, podczas niejednokrotnego wystawania przed wejściem do budynku, oczekując na school bus Hasana. *Bawwabowa*, która wszystko wie, poinformowała mnie, kto pluje. Rzeczywiście, kilkakrotnie przez szkła lornetki widziałem z bulwaru opartą o barierkę balkonową parę emerytów niezmordowanie łuskającą i plującą na ulicę. Jeżdżą małym, okrutnie pogniecionym chińskim samochodzikiem o nazwie Great Wall.

– Ludzie nieotwarci są jak cienkie linie, suche patyki, zamknięte kwiaty, papierosy przeznaczone do spalenia... *Are you an open cone*, Ibrahim? – Dina zaczęła się głośno śmiać. – Czy umiesz pokryć swoim kołem wszystko co jest, *the brightness of the whole*, cały *tauhid*, całą *Sarwa-darśana-sidhanta-san-graha*, całą jedność...?

Czternaste piętro. Tutaj mieszka... nie pamiętam, kto tutaj mieszka... nie pamiętam... zapomniałem... myślałem o rozszerzonych stożkach chodzących po ulicach, modlących się w meczetach, kościołach, synagogach, hinduskich świątyniach wirujących w jednostajnym, monotonnym tańcu, jak wiatraki pod sufitem meczetu mrówek.

Sarwa-darśana-siddhanta-san-graha. *Yalla!* Te wiatraki kręcące się powoli, rytmicznie, w przeszywającej – jak oczy Diny – ciszy. Wiatraki z rozrzuconymi na boki skrzydłami, jak ci kręcący się w kółko mężczyźni, których spotkałem kiedyś w dzielnicy Manszeja przed innym meczetem. Ich ręce też były skrzydłami. Ręce sufich, ręce Saviny

głaszczące kota, ręce doktora Abdurahmana karmiące ciężarną kotkę, ręce Diny w czarnych rękawiczkach. Winda zatrzymała się na piętnastym piętrze i Dina wyszła, dotykając lekko dłonią mojej twarzy. *Yad 'anuga,* delikatna dłoń w czarnej rękawiczce.

– Henry Bergson – powiedziała tylko i znikła.

Nie zdążyłem pochwalić się Plotynem. W ogóle nie dopuściła mnie do głosu. Słuchałem jak zaczarowany. Okej, na dół, do domu i zaraz na miasto. Dzisiaj od morza bucha taka wilgoć, że terakotowa podłoga mieszkania zrobiła się śliska; trzeba chodzić bardzo ostrożnie, żeby nie upaść. Gorący, wilgotny wiatr przywiewa sól i kurz. Koty leżą na balkonie nieruchomo, łapami do góry w cieniu kwiatów. Wyglądają jak własne fotografie. Pamiętam, jak chodziłem do szkoły, to zawsze strasznie zazdrościłem mojemu kotu, że ja muszę do przeklętej szkoły, a on się właśnie wygodnie mości na moim łóżku, głośno mrucząc. Potem miałem to samo z kotami i wychodzeniem do pracy. To był kompleks kota, już go nie mam. Przez balkon znowu buchnęło gorącym powietrzem. Przysiadłem na chwilę na kanapie. Czułem, jak cały zlewam się potem. Nalałem sobie do szklanki lodowatej karkade, purpurowego soku z kwiatu hibiskusa. Nic nie gasi lepiej pragnienia niż ten napój. Potem sięgnąłem do stosu leżących na podłodze książek i wyciągnąłem jedną. To była książka Miry Michałowskiej, tej od „Wojny domowej" – „Przez kuchnię i od frontu". Znam tę książkę bardzo dobrze, przeczytałem ją kiedyś, a potem poczytywałem ją sobie wielokrotnie. Stara polska szkoła. Nieistniejąca już. *Illi fat mat* – jak powiadają Egipcjanie – było, umarło. Otworzyłem ją, tak jak lubię otwierać moje książki: na chybił trafił, i przez kilkanaście minut przebywałem duchem, a być może i astralnym ciałem, w warszawskich kawiarniach lat siedemdziesiątych. Nowy Świat. W zamazanych lustrach odbija się kawa, coca-cola i wuzetka. Długie fajki z Peweksu. Dym, dym, dym...

Nie, nie ma mowy, nie włożę dzisiaj chińskiego garnituru. Wólczanka z krótkim rękawem, po szwagrze, i indyjskie cieniutkie spodnie w kratkę à la kalesony z troczkiem. Wyłączam już Radio Cocody FM z Abidżanu. Jadę do Sidi Bishr, dzielnicy, w której byłem niedawno i która mi coś przypominała. Muszę tylko zapakować swoją brązową aktówkę z Polski

Ludowej, po ojcu, i wyjść na miasto w poszukiwaniu bergsonowskich stożków, Edmonda Jabesa i srebrnych strzałek. Kieszonka pełna koralików, głowa pełna głupich myśli. Idę.

Kim jest Savina? Kim jest Aziz Mahmoud Effendi? Kto namalował srebrne strzałki na murach miasta? Kto mieszka w mieszkaniu z pulsującym światłem? Butelka z wodą dla dzikich pomidorów. Jeszcze tylko czarne okulary.

***

W *maszrui*, starej, zdezelowanej toyocie, grał dzisiaj na cały regulator Hamza el Din, śpiewak z Nubii. To jest muzyka przesiąknięta upałem i rytmem górnego Egiptu. Nierealna trochę, mistyczna, wprowadzająca w trans, przyjemnie oddalająca, prawdziwa. Jej nierealność potęgował także okrutnie rozregulowany magnetofon. Kierowca wyglądał zresztą na Nubijczyka – był czarny, kościsty i miał głowę owiniętą białym zawojem. Uśmiechnięty od ucha do ucha, cały czas coś do mnie mówił. Siedziałem obok niego, ale nic nie rozumiałem. To był dialekt, z którym kłopoty mają nawet rodowici Egipcjanie. Od czasu do czasu wychwytywałem imię i nazwisko: Barack Obama. Pędził jak opętany, dosłownie ocierając się o mijane pojazdy, i non stop trąbił, bardziej chyba dla zabawy niż dla ostrzeżenia, długim czarnym palcem wskazując na różne mijane pojazdy, a następnie pukając się tym samym palcem w czoło. Kiwałem tylko potakująco głową, skupiając się na medytacji o kruchości mojego żywota, starając się myśleć o czymkolwiek innym niż ta opętańcza jazda. Na szczęście Nubijczyk co rusz pozdrawiał różne postacie zaludniające el-Geish, zwalniał więc wtedy, wychylał się przez okno, wrzeszcząc coś do nich radośnie na cały regulator. To byli policjanci, sprzątacze ulic, strażnicy miejscy, sprzedawcy z knajp i sklepów i inni niezidentyfikowani osobnicy. Kierowcy *maszrui* jeżdżący nadmorskim bulwarem stanowią nieco oddzielną grupę transportową. To ludzie, którzy zazwyczaj nigdzie indziej nie jeżdżą, tylko po czteropasmowym el-Geishu właśnie. Dwadzieścia pięć kilometrów w jedną i dwadzieścia pięć kilometrów

w drugą stronę. I tak cały dzień. To dużo łatwiej, niż przebijać się przez okropnie zatłoczone miasto, rozwożąc ludzi z dzielnicy do dzielnicy wąskimi uliczkami. No i bryza od morza przez cały czas, to w tym klimacie rzecz nie do przecenienia. Jeżdżę bulwarem prawie codziennie, pilnie obserwując zwyczaje i obyczaje kierowców *maszrui*. Wygląda, że prawie wszyscy się znają. Znają się także z całym personelem el-Geishu, tymi ludźmi właśnie, do których tak radośnie wrzeszczy mój Nubijczyk. Inni kierowcy, z którymi jeździłem, też nieraz tak samo wrzeszczeli do tych samych osób. Czasami zatrzymywali się i kupowali coś, zawsze w tych samych knajpach czy kioskach, przeprowadzali krótkie wymiany zdań z policjantami na motorach czy korzystali z toalet w konkretnych, zawsze tych samych lokalach. Odczuwałem obecność specyficznej siatki ludzkiej oplatającej el-Geish. Przed małym meczetem, tuż obok hotelu Sheraton, zobaczyłem, jak starszy mężczyzna, pochylając się z wyraźnym wysiłkiem, podaje miskę wpatrzonym w niego kotom. Wbiłem w niego wzrok, zawiesiłem oko, jak to mówią; chciałem go mieć dla siebie jak najdłużej, na zawsze i zawsze. Jeszcze zanim kierowca w turbanie docisnął pedał gazu, zdążyłem zauważyć, że stary człowiek podnosi dłonie do uszu, rozpoczynając modlitwę.

Czymże różni się słowo „l'amour" od słowa „ la mort"...? – pyta Edmond Jabes w mojej brązowej aktówce. (1/59)

Od słowa *mut*...

Tak, mój Nubijczyk docisnął pedał gazu i zrównał się teraz z pędzącym równie opętańczo białym jin beiem, z którego wybrzmiewały na cały regulator wersety z Koranu. Po krótkiej wymianie powitań i komplementów z kierowcą jin beia Nubijczyk wyciągnął z kieszeni banknot, chyba pięćdziesięciofuntowy, i przez pasażera podał go koledze z chińskiego busa. Nie miał drobnych, nie miał jak wydać reszty któremuś z pasażerów, więc przy prędkości stu – stu dwudziestu kilometrów na godzinę przeprowadzał wymianę grubych banknotów na banknoty drobne, cały czas niemożebnie krzycząc. Zresztą kierowca jin beia też się wydzie-

rał, przekrzykując Koran, Hamzę el Dina, morski wiatr i huk silników. Obaj wprost się zaśmiewali, wymieniając furkoczące banknoty i różne uwagi na różne tematy. Oba busy pędziły jak oszalałe tuż obok siebie. Nubijska muzyka mieszała się z koranicznymi surami, wiatr huczał mi w uszach, mieszając się ze strachem. „Śmierci nie ma, jest poza życiem" – tak przecież twierdzi Ludwig Wittgenstein, mój ulubieniec, nie powinienem się więc bać. Potem Nubijczyk przymknął nieco okno, wydał resztę pasażerowi, zapalił papierosa i zapytał mnie, skąd pochodzę. Ani na chwilę nie zwolnił i ani na chwilę nie przestał się śmiać. Nie, nie pomylił Bolandy z Holandą. Kiedy wysiadałem w Sidi Bishr, powiedział do mnie *doswidanija* i obdarzył promienną bielą swoich zębów. Wetknąłem koralik w gąbkę siedzenia, kiedy rozmieniał pięćdziesięciofuntowy banknot. Głęboko.

Znowu zagłębiłem się w gąszczu domów z zielonymi oczami. Czyniłem miasto.

Uderzyła mnie w Sidi Bishr jakby mniejsza niż zazwyczaj liczba ludzi na ulicach. Po chwili zorientowałem się, że we wszystkich *ahłach* i sklepach włączone są telewizory, z których ekranów miga mi śniada twarz amerykańskiego prezydenta. Przypomniałem sobie, że właśnie dzisiaj Barack Obama miał przemawiać do muzułmanów całego świata z auli Uniwersytetu Kairskiego. Potem przypomniał mi się nubijski dialekt mojego kierowcy w turbanie i powtarzane co chwila Barack Obama, Barack Obama. Rozejrzałem się jeszcze raz: tak, Egipcjanie siedzieli przed telewizorami i w napięciu słuchali słów czarnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Okej, trochę mnie rozstroiła ta jazda, chociaż nie ma tygodnia, żebym nie pędził tak opętańczo którąś z *maszrui*. Pół biedy, jak jest nowa. Ale zazwyczaj nie jest. Zazwyczaj trzeszczy i klekocze, znacząc swój szlak różnymi tłustymi płynami. W sumie powinienem się już przyzwyczaić. Okej, jeszcze raz mówię, zapalę sobie wczesną sziszę w Sidi Bishr, w jakiejś *ahle*, w której nigdy nie byłem. To mnie zawsze przeszywa metafizycznym dreszczem.

Wybrałem większą, bez frontowej ściany, otwartą szeroko na ulicę. Taką, w której byli ludzie w różnym wieku i było ich dużo. Oznaczało to, że ludzie lubią to miejsce i lubią tu przesiadywać godzinami przy

sziszy i herbacie po pracy. To są dosyć istotne rzeczy przy wyborze *ahły*. Już pisałem, jak można zmarnować sobie trzy kwadranse życia przez wybór złej kafejki ze złą sziszą. Malutkie *ahły* są czasami okej, ale zazwyczaj jednak nie. To miejsca, w których przesiadują emerytowani robotnicy i sprzedawcy warzyw. Można się tam nieźle przydusić, ciągnąc z dziurawej fajki coś, co tylko udaje melasę, z węgielkiem położonym bezpośrednio na niej, bez aluminiowej folii i często bez jednorazowego ustnika, co jak nic może skończyć się zajadami albo świńską grypą.

Siedzę i palę. Jest dobrze. Piję sok ze świeżych pomarańczy i patrzę na ekran telewizora z przemawiającym Barackiem Obamą. Uliczka jest położona prostopadle do morza. To też istotne przy wyborze *ahły*. W lecie staram się wybierać *ahły* w uliczkach prostopadłych do morza. Wieje w nich orzeźwiający morski wiatr, jak w korytarzu mojego mieszkania. W zimie, jak mogę, to zasiadam w uliczce równoległej, żeby mnie nie przewiało na wylot sztormem. W kawiarni na honorowym miejscu wisi wielki portret prezydenta Egiptu Hosniego Mubaraka i dużo starych zdjęć aktorów i aktorek egipskich. W telewizorze prezydent Stanów Zjednoczonych cytuje wersety Koranu. Powoli spowijam się eterycznym *niqabem* jabłkowego dymu. Oddalam się na chwilę od samego siebie, aby zaraz się przybliżyć. Kilka minut zupełnego falowania sam na sam ze sobą. Falowania na wietrze. Jest dobrze.

Śniadzi mężczyźni w obłokach fajek wodnych jak urzeczeni wpatrują się w czarnego prezydenta Ameryki, który błyskając białymi zębami, niczym nubijski kierowca *maszrui*, mówi:

„ – Jestem chrześcijaninem, ale mój ojciec pochodził z kenijskiej rodziny, która od pokoleń wyznawała islam. Jako chłopiec spędziłem kilka lat w Indonezji i wsłuchiwałem się w wezwania muezina, zarówno o świcie, jak i o zachodzie słońca…"

Tak, tak jeszcze nigdy nie było.

Rozglądam się dyskretnie dookoła. Wszyscy milczą. Stygną słodkie jak ulepek kawy i herbaty Egipcjan. Od strony morza zbliża się stary

ślepiec. Biała galabija, czerwona *kufija*, arafatka, na ramionach. Z daleka wygląda, jakby tańczył, ale to tylko jego dziwne, nieskoordynowane, porażone bezdenną czernią wiecznego mroku ruchy. Spieczone słońcem usta wyrzucają z serca i trzewi jakąś rozpaczliwą, błagalną pieśń.

Myślę o jałmużnie dla niego. Zastanawiam się, czy aby na pewno mam w portfelu drobne i ile powinienem mu dać. Czy pół, czy całego funta? A może dwa? Jest przecież niewidomy, jego los jest dużo gorszy niż na przykład los Baby z Brodą, która ma piękne zielone oczy. Dwa funty, a może jeszcze więcej? Przecież go opisuję; on jest teraz przed Twoimi oczami. Stoi przed Tobą, gdziekolwiek to czytasz, tak jak teraz stoi przede mną, na sharia Amr El Ngoumy w Sidi Bishr. Opisując go i zatrzymując jego tragedię na stronach tej książki, korzystam z jego nieszczęścia, zarabiam na nim. Jak powinienem mu się za to odwdzięczyć? Nie, to chyba nawet nie jest odwdzięczenie, to jest zapłata za rolę, niczym dla aktora w sztuce czy filmie. Nawet statysta w filmie dostaje swoją dolę, a ten ślepiec w mojej książce, no ile...?

„ – Jestem wdzięczny za waszą gościnność i za gościnność mieszkańców Egiptu. Jestem też dumny, że mogę przynieść tu ze sobą dobrą wolę amerykańskiego narodu i pozdrowienie pokoju od muzułmańskich społeczności z mojego kraju: assalaamu alaykum..."

Okej, piję mój sok i rozmyślam dalej, ale na tej zasadzie powinienem jakoś odwdzięczać się wszystkim ludziom, których opisuję w swoich książkach, albo przynajmniej tym biednym, a w krajach, w których bywam, jest ich zazwyczaj bez liku. Nie mogę im wszystkim zapłacić, bo sam stanę się jednym z nich. A może właśnie tak powinno być? Może tak by było sprawiedliwie? Coś za coś? Oddać wszystko w zamian za książkę. W zamian za Księgę.

Płaci się niekiedy za pozwolenie wykonania komuś zdjęcia, to jest nawet powszechnie przyjęte w krajach tak zwanego Trzeciego Świata. Dlaczego nie płacić za uwiecznienie na papierze, czemu nie?

Jak mam płacić aktorom i statystom z moich książek? Jak być sprawiedliwym i nie zostać biednym?

Brązowa, chuda, pokryta ranami ręka, wyciągnięta w powietrzu w błagalnym geście, zawisła nad chodnikiem. Skierowana do wszystkich. W tej właśnie chwili, w mgnieniu sekundy pojąłem wielkość błogosławionych tego Świata.

Po prostu dałem mu jednego funta. To jest symbol tylko. Jeden egipski funt, pięćdziesiąt groszy, piętnaście amerykańskich centów. Sześć miliardów ludzi.

Mężczyźni, nie odrywając oczu od telewizora, sięgnęli do swoich kieszeni. Uczę moje dziecko tego gestu, uczę je naśladować was, mieszkańców Egiptu. Orzeźwiający wiatr owiewał moje ciało, osuszając je ze słonego potu. Jestem wdzięczny za waszą gościnność.

Naokoło kipi życie
I ja mam się znakomicie
Wszyscy niosą oczy jasne
Trotuary wprost za ciasne
(...)
Lubię śpiewać, lubię tańczyć
*Lubię zapach pomarańczy**

Potem mój wzrok padł na mały brązowy przedmiot leżący na ulicy przy krawężniku, między petami i plastikowymi ustnikami od fajek. Z początku myślałem, że to ołówek albo kredka, ale przedmiot odbijał promienie słoneczne. Interesuje mnie światło i wszystko, co daje blask, więc wstałem od stolika i – udając, że coś mi wypadło, bo trochę wstydzę się swoich dziwactw – pochyliłem się nad ulicą. To był klucz. Stary, pokryty brązową rdzą klucz. Nie do końca jednak zardzewiały, bo w miejscach, gdzie zachował resztki swojej metalowej świetności, odbijało się właśnie słoneczne światło. Blask.

Stop żelaza z węglem, plastycznie obrobiony. Podniosłem go z ulicy, otrzepałem i położyłem na stoliku, dyskretnie rozglądając się po kafeterii. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi, wszyscy patrzyli na czarnego prezydenta

* Tadeusz Woźniak, „Smak i zapach pomarańczy".

w telewizorze. Myślałem o życiu. Co nim jest, a co nim jeszcze nie jest. Co jest ożywione, a co martwe. Ludzie, zwierzęta, rośliny, bakterie, wirusy, woda – to wszystko bez wątpienia żyje. Ale czy żyją kamienie, czy żyje piasek, czy żyje dym z sziszy, czy żyją te kamienice z zielonymi okiennicami, czy żyją plastikowe guziki od mojej koszuli, czy żyje ten stary, zardzewiały klucz?

Moje guziki, plastikowe klapki *ahwagi,* wąsatego mężczyzny roznoszącego szisze i szklanki z napojami, ustnik od fajki, chińska zabawka w ręku przechodzącego właśnie dziecka, otaczające mnie wszędzie celulozy, poliamidy, polimery, polipropyleny, co to wszystko właściwie jest? Tak, tak, chemia, matematyka, fizyka, ale czy to jest *aijsz*? Podnoszę do oczu zardzewiały klucz. Och, życie, kocham cię nad życie...

Czy ten klucz też oddaje Jemu cześć? Czy on też się modli? *Trawy i drzewa wybijają pokłony**, przecież... (Jak trawy i drzewa, to i bakterie, wirusy, gronkowce, pantofelki i paciorkowce, prawda?) Chyba żaden szczerze wierzący w to nie wątpi? Tata, jak modlą się kociaki? – tak pyta mnie Hasan. A stary zardzewiały klucz? Czy ta krucha i niejednolita brunatna warstwa tlenków i wodorotlenków chwali Boga? Podnoszę klucz do góry i patrzę na niego w promieniach świecącego ostro słońca. Jestem oślepiony. Jeżeli klucz się modli, to dlaczego... Nie, nie... *halas, halas*, lepiej nie otwierać tym kluczem żadnych drzwi, jeszcze nie, jeszcze nie teraz, przyjdzie na to czas, a on nie jest nieubłagany, jak sądzi większość, wcale nie... Może jak skończę pięćdziesiąt cztery Księgi Plotyna, może jak skończę siedem Ksiąg Jabesa, może jak zobaczę i usłyszę Sheikha Mohameda al-Helbawy'ego... Sheikh al-Helbawy ma przecież oczy dziecka zapatrzonego w niebo na lecące ptaki. Może jak skończę swoją Księgę...

„ – ...zbyt wiele łez zostało wylanych, zbyt wiele krwi przelanej. Każdy z nas ma obowiązek pracować ze wszystkich sił, by dzień, w którym izraelskie i palestyńskie matki będą wychowywać swoje dzieci bez strachu, nadszedł jak najszybciej.

* Koran, sura 55.6, przekład J. Bielawskiego.

Dzień, w którym święta ziemia trzech religii będzie ziemią prawdziwie uświęconą: gdy Jerozolima będzie bezpiecznym domem dla żydów, chrześcijan i muzułmanów i miejscem dla wszystkich dzieci Abrahama do przebywania ze sobą, tak jak w historii o niebiańskiej podróży Isra', kiedy Mojżesz, Jezus i Mohammed złączyli się w modlitwie…"

Patrzę na zapatrzonych w ekran mężczyzn. Niektórzy ukradkiem ocierają łzy. Tak jeszcze nigdy nie było. Tak jest okej.

Potem oparłem się wygodnie o wiklinowe oparcie niewygodnego krzesełka i przypomniałem sobie fragmenty książki Miry Michałowskiej, które mówiły o zjawisku kawiarnianego stolika w kawiarniach polskich. Przedwojennych oczywiście, ale także powojennych, tak mniej więcej do końca lat siedemdziesiątych. Stolika, przy którym codziennie, czy prawie codziennie, spotykały się te same osoby i dyskutowały o rzeczach ważnych i nieważnych, o wszystkim i o niczym. Lajkonik, Czytelnik, PIW, Nowy Świat. Antoni Słonimski, Jerzy Andrzejewski, Adam Ważyk, Mieczysław Jastrun… To pamiętam z książki Miry Michałowskiej. Śmieszne słowa, zabawne nazwiska, nieprawdaż? Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, patrząc na tych zasłuchanych i zapatrzonych w ekran telewizora mężczyzn, że oni są tutaj codziennie, tak jak mężczyźni w mojej *ahle* – Pod Lampą – tak jak ja sam. Zawsze ci sami, zawsze ci sami ludzie na swoich miejscach. Tak jest w całym moim mieście: wszystko jest jakby zawsze w tym samym, swoim miejscu – ludzie, rzeczy, zdarzenia. Ta stałość, ta cudowna stałość, ten spowolniony, rytmicznie odmierzany i z pietyzmem chroniony czas. Na zawsze i zawsze. Przyglądam się tym mężczyznom, jakby na stałe zrośniętym z drewnianymi i wiklinowymi krzesełkami, oni tutaj zawsze byli i zawsze będą. Tak, że tego przedtem nie zauważyłem: ci mężczyźni są jakby fizycznie ukształtowani i dopasowani do krzeseł i stolików w swoich zadymionych *ahłach*. I to jest właśnie piękne, ta harmonia ciała i ducha z przedmiotami martwymi. Widzę ją teraz wyraźnie i powoli dociera do mnie, że te krzesła i stoliki są też żywe i też wybijają pokłony, jak drzewa i trawy. Wpatruję się w oblewany jasnym światłem słońca zardzewiały klucz. Jest niesłychanie wyraźny, ostry. Przez kilka sekund widzę go swoim ukrytym, wewnętrznym okiem

w całej jego prawdziwej naturze, kształcie i istocie. Jest przepiękny, jest kosmiczny, jest nieskończony. Widzę go, jak wybija pokłony Bogu, tak samo jak owiewający wszystko pachnący dym z sziszy, jak te wpatrzone we mnie monumentalnie piękne kamienice z zielonymi okiennicami, jak plastikowe guziki od mojej koszuli, jak kociaki na ulicach, jak ci mężczyźni, jak ja.

Przez kilka chwil widzę, jak wszystko dookoła wybija pokłony. Rytmicznie i regularnie, zawsze o tej samej porze dnia i nocy, cały czas. Cała rzeczywistość faluje na wietrze. Czuję, jak lekko drżą mi ręce.

Okej, już po wszystkim. Powoli rozwiewa się dym z mojej sziszy, już widzę tylko mężczyzn z fajkami wodnymi.

Ci mężczyźni codziennie odprawiają te same rytuały palenia, picia, patrzenia, a przede wszystkim rozmawiania. Rozmawiania z drugim człowiekiem przy stoliku. O rzeczach ważnych i nieważnych, o wszystkim i o niczym. Rytm, stałość, niezmienność, pewność, spokój, spokój, spokój....

Tosamość. Tożsamość.

Tak, tu, w Egipcie, zachował się stolik. Nie, on się nie zachował, on tutaj cały czas jest, nic go nie zniszczyło i nic nie wskazuje, żeby stolik miał stąd kiedykolwiek zniknąć.

„ – ...nie ma ludzi czarnych czy brązowych. Nie ma chrześcijan, muzułmanów, żydów. To wiara, która leży u zarania cywilizacji i która ciągle pulsuje rytmem miliardów serc ludzkich. To wiara w innych ludzi. I właśnie ona przywiodła mnie tu dzisiaj..."

Podszedł do mnie mały chłopiec trzymający w dłoni mały kartonik z paczuszkami papierowych chusteczek. Wyciągnął jedną i podsunął mi pod nos. Chciałem wykonać gest odmowy, ale on dotknął delikatnie mojego ramienia i przez sekundę poczułem, że to nie ten zabiedzony chłopiec mnie dotyka, tylko mój Hasan.

Kupiłem kilka paczek chusteczek, przepłacając za nie co najmniej dwukrotnie. To jest tylko symbol, nic poza tym.

Czarny prezydent skończył przemawiać i ludzie zaczęli bić brawo, jednocześnie od razu kłócąc się zajadle i przerzucając nawzajem wykrzykiwanymi w pośpiechu opiniami. To właśnie są Egipcjanie. Ilu ludzi, tyle opinii. A zazwyczaj jeszcze więcej. Mężczyźni zalewali jeden drugiego po prostu strumieniami słów. Przypatrywałem się im w zamyśleniu. Codziennie ich poznaję, codziennie ich podpatruję, codziennie próbuję zajrzeć im w serca. To był ten południowy, śródziemnomorski rodzaj kłótni. Rozpalony, a jednocześnie rozleniwiony od słońca i lekkiego, genetycznie zakodowanego, pogodnego tempa minionych pokoleń. Namiętny, zaangażowany, ale jednocześnie trochę taki w stylu awcholeręztymwszystkimnajważniejszaszyszakawaimecz. To taka krzykliwa, rozwrzeszczana kłótnia z nieustannym szerokim, szczerym rechotem i biciem się dłońmi po kolanach, zakończona morzem herbaty tutaj, a morzem retziny na niedalekiej Krecie, którą – jak twierdzą niektórzy aleksandryjczycy – widać przez lornetkę przy dobrej pogodzie, co jest uroczą nieprawdą. Widziałem takie kłótnie na Korsyce, we Włoszech oraz w greckich knajpach. To wszystko jest niezobowiązujące, wesołe i trochę rozkojarzone. Jeden z mężczyzn wykrzykiwał, że Obama niemożebnie przekręcał arabskie nazwy i terminy, co jest skandalem. Słysząc to, siedzący obok mnie starszy, elegancki pan w typie Mohammeda al-Fayeda, w nienagannie skrojonym błękitnym garniturze podniósł się od stolika i, opierając się na lasce, spokojnym, ale mocnym głosem zaczął opowiadać historię:

– Posłuchajcie mnie, o mieszkańcy al-Iskanderiji, opowiem wam starą hiszpańską przypowieść... Pewien średniowieczny arabski filozof-gramatyk wpadł do studni i miał kłopot z wydostaniem się z niej, albowiem ściany studni były niezwykle śliskie. Niedługo później przechodzący obok zamyślony człowiek usłyszał rozpaczliwe krzyki gramatyka o ratunek. Zamyślony człowiek oparł się o cembrowinę studni i prostym, codziennym językiem zaoferował swoją pomoc. Siedzący w studni filozof-gramatyk odpowiedział mu: „Z pewnością mógłbym

przyjąć twoją pomoc. Lecz przy okazji chciałbym ci powiedzieć, że w tych kilku zdanich, które do mnie powiedziałeś, popełniłeś aż pięć poważnych błędów stylistycznych i gramatycznych. Musisz zdecydowanie udać się w poszukiwaniu jakiejś szkoły, aby podszkolić swoją mowę". „Masz rację – przyznał zamyślony człowiek. – Najlepiej wyruszę już w tej chwili i spróbuję ulepszyć moją prostą mowę". I tak uczynił, pozostawiając gramatyka na dnie studni...

Mężczyźni zgromadzeni w *ahle* rechotali na cały regulator, waląc się po udach, kolanach i swoich grubych, wystających brzuchach, pełnych falafeli, *fulu* i *aijszu*. Najbardziej śmiał się ten od gramatyki Baracka Obamy. Po prostu zalewał się łzami. Już nie ma amerykańskiego prezydenta, *ma fisz muszkila,* nie ma sprawy, z głośników rozniósł się po kafejce i po ulicy dramatyczny i patetyczny, drżący, trochę przesterowany głos Oum Kalsoum. Na ekranie telewizora, w oprawie starego mieszkania, pojawił się teraz Mohammed Abdel Wahab. Oparty na lasce, ze wzrokiem utkwionym w okno, wyraźnie wspominał. Na parapecie okna siedziały dwa wróble. Egipski film, egipski film...

Elegancki pan w niebieskim garniturze zasiadł z powrotem przy swoim stoliku, zaciągnął się jabłkowym dymem, pochylił do mnie i jeszcze raz powiedział to wszystko po angielsku, błyskając najwyraźniej prawdziwymi zębami:

– *A medieval Arabic philosopher-grammarian fell into well...*

Podnoszę klucz do góry i patrzę na niego w promieniach świecącego ostro słońca. Lubię zapach pomarańczy. Jest rozleniwiająco gorąco, moszczę się wygodnie na niewygodnym krześle i otulam się dymem. Czuję, jak powoli odpływam, niesie mnie Oum Kalsoum, macha do mnie z daleka swoją jedwabną chusteczką, szumi *ahła*, szumi ulica, głowa jest taka ciężka, chyba zasypiam...

Idę dalej ulicami Sidi Bishr, wąskimi ulicami mojego miasta. Czynię je. Mam w mojej aktówce zardzewiały klucz, który cicho wsunął się między stronnice Księgi Jabesa. Wszystko dookoła zdaje mi się jednocześnie ostre i zamazane. Pracuję na pełnych obrotach.

Pierwsze strzałki pojawiły się na rogu sharia dr. Saleh Hamdey i sharia Ahmed Barakat, pomiędzy dwiema latarniami. Na starym domu po drugiej stronie ulicy, podtrzymywanym przez ramiona dwóch kamiennych, poobtłukiwanych atlasów. Zaraz za niedużym meczetem, z którego przez uchylone drzwi powoli, niczym odwieczne *memento mori,* rozchodziło się tęskne nawoływanie muezina na drugą, południową modlitwę. Słońce stało w zenicie. Przypomniał mi się hadis, który wyczytałem kilka dni temu w jednym ze zbiorów tradycji muzułmańskich:

Prorok (Pokój z Nim) zapytał kiedyś anioła Gabriela, czy słońce przekroczyło już południk. Anioł odpowiedział mu: „Nie i tak". Prorok (Pokój z Nim) zapytał więc: „Jak to jest możliwe?". Gabriel odpowiedział: „W momencie, gdy ja wypowiedziałem 'tak' i 'nie', słońce pokonało odległość pięciuset lat".

Na zawsze i zawsze.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, torreadorskimi ruchami omijając samochody, i przestąpiłem drewniany próg małego meczetu.

Po modlitwie usiadł obok mnie na dywanie brodaty facet w galabii i postawił przede mną papierowy kubek z herbatą, którą nalał z automatu stojącego pod jedną ze ścian. Nieraz już tak miałem: po modlitwie w meczecie przysiadali się do mnie ludzie i nieśmiało wyciągali rękę. To zdarzało się zazwyczaj w krajach Czarnej Afryki, gdzie wyróżniałem się kolorem skóry, tutaj o wiele rzadziej. To był *haris al-masgid,* opiekun meczetu. Czułem od niego mocny zapach *musk inglizi,* czarnego, niezwykle intensywnego olejku, którym ludzie perfumują się w tym rejonie świata od kilku tysięcy lat. Potem zaczął mnie wypytywać, skąd jestem. Mówił po angielsku mniej więcej tak, jak ja po arabsku, więc konwersacja szła nam trochę opornie. Chciałem upić łyk herbaty, ale kątem oka zauważyłem, że w kubku pływa mucha. Próbowałem ją wyciągnąć serdecznym palcem. Tym palcem właśnie. Ramadan, bo tak się nazywał ten człowiek, odsunął moją dłoń, a następnie troskliwie i delikatnie palcem wskazującym zanurzył muchę na sekundę w herbacie. Błysnął mi jego pierścień z wygrawerowanymi arabskimi znakami. Ramadan jeszcze delikatniej wyjął muchę z herbaty i postawił na zielonym dywa-

nie. Herbata był letnia, więc mucha nie została ugotowana. Chciałem wstać, aby nalać sobie nowej herbaty, ale mężczyzna powstrzymał mnie gestem ręki i kazał usiąść. Przez chwilę obaj patrzyliśmy w milczeniu na spacerującego po dywanie oszołomionego owada, a kiedy mucha wreszcie obeschła trochę i odleciała, brodacz zwrócił w moją stronę swoje oblicze i zapytał, czy znam hadis o konieczności podtapiania muchy w płynach.

A need to immerse fly in liquids... Słyszałem szum ulicy i szybkie szepty modlących się jeszcze w meczecie ludzi, czułem też zapach melasy; kto pali sziszę w meczecie? Wiatraki pod sufitem jednostajnie kręciły się w koło, z rozrzuconymi na boki skrzydłami. Było bardzo spokojnie.

Nie, nie znałem, i z ciekawością słuchałem wyjaśnień o podtapianiu much. Mężczyzna podniósł palec wskazujący do góry i rozpromieniony zaczął przemawiać cichym głosem. Mrówki, muchy, koty, wirujące koła, zardzewiałe klucze i srebrne strzałki – to jest właśnie moja religia.

– Relacjonował Abu Huraira, Ojciec Kociaków, że jeśli do jednego z waszych naczyń wpadnie mucha, to przed jej wyjęciem zanurzcie ją całkowicie w płynie, gdyż na jednym skrzydełku jest choroba, a na drugim – jej wyleczenie...

Jego pogodne, uśmiechnięte oblicze jaśniało blaskiem i spokojem. Mucha w herbacie.

Potem wyjaśnił mi, że muchy roznoszą zarazki, ale kiedy jedna z nich wpada do płynu, to usiłuje trzymać jedno ze swoich skrzydełek poza cieczą, aby mogła z niego wyjść. W rezultacie pozostawia bakterie w napoju. Jeżeli jednak zostanie delikatnie zanurzona w płynie, to otworzy się mała torebka na jej drugim skrzydełku, z której wypłyną antybakterie, zabijając zarazki pozostawione w płynie.

Dopiłem herbatę bez muchy i pożegnałem się z Ramadanem. Miałem teraz muchy w głowie.

Idę wąskimi uliczkami Sidi Bishr, wypatruję małych srebrnych strzałek. Nie znam się na architekturze i chodząc po moim mieście, bardzo tego żałuję, bo chciałbym Ci lepiej opisać te kamienice. Wydaje

mi się to trudnym zadaniem, bo mam wrażenie, że ten styl dookoła mnie, te domy zmieniają się cały czas, kiedy je mijam, oglądam, kiedy ich dotykam. Te domy i ulice pulsują. To jest żywe miasto. Jakaś dziwna architektoniczna plazma. Czuję oddech kamienic, czuję ich westchnienia i szepty. Tak szepcą stare kobiety wracające powolnym, kołyszącym krokiem z targu albo siedzące godzinami na ulicy, na plecionych krzesełkach, z wyciągniętymi przed siebie opuchłymi nogami w czarnych pończochach. Tak, kamienice to kobiety, nie mężczyźni. Zdecydowanie więcej w nich pierwiastków żeńskich niż męskich. Meczety, na przykład, są mężczyznami, oblicza ich białych murów są poważne i zamyślone niczym twarze mężczyzn w *ahłach*. Synagoga Proroka Daniela jest brodata i zadumana jak twarz cadyka, jak sprawiedliwe oblicza nieistniejących rebe Edmonda Jabesa. Twarz synagogi promieniuje myślą i tragedią. Meczety mają oczy zielone, synagogi niebieskie, oczy kościołów aleksandryjskich są szafirowe i szeroko otwarte. Kościół, który właśnie mijam, jest wielki, majestatyczny i monumentalny. Przytłaczający swoim ogromem, ale jednocześnie cudownie harmonijny w swojej regularnej, drobiazgowo zaplanowanej geometrii, uspokajający i kojący niczym absolutny i idealny plan Dawcy Inteligencji, jak Boga nazywał Awicenna. Stoję przed tym kościołem, wpatrzony w jego szafirowe oczy, i myślę, jakiej jest płci. Nie wiem, w jakim stylu jest zbudowany, bo jak powiedziałem, nie znam się na tym, ale może to i lepiej. Może, gdybym znał się na architekturze, nie dostrzegłbym jego szafirowego spojrzenia, nie czułbym tej nieporuszonej kosmicznej tajemnicy, którą zawsze odczuwam, kiedy przed moimi oczami rozpościera się ten rozpalający zmysły kościelny chłód. Wznoszę oczy do góry i dostrzegam kamienne wieńce kaplic pełne postaci świętych i przycupniętych na ich ramionach, przysypiających gołębi. Ach, gołębie, ach, jak ja kocham te niekochane ptaki. Słyszę ich delikatne, kontemplacyjne gruchanie. Słyszę pulsowanie, oddech tego kościoła, nadstawiam uszu i słyszę jego śpiew. To jest niebiański, krystalicznie czysty maronicki śpiew siostry Marie Keyrouz i bizantyjska pieśń Divny Ljubojevic. *Panis angelicus*. Patrzę na arabski kościół i słyszę śpiewające kobiety, nie chorał gregoriański, nie popów

z Ipatiewskiego monastyru i nie brodatych Greków z górskiego Athos. Tutaj, w moim mieście, słyszę, jak egipski kościół śpiewa świetlistym, kobiecym głosem. Czy kościół jest kobietą?

U źródeł jest język. Bóg jest kręgiem świetlistych liter. Jest każdą literą Swojego Imienia. Jest także środkiem, pustym miejscem w kręgu, gdzie stoją mężczyzna i kobieta, która wkrótce zostanie matką. (Jabes, 1/89)

Mężczyzna i kobieta. Nie wiem. Lubię „nie wiem", bardzo lubię. Strzałki na murach pokazują na południe.

W Sidi Bishr, w niektórych kwartałach, kamienice przemieszane były z willami. Aleksandryjskie wille – eleganckie, stare panie z fin de siècle'u w płaskich, zakurzonych i połatanych kapeluszach z czerwonych, pokrytych pleśnią dachówek. Odrapane i obdrapane, o zielonych oczach okiennic, podobnie jak ich większe siostry – kamienice. Otoczone kamiennymi murami z wyrytymi na nich wykruszonymi greckimi i arabskimi literami, niekiedy zardzewiałymi ogrodzeniami z motywami kwiatów i kiści winogron, otoczone pięknymi, nurzającymi się w półmroku, zaśmieconymi, zaniedbanymi i podsychającymi ogrodami pełnymi skrofulicznych pelargonii, mięsistych, wielkich fikusów, czasami rozłożystych drzew orzechowych i zdziczałych palm daktylowych, w których cieniu wylegują się wiecznie zaspane, przykurzone koty.

Wille niekiedy dwu-, trzypiętrowe, o małych, wąskich balkonikach, jak zawsze i wszędzie tutaj, niezmordowanie wypełnianych praniem, starymi gratami, wiązkami czerwonej cebuli i biało-zielonego czosnku.

Obok wysokich przedwojennych okien małe, okrągłe okienka, takie, jakie można spotkać na Mokotowie, klatki schodowe oszklone mlecznym szkłem, czasami starymi, abstrakcyjnymi witrażami, czasami po prostu zabite deskami. Na Wiśniowej chyba jest taka przedwojenna kamienica o falującej fasadzie, przed wojną nazywana przez mieszkańców Mokotowa transatlantykiem, ze względu na takie właśnie, okrągłe okna. Tak, i teraz tutaj, stojąc przed jedną z takich willi i wpatrując się

w te okrągłe, tajemnicze okna, zdałem sobie sprawę, że ja już tu kiedyś byłem. Nie, nie, nie żadna reinkarnacja czy poprzednie życie, to było coś zupełnie innego, absolutnie niewyrażalnego, tak, taki strzelisty akt, przebłysk, blask, blask, blask. Czułem owiewający mnie ciepły wiatr i czułem moją tożsamość z tym miejscem, tak strasznie mocno nasyconym tą książką, którą czytasz, z tą Księgą zamazaną i nieostrą, z tą przestrzenią wypełnioną Duchem i Ruchem, z tym zapachem Południa, z tym smrodem Południa, z tymi zaśmieconymi ulicami i zaniedbanymi ogrodami, z kocim moczem, smażonym jedzeniem, zgniłym glonem, z tymi ludźmi uśmiechającymi się zewsząd do mnie, z tymi ludźmi łagodnymi i dobrymi, z tym miastem. Villa Alexandrina jak Violetta Villas wyciągała do mnie dłonie w białych, przybrudzonych, trochę dziurawych rękawiczkach. Ona śpiewała. Jak Oum Kalsoum, śpiewała jak Violetta Villas – Czesława Maria *de domo* Cieślak, *primo voto* Gospodarek, *secundo voto* Kowalczyk. Posiadaczka słuchu absolutnego.

Na willi namalowana jest srebrna strzałka. Błyszczy w słońcu.

ya misafir wahdak wa fayatni le tabbaid anni wa teżeghlelni...
och, samotny podróżniku, który mnie mijasz...

Kiedyś tu byłem.

Czas. Jedna attosekunda to 0,000000000000000001 sekundy. To cała wieczność, to banał zwykły. Być może, jak napisał kiedyś Andrzej Stasiuk, czas jest czymś podobnym do powietrza i odbicia rzeczy trwają w nim tak samo, jak dalekie obrazy miast i krajobrazów przenosi fatamorgana. Rozejrzałem się dookoła. Było cicho, zadziwiająco cicho, jak na moje arabskie miasto. I nikogo nie było na ulicy, to również rzecz niezwykle rzadka tutaj. Mury szeptały coś w wielu starych językach, słony wiatr rozrzucał po ulicy ich słowa, zeschłe gałązki palmowe, wyrzucał w niebo wiry śmieci. Znowu fruwały w powietrzu papierowe torebki, znowu oślepiało mnie srebro wewnętrznych stron opakowań po chipsach. Wpatruję się w ciemny, zapuszczony ogród. Łagodnie falują brzuchy śpiących kotów. Kiedyś tu byłem.

Na chropowatym, pokrytym mchem i drobnymi trawkami murze, zaraz przy furtce, wisiała metalowa, okrutnie zardzewiała od tego słonego wiatru, nieduża tabliczka. Najpierw wyjąłem z aktówki aparat, potem komórkę i zrobiłem jej zdjęcia. Potem wyjąłem z kieszeni papierową chusteczkę od chłopca-Hasana i przetarłem nieco tabliczkę. Potem zdjąłem czarne okulary i zacząłem odcyfrowywać niewyraźny napis, wtłaczając go głosem w dyktafon:

Dans la maison pendant les années 1947-1948 il a vécu et travaillé le philosophe français René Guénon...

Pchnąłem furtkę.

Przeszedłem wąskim chodnikiem przez ogród i stanąłem przed czarnymi, drewnianymi drzwiami willi. Zwykłymi, bez żadnych zdobień czy inkrustacji, tak częstych tutaj. Zwykłymi, ale widocznie starymi, pokrytymi wieloma warstwami farby, lakieru, kleju i wchłoniętego przez nie przez lata brudu. Piękne, brudnostare drzwi z żeliwną kołatką. Nad wejściem wygrawerowany był zaśniedziały ze starości napis: *Sha'are Kedusha*. Co to znaczy? Jedno zdjęcie komórką. Wiatr się wzmagał, otworzyłem czarne drzwi.

Stare, zabałaganione trochę egipskie mieszkanie z widocznymi wszędzie lewantyńskimi ornamentami, nasycone Grecją, Francją i Stambułem. Takie mieszkania mają tutaj inteligenci i artyści starej daty. Zatęchłe powietrze, ale jednocześnie zapach jedzenia i tlącego się gdzieś *buhuru,* kadzidła. Tak tutaj bardzo często jest.

Dywany na podłogach, dywany na ścianach – wyliniałe, wypłowiałe i pocerowane. Piękne, przesycone papierosowym dymem i baranim tłuszczem. Lubię je wąchać, to też jeden z moich tranquilizerów, tak jak wąchanie Hagiego Hossama, tego od fioletowych bakłażanów i czarnobiałych egipskich filmów. Stare, stylizowane na ludwiki, dębowe, krzywoliniowe meble – jak z mokotowskiego mieszkania moich ciotek, to już wiesz. Obrazy na ścianach w złotych, popękanych gipsowych i drewnianych ramach. Obrazy podobne do malarstwa Franza Roubada, Feliksa Wygrzywalskiego, Samuela Hirszenberga, Eugène'a Delacroix

czy Jeana Gérome'a. Malarstwo orientalne jest samo w sobie kiczowate i nieprawdziwe, ale ja lubię oglądać je na ścianach egipskich mieszkań. Tak jak teraz, w tej willi. Erotyka Tysiąca i Jednej Nocy. Piękna bzdura.

Odaliski i muezini w stylu Gérome'a przemieszani z dziesiątkami starych, sepiowych pocztówek i obrazków z al-Iskanderiją i Kairem. Skórzany wielbłąd w kącie. Dywan na podłodze, z Senuhi, pokryty grubą warstwą nieporuszonego kurzu i pyłu. Co to za dom?

Wszedłem do salonu; taki sam nieporządek, spotęgowany jeszcze chaosem porozkładanych wszędzie książek. Pomyślałem o kamienicy Tikvah i o Azizie Mahmoudzie Effendim. Za kilka dni będzie ostatni *youm il-guma'*, ostatni piątek miesiąca. Będzie śpiewał Sheikh Mohamed al-Helbawy o oczach dziecka zapatrzonego w lecące na niebie ptaki. Muszę tam być. Aziz kończy już swoją maszynę. Sekretarzyk z opuszczaną klapą, pod ścianami cała gama wyścielanych siedzisk, lekkie stoliki do toalety, czesania, czytania. Wszystko zawalone książkami. Na podłodze pełno gazet. Francuskie tytuły głównie, trochę angielskich i arabskich. Podniosłem pierwszą z brzegu i przeczytałem nagłówek: „Egyptian Mail", Cairo – Thursday, 4th November 1948 – Alexandria, price: 15 miliemes.

Kto tutaj mieszka?

Pod sufitem na ścianach *rocailles* w różnych układach, pęki trzcin, łodygi palm, plamy grzybiczne, zacieki. Arrasy przetykane złotymi nitkami, ze smokami i scenami biblijnymi, na ścianach. Wąż podaje jabłko kobiecie. Palisandrowe biurko z poszarpaną skórą na blacie, na nim wielka, czarna maszyna do pisania. Pisarze często piszą o takiej maszynie, że „wyglądała jak wielki, czarny robak". To i ja też teraz tak napiszę: maszyna na palisandrowym biurku wyglądała jak wielki, czarny robak...

Popielniczka pełna ledwo dopalonych papierosów. Podniosłem delikatnie jednego: nad ustnikiem widniał słabo widoczny napis *Colombos Special*. Za biurkiem, na ścianie obok okien, ściśle zakrytych pięknymi, stylowymi zasłonami z mięsistej, mieniącej się – mimo grubej warstwy kurzu – silnym połyskiem tkaniny żakardowej, scenki rodzajowe chińskie i arabskie oprawione w popękane *passe-partout*. Robiłem zdjęcia.

Usiadłem na tapicerowanym krześle o wysokim oparciu i robiłem też krótkie notatki. Te notatki to ta Księga. W pewnym momencie moją uwagę przykuła leżąca na małej etażerce książka. Podszedłem i wziąłem ją do ręki, wycierając kurz z okładki. To była strasznie stara książka. Rozpadająca się i zbutwiała. Pokryta grubą warstwą kurzu, pyłu i popiołu. Delikatnie starłem dłonią okładkę i odczytałem:

Piotr Ibrahim Kalwas
DOM

Ach, po prostu szkoda słów... Okładka pokryta była jakąś dziwaczną plątaniną hebrajskich i arabskich liter i rysunków. Niektóre słowa były w łacińskim alfabecie. Pochyliłem się i zacząłem je odcyfrowywać: *kether... bina... din... tiferet... hod... malch... ani ain, ani nic... nun... mem...*

Otworzyłem ją na chybił trafił, kartki odpadły od reszty książki, przeczytałem:

Tak, taka sama strzałka. Wyjąłem z teczki miarkę i zmierzyłem ją, miała dokładnie dziewięć centymetrów. Potem komórką zrobiłem jej zdjęcie i umieściłem w galerii. Próbowałem doszukać się pewnych podobieństw i umiejscowienia tej strzałki i poprzedniej. Tam był meczet i sklep z lampami, tutaj zaś po prostu pusta ściana ze stojącym tuż obok śmietnikiem...

Odniosłem wrażenie, że napisałem to wieki temu. Jakbym czuł szum wiatru niosącego moje słowa i moje litery. Potem jeszcze raz otworzyłem książkę w innym miejscu i wbiłem wzrok w wyblakłą czcionkę:

...Mistycyzm kryje się w tych murach. Czuję to na każdym kroku. On pulsuje jak krew w skroniach. Dotykam porowatych ścian, zrywając łuski starej farby, która pod sobą kryje kolejną warstwę. Wyjmuję z kieszeni klucze od mieszkania i przy ich pomocy drapię dalej, drążę mur, drążę czas. Pojawiają się kolejne wyblakłe warstwy, kolejne historie miasta; czuję wokół uspokajającą woń kociego moczu, morze i nagły, mocny zapach palonego kadzidła. Obok mnie przemyka mężczyzna z twarzą przesłoniętą chustą...

Teraz z kolei zdało mi się, że ten tekst powstał przed chwilą, tak jakbym napisał go w tym pokoju. Znalazłem fragment, który był ostatnim fragmentem w tej Księdze, którą teraz czytasz, byłem po prostu ciekaw, co będzie dalej, nie bałem się, byłem bardzo spokojny, w tym domu mieszkał kiedyś René Guénon, czyli *szejch* Abd al-Wahid Yahya. Czytałem dalej:

Usiadłem na tapicerowanym krześle o wysokim oparciu i robiłem też krótkie notatki. Te notatki to ta Księga. W pewnym momencie moją uwagę przykuła leżąca na małej etażerce książka. Podszedłem do niej i wziąłem ją do ręki, wycierając kurz z okładki. To była strasznie stara książka. Rozpadająca się i zbutwiała. Pokryta grubą warstwą kurzu, pyłu i popiołu. Delikatnie starłem dłonią okładkę i odczytałem:

Piotr Ibrahim Kalwas
DOM

Okładka pokryta była jakąś dziwaczną plątaniną hebrajskich i arabskich liter i rysunków. Niektóre słowa były w łacińskim alfabecie. Pochyliłem się i zacząłem je odcyfrowywać: *kether… bina… din… tiferet… hod… malch… ani ain, ani nic… nun… mem…*

Wtedy właśnie do salonu wszedł starszy mężczyzna w długiej galabii, o czujnym spojrzeniu na szczupłej, zapadniętej twarzy. Ujął mnie za rękę i poprowadził do drzwi. Już wszedłem do środka. Wszedłem w swoją książkę, w swoją Księgę…

A potem już był tylko Itzhak Perlman i *Rozhinkes mit Mandeln*. Ktoś grał to na skrzypcach. Tak, jak trzeba, z daleka, zza ścian willi, ledwo-ledwo tak, ale na tyle wyraźnie, żeby słyszeć melodię. Atmosfera spokoju i ciszy okrywała ten dom. Szedłem za mężczyzną przez wewnętrzny dziedziniec, na którym na słomianych matach leżeli nieruchomo brodaci faceci i wpatrywali się w niebieskie niebo. Niektórzy mieli nogi wyprostowane, inni zwinięte po turecku, jeszcze inni trzymali stopę jednej nogi na kolanie drugiej. Nic nie mówili, tylko patrzyli w milczeniu w niebo. Nie zwrócili na nas w ogóle uwagi. Chyba byli na zajęciach. Weszliśmy w ciemną bramę, która wyprowadziła nas na inny, mniejszy i tym razem pusty dziedziniec prowadzący do drugiej willi.

Prawie pusty, tuż przed opuszczeniem go zauważyłem siedzącego pod ścianą małego chłopczyka, berbecia zupełnego. Bawił się metalowym dźwigiem albo koparką. Nie zdążyłem dojrzeć, panował półmrok, jak wszędzie tutaj…

Jakbym się obudził z jakiegoś stuporu. Rzeczywistość zwijała się i odwijała. Za oknem willi słyszałem metaliczny stukot kluczy sprzedawców gazu, kobiecy śmiech i trąbienie klaksonów. Wszystko się wzajemnie przenikało. Popatrzyłem na ścianę i dostrzegłem duży obraz przedstawiający węża zjadającego swój ogon, a potem na przeciwległej ścianie dostrzegłem jedno z tych okrągłych okien. W jego okrąg wpisane były delikatne złote koło i trójkąt. Co to za dom? To książka w książce.

…potem jeszcze jedne drzwi, długi, ciemny korytarz, jakieś podwórko zawalone workami, chyba z ryżem, krużganek na półpiętrze, kolejny dziedziniec, tym razem z ustawioną na środku prostą drewnianą trumną, na której leżała książka. Wiatr wolno przewracał jej stronice. Nad trumną stał chrześcijański mnich zatopiony w modlitwie. Wydawało mi się, że to dominikanin. Miał śnieżnobiały habit z nasuniętym mocno na oczy kapturem. Na dźwięk kroków powoli odwrócił głowę w moją stronę; przez ułamek sekundy pod kapturem ujrzałem wychudzoną, przerażająco starą i olśniewająco bladą twarz z zielonkawym czołem przepasanym czarną opaską. Zatrzymałem się na chwilę i popatrzyłem na niebo: dostrzegłem malutki samolot mrugający światełkami. Zawsze tęsknię, jak widzę światełka samolotu. Mężczyzna pociągnął mnie lekko za rękę i już kolejne podwórko pełne śpiących kotów i klatek z ptakami (klatki były pootwierane, niektóre nawet nie miały drzwiczek, ptaki świergotały cichutko, dziobały karmniki z ziarenkami i posrywały regularnie), potem znowu duży, pachnący mięsną smażeniną dziedziniec, gdzie mój przewodnik zatrzymał się gwałtownie i podniósł prawą dłoń do ucha, lewą wskazując w kierunku zasłoniętych okiennicami małych okienek. Usłyszałem fortepian. Jakby Glenn Gould i początkowe takty „Wariacji Goldbergowskich". Tych pierwszych, z 1955 roku. Suficka *zawija,* wewnętrzny, ukryty klasztor. Chyba się doigrałem. Mogłem siedzieć w *ahle* z sziszą…

– *Ajwa* – powiedział człowiek w białej galabii, szczerząc zęby – Glenn Gould, *dała did suda* – lek na ból głowy, takie dziwne słowa wypowiedział.

Znowu Glenn Gould, znowu dziwny, senny, nierealny strach. Ile ja mam właściwie lat? Przestałem czytać i pomyślałem, że bardzo bym teraz chciał zapalić szyszę. Wyjąłem z kieszeni jeden z koralików, chciałem go umieścić gdzieś w tym pokoju, ale jakaś siła, jakiś wewnętrzny głos powstrzymał mnie od tego. Zacząłem czytać dalej swoją książkę w swojej książce. Tę książkę, w której jesteś Ty, który to czytasz. Księgę.

...chwilę potem stanęliśmy przed niepozornymi drzwiami, na których wisiała trochę nieudolnie wykonana płaskorzeźba przedstawiająca salamandrę, dziwny, groteskowo śmieszny obraz z szybującymi po niebie złotym lwem i czerwonym smokiem oraz kartka papieru z arabskim napisem. Zbliżyłem się nieco i mamrocząc pod nosem, odczytałem go:

أجمل امرأة - *Il-adżmal marra*. Najpiękniejsza kobieta. Nieeee... to przecież niemożliwe, skąd kobieta w sufickim klasztorze? Musiałem się pomylić, mój arabski jest kulawy jak stary koń. Jeszcze raz zacząłem odczytywać arabskie znaki.

Mężczyzna roześmiał się, puścił do mnie oko i wyjął spod fałdów galabii telefon komórkowy. Powiedział coś cicho do słuchawki, jakby upewniając się, po czym otworzył drzwi i gestem dłoni zaprosił mnie do środka. Oplótł mnie monotonny huk maszyn. Poczułem ostry zapach smaru, bawełny i ludzkiego potu.

Wielka fabryczna hala. Niebotyczna po prostu. Z ogromnym przeszklonym dachem, pokrytym śniegiem. Fabryka opatulona śniegiem i lodem. Między rzędami białych wirujących szpul dziesiątki, setki kobiet. Młodych i starych. Robotnice w szarych fartuchach, z włosami zakrytymi takimi samymi, szarymi chustkami. Twarze ściągnięte, skupione, wpatrzone w migające motki. Dudniący, jednostajny jęk maszyn. Pył i kurz. Na ścianie, na tle czerwonej flagi, wielki portret generała Karola Waltera Świerczewskiego. Obejrzałem się za siebie. Mój przewodnik, zatykając sobie jedno ucho wskazującym palcem, perorował po arabsku do telefonu, przekrzykując huk maszyn. To sufi mają komórki? Nagle z umieszczonych pod sufitem megafonów rozległ się gromki męski głos, unosząc się ponad cały ten zgiełk:

– Towarzyszka Wanda Gościmińska proszona niezwłocznie do komitetu! Towarzysz Bierut dekorował was najwyższym odznaczeniem w Polsce,

Orderem Budowniczych Polski Ludowej… Towarzyszka Wanda Gościmińska proszona niezwłocznie do komitetu…

Jedna z kobiet, właściwie dziewczyna jeszcze, o pięknej chłopskiej twarzy jak z obrazów Chełmońskiego, zatrzymała swoją przędzalnicę i ruszyła w kierunku drzwi. Mijając mnie, zatrzymała się i przekrzywiając lekko głowę, spojrzała na mnie z lekkim, jakby ironicznym, ale jednocześnie zalotnym uśmieszkiem. Złożyła ręce na brzuchu i słodkim głosem zaszczebiotała:

– Piotrze, czy ty wiesz, że to ja zorganizowałam pierwszy kobiecy zespół współzawodnictwa? W jego skład weszły koleżanki Żarkowska, Janik, Fogiel, Piaseczna, Mielczarek i ja. Na cześć Kongresu Zjednoczeniowego PPR i PPS zadeklarowałyśmy tysiąc dwadzieścia sześć motków miesięcznie. Wykonałyśmy tysiąc czterysta sześćdziesiąt trzy sztuki… To był rekord w całym włókiennictwie, ech, Piotrze, czy ty wiesz…? – Wydęła wargi i zdmuchnęła drobinkę bawełnianego puchu z pełnych ust.

To były dziwne słowa. Niby szczebiocące, niby dziewczęce, niby takie beztroskie, ale miałem wrażenie, jakby to nie były słowa, lecz dobre, wielokalibrowe klucze francuskie, którymi dokręca się obluzowane łby śrub. Czułem, że staje się ze mną coś dziwnego, jakbym się nagle wewnętrznie zaczął chłoporobotnikować, tężeć jakoś tak w poczuciu i przeczuciu dobrze wykonanego planu, stawać się trudną do opisania monadą cegły, kielni, kilofa i wajchy do przestawiania biegów w żuku. Socjalizowałem się. O tak, socjalizm wypełniał mi żyły, uderzał w tętnicę, cały byłem człowiekiem dobrej roboty. Było mi dobrze. Środki produkcji! Moje! Nareszcie! Moja fabryka! Nie ich! Moja! Zacisnąłem pięści i ująłem się pod boki. Chciałem robić. Po prostu organicznie pragnąłem roboty. Huk fabrycznych maszyn stawał się rytmem mojego serca, wypełniał moją głowę, był niekończącą się wagnerowską, oszałamiającą melodią… Nie… nie, to jakaś bzdura, kosmiczna brednia! Niemożliwe, że ja to napisałem. Ktoś robi mi jakiś głupi żart. Na biurku, obok maszyny, na małym postumencie, stało jajko. Kamienne, doskonale wyprofilowane, jajko. René Guénon… René Guénon… to był… tak, pamiętam, René Guénon był myślicielem i pisarzem ezoterycznym, wielkim badaczem tradycji religijnych, metafizycznych i mistycznych. Głosił postępujący

zanik Zachodu, to pamiętam. Na początku lat trzydziestych wyjechał do Egiptu i przyjął islam...

...Wanda nie odrywała ode mnie spojrzenia swoich modrych oczu. Cały czas się lekko uśmiechała. Patrzyliśmy na siebie. Tristan i Izolda. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza jest przewodnią i kierowniczą siłą polityczną Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, jest awangardą klasy robotniczej, która w sojuszu z chłopstwem i inteligencją przez dziesięciolecia toczyła walkę o wyzwolenie społeczne i narodowe. Czułem czystą prawdę w tych słowach. Przenikało mnie ich piękno. To nie jest żaden żart, to nie żadna kpina z tamtych, socjalistycznych czasów, tak częsta dzisiaj. Ja tutaj, w tej aleksandryjskiej willi, w starych chińskich sandałach, nagle stanąłem w tej awangardzie klasy robotniczej, chciałem indoktrynować, planować, upowszechniać świadczenia socjalne i działać w Komitecie. Tak, chciałem działać w Komitecie! Och, działać! Chciałem budować Nowy Dom! Jak Schönberg Nową Muzykę! Nawet nie wiecie, jakie to uczucie! To jest po prostu cudowne, niewyrażalne, oszałamiająco jasne i przejrzyste uczucie dotykania Prawdy! Tak, czułem, przeczuwałem, że zaraz ujrzę czystą i nieskażoną, obraną z wszelkich brudów i plew, ekstatyczną, platońską ideę socjalizmu. Widmo krążyło po fabryce – widmo komunizmu. Było mi dobrze. A więc tu jesteś, moja ukochana, tu, w tym egipskim starym mieszkaniu, ach, tu... Chciałem chyba coś powiedzieć, ale Wanda Gościmińska podeszła do mnie i położyła mi palec na ustach. Patrzyłem jej prosto w oczy. To były dwie pulsujące fascynującym, zniewalającym, nieziemskim światłem gwiazdy. Kocham ją. Tchnęła mi w ucho:

– Czworo ciągle głodnych dzieciaków, posępny, wychudzony ojciec i wiecznie zatroskana matka. Matka kroiła chleb na małe kromki i wydzielała je oszczędnie. Dwa kilo chleba musiało starczyć na cały dzień. Na siedem osób...

Kocham Wandę. Kocham socjalizm. Kocham...

To jakaś maligna, nigdy niczego takiego bym nie spłodził, to nie moje pisanie. Ja znam swoje myśli, nigdy nie piszę takich pretensjonalnych bzdur. Tania magiczność, naiwna ezoteryka dla bałwanów, okraszona modnym orientalizmem i jakimś socjalistycznym wariactwem! Wszystko jest tutaj na siłę. Wstydziłbym się przed samym sobą takich bredni;

codziennie po pisaniu patrzę długo w lustro. Książka w książce to tanie chwyty pisarzy jeszcze tańszych od ich pisarstwa. W 1934 roku René Guénon ożenił się z Fatmą, córką sufickiego szejka Muhammada Ibrahima. Pod imieniem Abd al-Wahid Yahya został inicjowany do ezoterycznego muzułmańskiego Zakonu Sufi. Pamiętam jego zdjęcie z jakiejś książki: miał dziwną, niezwykle pociągłą twarz, jakby wykutą z kamienia…

– … szesnastoletnia poszłam do fabryki. Było to w trzydziestym. W Rudzie Pabianickiej kapitalista Horak pobudował ze spółką przędzalnię…

Mój przewodnik zbliżył się do Wandy i coś wyszeptał jej na ucho, wskazując na mnie. Gościmińska przymknęła oczy, wyraźnie rozmarzona, uśmiechnęła się promiennie, kiwnęła potakująco głową i kontynuowała:

– …farbiarnię i pralnię. Gdy mnie przyjmowali, była tam jedna duża hala podzielona na części…

Huk maszyn narastał. Sufi wyciągnął zza pazuchy kryształowy nóż i podniósł go do góry. Blade światło fabrycznych jarzeniówek odbiło się przecudownym refleksem od ostrza kindżału i oślepiło mnie.

– … i cała robota szła pod jednym dachem. Kiedy przyszedł kryzys, otwierano bramę co drugi dzień, pół tygodnia maszyny stały…

Brednia! Sufi w peerelowskiej fabryce! Tani horror w miękkich okładkach z supermarketu! Ktoś podszywa się pode mnie. Gdzie? Kiedy? Dlaczego?

Książka po prostu rozpadała mi się w rękach. Popatrzyłem jeszcze raz na pokój. W kolejnym okrągłym oknie dostrzegłem złoty krzyż. René Guénon nigdy już chyba nie wrócił do Europy. Żadna z jego książek nigdy nie została przetłumaczona na polski. Co ja trzymam w spoconych dłoniach? Co to za książka? Czyja?

…socjalizm. Każdemu według potrzeb. Socjalizm. Ekstaza. Krew rozsadzała mi żyły. Przędzalnia dudniła jak serce. Sufi lekko ujął Wandę pod plecy i mamrocząc coś szybko pod nosem, oparł rozpromienioną robotnicę o metalową osłonę wrzeciona. Przez sekundę zamarli oboje, niczym w tangu. Wanda nie przestawała patrzeć mi prosto w oczy.

– Trudno było o robotę, Piotrek…

Delikatnie, jak zegarmistrz światła, mistrz suficki zagłębił w piersi Wandy Gościmińskiej kryształowe ostrze. Twarz przodowniczki stężała na moment, jakby lekko pobladła, ale uśmiech nie zniknął z jej po robociarsku wyciętych ust. Kadry decydują o wszystkim.

– Mnie pomagała sąsiadka, ale robiłam bez pieniędzy, za darmo… Dziewiątego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku wiatr sypał nam w twarze kłęby śnieżnego pyłu, ręce kostniały na mrozie, wiatr, wiatr, wiatr… moja… nasza… fabryka… wygraliśmy… socjalizm… socjalizm… socjalizm… – wyrzucała z siebie drgające, żywe, mistyczne słowa.

Brodaty marabut oderwał się od robotnicy i niezmiernie delikatnie wyjął z piersi Żelaznej Wandy jej pulsujące serce, chuchnął na nie, po czym obmył ostrożnie wodą sodową ze stojącej obok butelki. Takiej z przytwierdzonym drutem porcelanowym kapslem. No, wiesz jakim… Usłyszałem za plecami przebijający się przez potworny już teraz ryk maszyn dziwnie delikatny, powoli narastający śpiew robotnic:

> Wszystko tobie, ukochana ziemio,
> nasze myśli wciąż przy tobie są,
> tobie lotnik triumf nad przestrzenią,
> a robotnik daje dwoje rąk.
> Ty przez serce nam jak Wisła płyniesz,
> brzmi jak rozkaz twój potężny głos,
> murarz, żołnierz, cieśla, zdun, inżynier –
> wykuwamy twój szczęśliwy los…

Mistrz ezoterycznego sufickiego bractwa Naszkandija trzymał w okrwawionych dłoniach pulsujące niewiarygodnym, oślepiającym, mistycznym blaskiem, dudniące jak wszystkie przędzalnie świata, promieniujące na całą fabrykę serce Wandy Gościmińskiej. Czyste serce socjalizmu. Pod fabryczne sklepienie, ponad śpiew kobiet, ponad śpiew tkalni i przędzalni, wzbił się jej rozdzierający krzyk. Jej – pierwszej kobiety w Polsce Ludowej odznaczonej Orderem Budowniczych i Brązowym Krzyżem Zasługi:

– Ja chcę do maszyn!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Robotnice zaniosły się radosnym trelem:

...ukochany kraj, umiłowany kraj,
ukochane i miasta, i wioski,
ukochany kraj, umiłowany kraj,
ukochany, jedyny nasz, polski...

Ujrzałem Czysty Socjalizm. Ukochany kraj.

– *Ikh hob dikh lib*... – wyszeptała do mnie Wanda. To było jidysz. Po jej policzkach ciekły łzy zmieszane ze smarem. Łzy radości. *Il-adżmal marra*. Najpiękniejsza kobieta.

Hob to po arabsku miłość. Ukochany kraj. Jestem patriotą. Polakiem.

Chichot. To jest właśnie chichot literatury nijakiej. Tanie wizje i naciągany mistycyzm. Jak z książek wydawnictwa Amber z kiczowatymi, komiksowymi maskami potworów na okładkach. René Guénon był twórcą idei tradycjonalizmu integralnego... Nie pamiętam dokładnie, o co w niej chodziło. Czytałem tylko krótkie teksty w internecie. Czy to przypadkiem nie jest to, co jest za oknami tutaj, w Egipcie? Ale za jakimi oknami? Spojrzałem w stronę biurka. Nad biurkiem wisiał teraz mały człowieczek z głową pająka. Wisiał tą ohydną, porośniętą czułkami i wypustkami głową w dół, zawieszony na suficie za jedną, uwiązaną liną nogę. Druga noga przywiązana była do pierwszej krótkim sznurem na wysokości kolana. Nogi tworzyły jakby figurę przypominającą trójkąt. Machał do mnie malutką rączką i posyłał mi całusy. Popukałem się w czoło w jego stronę; nawet Clive Barker nie powstydziłby się takiego głupowatego stwora. Ani Graham Masterton, że o Kingu nie wspomnę. Kto sobie robi żarty z mojego poważnego, natchnionego i zaangażowanego pisania? Po kiego grzyba ja w ogóle tutaj wchodziłem?

...My trudności wszystkie pokonamy,
żaden wróg nie złamie hartu w nas,
w słońce jutra otworzymy bramy,
rozśpiewamy, rozświecimy czas.
To dla ciebie najgorętsze słowa,
wszystkie serca, siła wszystkich rąk,

to dla ciebie, piękna i Ludowa,
każdy dzień i każdy nowy dom...

Sufi w białej galabii nachylił się do mnie i z uśmiechem powiedział:

– Abu Hasan, jesteś po prostu genialnym pisarzem... – Zachichotał.

Robotnice śpiewały wysokimi, czystymi głosami, nieruchomo wpatrzone w wirujące motki. Muszę zdążyć odebrać Hasana ze szkolnego autobusu. Która godzina?

Ukochany kraj...

Zamknąłem swoją książkę i odłożyłem ją na stolik. Nie, to nie jest moja książka. To stek jakichś tanich głupot podpisany moim nazwiskiem. Chichot. Co to za rzeczywistość?*

– *Hadritak... ya Haggi...* – *Ahwagi* lekko dotknął mojego ramienia. Rozkojarzony, spojrzałem na jego wąsatą, uśmiechniętą twarz, potem na zegarek w komórce. Myślę, że od opadnięcia mojej głowy na piersi nie minęło więcej niż dwadzieścia-trzydzieści sekund. Wstałem, wcisnąłem mu w szorstką dłoń cztery gwinee i machnąłem ręką na przejeżdżającą czarno-żółtą taksówkę. Z meczetów Sidi Bishr zaczął płynąć azan. Droga Wando, droga towarzyszko Gościmińska, oczekujcie mnie dzisiaj wieczorem. Przyjdę. Pretensjonalny sen kiepskiego pisarza... Wcisnąłem koralik głęboko w popękane siedzenie starej łady i zacząłem się cicho śmiać z samego siebie, czyli ze wszystkiego.

Wieczorem, grzebiąc w internecie, wyczytałem, że muchy, przenosząc zarazki wielu chorób, jednocześnie mają w swoich skrzydełkach grzyby zdolne do zwalczania tych zarazków. Ale nic na ten temat więcej, bo nic na ten temat nie wiem. Przeczytałem też, że muchy żyją około miesiąca,

* Wykorzystałem fragmenty wspomnień Wandy Gościmińskiej „Mój wielki dzień" (KiW, 1949) i artykułu „Żelazna Wanda" Ryszarda Wójcika („Perspektywy", 28.04.1972). Piosenka „Ukochany kraj" – słowa: K.I.Gałczyński, muzyka: T.Sygietyński, wyk. chór robotnic Przyzakładowego Domu Kultury Przędzalni Bawełny im. gen. Waltera w Łodzi pod dyr. Sir Sheikha Abd al-Wahid Yahy alias René Guénona.

więc ta mucha z meczetu prawdopodobnie zaszczyci swoją obecnością jeszcze niejedną herbatę. Czy mucha...?

Sięgnąłem po pudełko z filmem o Wandzie Gościmińskiej. Było całe pokryte grubą warstwą wilgotnego kurzu. Wiał słony wiatr. Cały czas wieje.

*

Śmierć. *Mut*. Jej przeczucie. Coś, co zawsze jest. Wszędzie. Banał.

Ale jej przeczucie, jej prezencja, jej delikatne muśnięcie nie są wszędzie i zawsze takie same. Ale może się mylę. To jest taki temat, że chyba nawet trzeba się mylić. Jednoznaczność jest tutaj nie na miejscu. O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć.

No to milczę. Milczę, pisząc. I to, co teraz piszę, jest nic niewarte w obliczu tego milczenia.

Tutaj ten słodki dotyk ostateczności, to przypomnienie, że już czas się zbierać, jest trochę inne niż tam, w świecie, z którego wyjechałem. Tam jest śmieszna, niegodna człowieka ucieczka przed śmiercią. Z dekady na dekadę, z wieku na wiek coraz szybsza i bardziej nerwowa. Pulsujące światła wielkich miast, monotonnie dudniąca muzyka, błyszczące, szeroko rozszerzone oczy tańczących ludzi zabijają śmierć. W tamtym świecie nie wypada o śmierci zbyt dużo i za często mówić, bo to nie merkantylne i słabo się sprzedaje. To nie jest modne. Od tego są tam odpowiedni ludzie na marginesie życia, na przedmieściach tych rozświetlonych miast.

Na przykład Leszek Kołakowski, który dzisiaj umarł, jak podała Dwójka przed chwilą, dokładnie w momencie, kiedy odziewałem się w swój chiński garnitur. Zamarłem z jedną nogawką wciągniętą, a drugą wiszącą bezwładnie w powietrzu. No umarł. Nie wiem czemu, ale pomyślałem o peruce Połomskiego. Okej, żebym tylko nie zapomniał dyktafonu do aktóweczki; chcę dzisiaj ponagrywać dużo pustki. Kilka koralików w kieszeni. Czarne okulary leciutko swędzą za uszami, ale tylko leciutko. No umarł.

Albo Zbigniew Zapasiewicz, który też dopiero co. I dziesiątki, setki innych podobnych, którzy właśnie umierają, kiedy to czytasz, a na ich

miejsce nikt podobny nie przychodzi oprócz technoludzi, coraz bardziej wydrążonych, coraz bardziej zauroczonych blaskiem miasta, coraz bardziej zaharowanych, bogatych i pustych. Gdzie jest wasz czas, o niebieskoocy? Co się z nim stało? Kiedy?

No i chamy. Chamy rosną jak na drożdżach. Śmierć im jest w ogóle niestraszna.

W nocy czytałem konfucjańską rozprawę o chińskim kalendarzu. Składa się on z sześćdziesięcioletnich cykli, na które składają się: krowa, tygrys, królik, smok, wąż, koń, kozioł, małpa, kura, pies, świnia. Nie wiem, kiedy przeczytasz te słowa, ale jestem przekonany, że rok, w którym je zapisuję – rok 2009 – będzie Rokiem Chama. Co więcej, jestem pewien, że także następny rok, 2010, będzie Rokiem Chama, rok 2011, 012, 013, 014 i dalej – cały sześćdziesięcioletni cykl, wszystko to będą Lata Chama, Cykl Chama. Albowiem cały ten wiek, wiek XXI, będzie Wiekiem Chama. Chamstwo z roku na rok będzie akcelerować. Jakie będą wieki następne, aż strach pomyśleć. Nawet nie strach, lęk.

Lękam się Chama.

Potem w internecie, szukając stron o Gombrowiczu, znalazłem wywiad sprzed roku ze Sławomirem Mrożkiem. Dziennikarka zapytała pisarza:

– Przez dwadzieścia lat wolności ubyło chamów?

*– Wręcz przeciwnie. Jest ich coraz więcej i są coraz silniejsi. Przestaje się na nich zwracać uwagę, bo to oni dominują, nadają ton. Są wszechobecni. To jest zresztą światowe zjawisko. Obserwujemy dziś zgrubienie rzeczywistości. Wszystko staje się coraz bardziej chamskie, dotyczy to każdej płaszczyzny życia...**

Tak, tak, lubię pozwalać winę także na innych. Jest mi wtedy znacznie lżej. Szukam kumpli i znajduję ich.

---

* Rozmawiała Katarzyna Janowska, „Polityka", 6 czerwca 2008.

Śmiercią na Zachodzie zajmują się filozofowie, intelektualiści i aktorzy ze sztuczną czaszką w dłoni. Odpowiedni ludzie, oddelegowani do tej przykrej, trochę wstydliwej sprawy. Poza tym to musi być fajnie, wesoło i w ogóle super-hiper. Nie, na Zachodzie wcale nie ma „kultury śmierci". To pomyłka. Tam jest tylko „kultura śmieci". I mimo iż ulica przed moją *ahłą* i jej chodniki pokryte są masą papierków, odpadów, petów, oślich odchodów, resztek jedzenia, zwyczajnym brudem, to wiem, że to tam – w tych błyszczących, wypucowanych, eleganckich miastach – właśnie tam leżą śmiecie, a nie tutaj.

Tutaj jest inaczej, mówię. Tutaj śmierć jest po prostu wszechobecna.

Tak, to tutaj jest kultura śmierci, i jest ona piękna. Tutaj, w Togo, Ghanie, Ekwadorze, w Bhutanie, w Indiach... ach, jaka w Indiach jest wspaniała kultura śmierci, jeszcze większa niż w al-Iskanderiji! Tam jest taka śmierć, że aż chce się żyć! Śmierć przechadza się dostojnie po ulicach Mumbaju, Thimphu, Ouagadougou, Quito i mojego miasta. Zrozumiałem i zobaczyłem wyraźnie to dzisiaj Pod Lampą, jedząc ciepły *aijsz* z gorącym falafelem i popijając parzącą podniebienie herbatę. Tak, tutaj śmierć jest żywa i w dobrej formie. Upał trochę zelżał, wiał orzeźwiający wiatr. Było mi tak dobrze, że od razu zacząłem myśleć o śmierci. Tak coraz częściej mam: im mi lepiej, tym mocniej wspominam śmierć, dusza szczęśliwa ją przywołuje. Wydaje mi się, że jestem przez to bardziej uczciwy. Tak jest dobrze.

Tego też nauczyłem się od ludzi tutaj. Od ich nieustannego przypominania sobie i innym o końcu wszystkiego. „Wszystko przeminie i pozostanie tylko Jego oblicze" – jak parę dni temu z uśmiechem wykrzyczał w moją stronę mijający mnie na el-Geishu człowiek, uchylając czapki. W Europie byłby wzięty za wariata, tutaj to zwykłość, część codziennego powitania, proza wręcz. Przełknąłem kawałek chleba, uniosłem głowę, popatrzyłem na ulicę i zobaczyłem śmierć w całej okazałości, w całej jaskrawości: to była mała dziewczynka z długimi warkoczami, która, ze śmiesznie przekrzywioną głową, stała oparta o mur po drugiej stronie

ulicy, z rozdziawioną buzią, wpatrując się w błękit nieba. Sheikh al-Helbawy ma oczy dziecka zapatrzonego w niebo na lecące ptaki… Dziewczynka wyglądała jak z kadru włoskiego filmu z sześćdziesiątych lat. Jak z okładki książki Joanny Olczak-Ronikier albo Miry Michałowskiej.

Zauważyła moje spojrzenie i pomachała mi chusteczką z drugiej strony.

Śmierć jest tu na każdym kroku, w każdej sekundzie tej drgającej, gorącej rzeczywistości, w niesłychanej przejrzystości i klarowności głosów i obrazów tego miasta, w budzącym wszystkich azanie, w shedirze na mojej ulicy i wszechobecnej recytacji świętych tekstów, w uśmiechach ludzi i sennych spojrzeniach kotów, w zapachu glonów i smażonego czosnku, w zielonych oczach starych kamienic, w słodkim dymie sziszy, w roześmianych oczach tej małej dziewczynki. I to jest piękne. Jak piosenki Demisa Roussosa.

W *aijszu* jest śmierć. To banał wart przypominania. Wiecznego przypominania. Śmierć jest tutaj jak życie. Ta granica jest od wieków zatarta, nieostra, płynna. To jest jeden dom. Im większe umiłowanie życia, tym większe nadzieje związane ze śmiercią. Mężczyźni i kobiety szepcą w meczecie mrówek. Mężczyźni w *ahle* biorą na ręce Hasana i obcałowują go, szepcąc mu coś do ucha. Ci ludzie tutaj są całkowicie poddani.

Dzisiaj wczesnym rankiem, po powrocie z plaży Silsila, słuchałem „Leo", kompozycji Johna Coltrane'a z koncertu w Japonii. Kardamonowa jemeńska kawa podkreślała muzykę, wyciągała jej eteryczny i ezoteryczny smak. Bo taki właśnie jest ten długi na trzy kwadranse utwór: pełen wiedzy i mądrości, plotyński. W pewnym momencie, wśród zgiełku i harmidru rozhuśtanych, nieobliczalnych, wężowych freejazzowych dźwięków wyłowiłem daleki, rozdzierający płacz noworodka. Nie, nie wgrany. Prawdziwy, zrodzony z życia dźwięków. Pierwszy krzyk dziecka wygenerowany przez saksofon Johna Coltrane'a. 15 minuta i 38 sekunda utworu. Kilka sekund. Narodziny. Misterium absolutne, drżenie rąk i kołatanie serca, dwa błyskawiczne akty strzeliste, w tym jeden ze szpi-

tala na Pradze, gdzie się urodziłem, powiew błogosławionego smrodu pasty do podłóg z dzieciństwa, potem poczułem śmierć i życie w jednym przebłysku, w jednej attosekundzie.

Tutaj polubiłem swoje rozmyślania o śmierci, których tam bałem się i unikałem. Otoczenie mi sprzyja. Siedzę przy stoliku i myślę o śmierci, tej zwyczajnej wariatce, jak ją pięknie wyzywał Edward Stachura.

Na komórkowym zegarze wybiła 15.30. Z daleka już do mnie macha Baba z Brodą. Ma dzisiaj dla mnie cudowną, nadgniłą, prawie pozbawioną liści, połamaną gałązkę pelargonii. Wręcza ją Hasanowi, a on wsuwa w jej pomarszczoną dłoń banknot. Baba z Brodą uśmiecha się do mnie śmiertelnie i pokazuje kostropatym palcem na niebo, szepcąc coś pod nosem; ona dużo wie, może dużo więcej ode mnie, ona widzi śmierć, jak pomaga jej pchać rozpadający się wózeczek ze szmatami. Odnotowuję te śmiertelne spotkanie w moim notesie. Baba z Brodą dobrze trzyma się czasu. Gdzie jest jej lalka ze szmatek?

Pelargonia do kieszeni marynarki, mam już tam stary, pokryty brązową rdzą klucz. Wieczorem pelargonia powędruje do zielnika na zawsze i zawsze. Klucz znajdzie swoje miejsce wśród książek w bibliotece. Wsunę go między „Sprawiedliwą wagę" al-Ghazaliego a „Przewodnik błądzących" Majmonidesa. 15.32 – autokar Lycee Religiose Francescane na chwilę zasłania mi dziewczynkę z włoskiego filmu, dziewczynkę zapatrzoną w niebo, dziewczynkę z drugiej strony. Szyfry transcendencji, akty strzeliste, świeże kwiaty na grobie Edwarda Gierka, René Guénon wyjmujący serce z piersi Wandy Gościmińskiej, ciepły wiatr o zapachu glonów, krzyk dziecka Johna Coltrane'a, szybkie szepty gdzieś z tyłu głowy, tłuszcz z falafelu na wargach, *la ilaha il-Allah* – ten świat, tamten świat. Rozrywam *aijsz* na kawałki.

Trąbią klaksony, dzwonią komórki, śniada dłoń podtyka mi przed oczy ciężką kiść wielkich jak śliwki winogron. Pięć funtów. Na niebie egipskie myśliwce piszą Księgę Wojny i Pokoju. 15.36 – brodaty mężczyzna w śnieżnobiałej galabii bezszelestnie wysuwa się z bramy, z namaszczeniem kładzie pod murem zatłuszczony papier z resztkami

dla kotów, siada obok mnie i podaje mi nieśmiało rękę. Jego brązowa *zibiba* na czole świeci białym światłem czarnego kamienia w Ka'bie. Szklanka herbaty z miętą, *szaj bil-nana*. Ach, mów mi dużo o śmierci przy herbacie, bracie...

Ahwak...
Uwielbiam cię...
We atmana law ansak...
i jeśli kiedykolwiek cię zapomnę...
Ansa rohy wayak...
to tak, jakbym stracił duszę...

Ciężarna kotka ostrożnie podchodzi do kawałka gazety z resztkami spaghetti. W oknie naprzeciwko zaczyna drgać ukryte za muślinową firanką blade światło. Wszystko faluje na wietrze, cała jaskrawość. Spoglądam na zegarek w komórce. Światło drga dokładnie trzy minuty. Jest 15.43. Białe świetliki na czarnym tle. Jak okładki Ksiąg Jabesa. Kosmos.

Siedzimy z brodaczem w milczeniu, posiorbując od czasu do czasu herbatę. W milczeniu patrzymy na jedzącą ciężarną kotkę. Nic nie mówimy. Myślę o staruszku w fotelu na balkonie przed chińskim centrum. Czy aby nie zapomniał podlać swojej pelargonii? Myślę o Mahmoudzie Azizie Effendim i o jego latającej maszynie. Czy już gotowa? Ja też chciałbym odlecieć. Myślę o kamienicy Tikvah; za kilka dni jest ostatni w tym miesiącu *youm il-guma'*. Wtedy tam pojadę, *insha'Allah*. Sheikh al-Helbawy ma oczy dziecka zapatrzonego w niebo na lecące ptaki, chcę je zobaczyć. Siedzimy i milczymy o śmierci. Słychać mlaskanie kotki. Jałmużna tutaj jest jak w Polsce przeklinanie.

Minęła chwila i jeszcze jedna, i jeszcze jedna. Milczało się dobrze. Milczenie było dobre i ciepłe między dwojgiem ludzi i nie ma sensu mącić dalszym słowem, jak kamieniem, spokojnej, równej, gładkiej tafli wielkiej wody...[*]

* Edward Stachura, „Utwory wybrane", t. II, Warszawa 1984, s. 144.

Ale już... Już czas, kiedyś trzeba zacząć: mężczyzna w białej galabii pochyla się w moją stronę i łagodnym kamieniem-głosem, mieszając łyżeczką herbatę, mieszając angielski z arabskim, zaczyna mącić taflę gładkiej wody:

– *My brother*... Sheikh al-Buhari przekazał, że al-Bara' powiedział, że kiedy mały synek Proroka (pokój z Nim) Ibrahim umarł, Wysłannik Boga powiedział: W raju czeka na niego mamka...

Potem bierze łyk herbaty i zastyga z tym swoim delikatnym uśmiechem, wpatrzony w moją twarz. Nie, nie szuka aprobaty czy potwierdzenia, nie... widzę, że jest to mu zupełnie obojętne. Szumiący wiatrak pod sufitem, szlaki mrówek, dzikie zielone pomidory, drogi srebrnej strzałki. Ja nic mu nie odpowiadam i jem zielone winogrona.

Potem bierze głęboki oddech, jeszcze raz pochyla się w moją stronę i mówi:

– *My brother*... przekazano, że Abu al-Hayyag al-Asadi powiedział, że Ali ibn Abu Talib przekazał słowa Wysłannika Boga: Kiedykolwiek zobaczycie jakiś usypany wysoko grób, powinniście go zrównać z ziemią...

Ulicą przejeżdża teraz wózek rzeźnika. Ogromne, krwawiące serce wołu spada na ziemię.

Serce pulsuje światłem. (Jabes, 6/53)

Pulsujące w oknie światło. Na zdjęciu w komórce to tylko rozmazana, jaśniejąca plama. Jest 15.52.

*

Biblioteka w tropikach ma się dobrze. Wzniosłem ją wczoraj w moim pokoju razem z egipskim stolarzem. Ponad dwa tysiące książek i prawie dwa tysiące płyt kompaktowych na prostych, zabejcowanych półkach. Długo musiałem tłumaczyć stolarzowi, że nie chcę biblioteki na wysoki połysk, że organicznie wprost nie znoszę takich bibliotek, że chcę zwykłe półki, takie jak w garażu, takie jak w bibliotece Mahmouda Aziza Effendiego w kamienicy Tikvah...

Od wczesnego ranka znoszę książki z całego mieszkania i ustawiam. Jestem trochę roztargniony: myślę o śnie, który miałem dzisiejszej nocy. A właściwie o wierszu, który mi się przyśnił. Masz czasami takie sny, w których piszesz albo słyszysz najpiękniejsze poematy, mistyczne i transcendentalne wiersze, których – jak mniemasz – nigdy byś nie napisał czy nie usłyszał na jawie? Budzisz się później z niejasnym uczuciem doświadczonej we śnie genialności i cudowności swojego umysłu, a po zaspanej głowie błąkają ci się resztki onirycznego dzieła. Wstajesz, myjesz zęby, jesz śniadanie i już nic nie pamiętasz ze swojego nocnego arcydzieła.

Ja zapisuję. Mam obok materaca zawsze dyżurną kartkę i ołówek. Zaspany i nieprzytomny, resztkami świadomości zapisuję swoje poematy nocy. Potem, jak już się obudzę całkowicie, zabieram je do stołu i – pełen niepokoju – czytam przy jajecznicy i kawie. Takie senne wiersze zdarzają mi się raz, dwa razy do roku. Dzisiejszej nocy właśnie jeden się stworzył. Tylko tak to mogę ująć: się stworzył, bo nie wiem, kto tak naprawdę tworzy te wiersze. Moja ręka tylko zapisuje na żółtej karteczce. Oto i poemat z dzisiejszej gorącej egipskiej nocy:

Mam pierścień i skrzydła z papieru,
A mgła nad miastem, mgła nad miastem...
Jestem w tym mieście zupełnie sam,
Tylko ja i zaniepokojeni Pigmeje z minutami w ustach...

Biblioteka w tropikach ma się dobrze.

Dzielę księgozbiór na działy: cztery półki religii, sześć półek filozofii, jedna półka Singera, jedna Gombrowicza, półka i ćwierć z Kapuścińskim, dwie półki poezji, trzy półki książek kucharskich – więcej niż poezji, to mi dało trochę do myślenia i trochę do śmiechu, trzy i pół półki książek z dzieciństwa z Niziurskim i Bahdajem na czele, prawie trzy półki podróży, w tym prawie jedna cała z niezapomnianą serią Dookoła Świata z siedemdziesiątych lat, ponad dwie półki z teorią muzyki – całuję Puzona Waldorffa i chichoczę pod nosem. Reszta to literatura – wytłusz-

czona, wybrudzona, porwana i pomięta – żywa. Chciałem na początku podzielić ją alfabetycznie, potem jednak dokonałem luźnej selekcji narodowościowej. Narody ustawiłem obok siebie bez żadnego planu, bez żadnej geografii: żółte, wytarte okładki sześciu Straconych Czasów Prousta (jednego mi brakuje) stykają się z pięcioma parami dżinsów Stachury, dziewięć błyszczących, śliskich Putramentów sąsiaduje przez drewnianą ściankę z pstrokatymi Latynosami. Żydzi z Arabami, Francuzi z Anglikami, Amerykanie z Rosjanami. *Pax vobiscum*. Pełno małych i malutkich enklaw: portugalskich, hiszpańskich, włoskich, czeskich, rumuńskich, greckich, japońskich, indyjskich, albańskich, samotna starsza pani z Malty, niewidomy z Wietnamu. Zimna, zamyślona seria Skandynawów przytula się do dudniącej magią literatury Czarnej Afryki i zmechaconych kserokopii paryskiej „Kultury". Carpentier, jest już Carpentier! *Ach Alejo, tu eres el mejor...* Plotyn i Klemens aleksandryjscy. Borges rysuje w powietrzu koła laską ze złotą gałką, Melchior Wańkowicz pierdzi z najwyższej półki. „Kobieta z wydm" w objęciach „Don Quijota". Jabes i Gadacz na przodku. Smażony na oliwie czosnek unosi się nad książkami. *Il bet ha-midrasz*.

Trzy półki na stare rocznik „Perspektyw", „Panoramy Śląskiej", „Trybuny Ludu", „Przekrojów" i dziesiątek innych gazet, poradników, informatorów i starych magazynów Polski Ludowej. Japończycy, Turcy, Chińczycy. Malezja, Indonezja, gamelan, poezja. Szesnaście półek z muzyką: jazz, muzyka średniowieczna, wirujący sufi, skaczący cadycy, Bach kosmiczny, Manuel de Falla liryczny, Mozart cały w chichotach, Oum Kalsoum macha białą chusteczką, Komeda po wódce, Roussos po winie, Mohammed Abdel Wahab zakochany w kairskich dziewczętach, Lutosławski w Polsce zaklęty, Stockhausen cudownie jebnięty, Pigmeje Babinga z minutami w ustach, Inuici unurzani w tłuszczu fok, Warszawska Jesień, poezja śpiewana we wszystkich językach tej planety, salsa, soka, rumba, świeży sok kubański i świeża krew kogutów z Haiti, brzdęki koto, płacz sitaru, stukot serca tabli, szaleństwa Hildegardy z Bingen, flet prosty i krzywe szofary, Sahara, Grenlandia, z malowanej skrzyni polskiej, afrykańskiej i arabskiej, sale balowe Wiednia, kantorzy z synagog, mnisi z klasztorów, zadymione jazz-cluby Nowego Jorku i chaty z błota

z Burkina Faso wypełnione dudnieniem bębnów. Wszystko to jedno i to samo. Kimkolwiek jesteś, pamiętaj, że to wszystko jedno i to samo.

Jeden nieostrożny ruch ręką i Giedroyc obala się na podłogę. *Och, monsieur...*

Leży teraz z podwiniętą pod siebie okładką, cały w kurzu i mikrobach Egiptu. Wpatruję się w tego Giedroycia przez chwilę z drabiny. Jest niesłychanie wyraźny, ostry. Przez kilka sekund widzę go swoim ukrytym, wewnętrznym okiem w całej jego prawdziwej naturze, kształcie i istocie. Jest przepiękny, jest kosmiczny, jest nieskończony. Jest Giedroyc.

Świat...

Już wszyscy są na swoich miejscach, obwąchują się, dyskutują, witają się szczęśliwi po miesiącach spędzonych w dusznych kartonach i skrzyniach, szepcą, chichoczą, pomrukują z zadowolenia, ocierają się okładkami, machają skrzydełkami, *hola*, *hola*, *ça va*, *ça va*, strzałeczka, strzałeczka...

Trębacze z płyt już popluwają do swoich trąbek, pianiści wysuwają długie szpony z białych mankietów, Indianie Araukari zawodząc stukają patykiem o patyk, płaczą ze szczęścia wszystkie *oudy* Arabii Felix, Glenn Gould łyka swoje proszki i już zanurza się w „Wariacjach Goldbergowskich", już boli Chopin, już boli Beethoven, wiejskie baby całego świata biorą głęboki oddech i otwierają swoje bezzębne usta. Muzyka, muzyka...

Nie ma tutaj miejsca na wojnę, biblioteka w tropikach ma się dobrze. Zardzewiały klucz między al-Ghazalim i Majmonidesem. Szema, mówi jeden do drugiego, uchylając turbana, szema...

Czynię to miasto.

Dobrze się czyta w 933 numerze „Przekroju" z 1963 roku o samolocie zniszczonym grabiami i Pana Filutka z pieskiem. Zaraz potem trochę „Panoramy Śląskiej" i długa, dogłębna, pełna zamyślenia lektura programu telewizyjnego z „Ekspresu Wieczornego" z czwartku ósmego czerwca 1978:

9.00 – Studio Sport – sprawozdanie z meczu Brazylia – Hiszpania (program dla drugiej zmiany
15.00 – Melodie – „Rapsodia węgierska"
15.30 – „Bilet do kina" (kolor)
16.00 – Dziennik
16.10 – Obiektyw
16.30 – Dla młodych widzów „Ekran z Bratkiem"
17.55 – „Patrol"
18.20 – Sonda – Ryby (kolor)
18.50 – Radzimy rolnikom
19.00 – Dobranocka dla najmłodszych
19.10 – Siódemka
19.30 – Wieczór z dziennikiem (kolor)
20.30 – kino letnie – Telefon 110 – „Zaginął Peter Schrank", film kryminalny produkcji tv NRD(kolor)
21.35 – Festiwal Piosenki Radzieckiej – Koncert Przyjaźni (kolor)
22.35 – Dziennik (kolor)
22.50 – Festiwal Piosenki Radzieckiej – Koncert Przyjaźni cz. II (kolor)
23.50 – Pegaz

No, czyż nie piękne? Ekran z Bratkiem, Radzimy rolnikom, Telefon 110, kolor... po prostu ekstaza...

Do wznoszonej nowej biblioteki aleksandryjskiej ciepły chleb i talerz z *baba ghanoug* od Abu Rabiego. Kiedy obcuję ze słowem pisanym, muszę jeść. Moje książki pokryte są starym tłuszczem. Im książka bardziej ulubiona, tym bardziej zatłuszczona. Między stronnicami niektórych z nich są majonezy i jajecznice z siedemdziesiątych lat. Attokruszynki chleba z SAM-u z ulicy Ludnej. Ślady dalekiego życia, drobinki wspomnień, ekstaza dzieciństwa, blask. Teraz dojdą do nich attokruszynki od Abu Rabiego i tłuste zacieki po bakłażanach z *tahiną*.

Kosmos.

Olej słonecznikowy, smalec wyborowy i majonez z Winiar kładą piękną fakturę myśli i przeżyć na kartkach starych, poprutych, wymiętych książek; uwielbiam dotykać palcami tych zatłuszczonych stronnic. To obrazy mistrzów.

Włączam greckie „Ody" Ireny Papas, a potem „Piątą" Beethovena z Danielem Barenboimem za kierownicą. Jest patetycznie i wzniośle. Ustawiam książki na półkach, pot ścieka mi wąską strużką po plecach. Zza okiennicy śpiew muezina z meczetu mrówek. Książki rozprostowują stare kości. Teraz z głośników chasyd Daniel Zamir z Izraela – rebe na saksofonie, płyta „Amen". To jest cudowne. Sam rozumiesz.

Rozumiesz?

Czy moje mieszkanie będzie kiedyś starym egipskim mieszkaniem? Starym, zabałaganionym trochę egipskim mieszkaniem z widocznymi wszędzie lewantyńskimi ornamentami, nasycone Grecją, Francją, Stambułem i starą Polską? Czy będzie takim mieszkaniem, w którym przed laty siedział Mohammed Abdel Wahab, oparty na lasce, wspominając swoje dziecinne dni, ze wzrokiem utkwionym w okno, na którego parapecie siedziały dwa wróble?

Część książek nie zmieściła się na półkach. Ułożyłem z nich wieżę z czterech książkowych słupów obok fotela stylizowanego na ludwika któregoś tam, który niedawno okazyjnie kupiłem w pobliskim sklepie meblowym. Wielki, przesadnie stylizowany na antyk, trochę porysowany i poobijany – dlatego tańszy – z drewnianymi oparciami pokrytymi złotolem, wygodny, rozleniwiający. Na książkowej wieży postawiłem szklankę z herbatą i zapadłem się w fotelu. Rozpaliłem sziszę. Książki szeptały, wdychając dym. Królowałem...

Kubek z herbatą stał na „Polityce" Arystotelesa. Obok leżały „Leksykon kotów", „DDR Design" i książka o Chopinie André Gide'a. Daniel Zamir już skończył łkać jazzowo o spalonych sztetłach. Jak leży Chopin, to niech gra też Chopin. Czemu nie, nieprawdaż? Wsunąłem do komputera płytę z nokturnami w wykonaniu chińskiego pianisty 李希熙, którą spiratowałem z internetu, i prawie natychmiast zapadłem w przesycony gorącem tropiku półsen, bez którego nie wyobrażam

sobie prawidłowej percepcji Chopinowskich nokturnów i paru innych rytmów. Jedzenie do czytania, przysypianie do słuchania. Szisza spalała się sama, powoli, cicho...

Ostatkiem sił w kącie pokoju zauważyłem czarnego Bechsteina ze srebrną strzałką nad klawiaturą i małe krzesełko...

Smukły jak topola, poważny, milczący blady młodzian o skośnych oczętach w czarnym surducie wysunął się zza drewnianej okiennicy balkonu, ukłonił się nieznacznie w moją stronę i zasiadł za klawiaturą fortepianu. Kilkakrotnie zakaszlał, obiema dłońmi obejmując wątłą klatkę piersiową. Położył długie palce na klawiaturze... Już? Już.

Ta muzyka to kosmos. Pierwszych kilka lekkich jak woalki panien taktów, jak budząca się ze snu niewinna dziewczynka, jak wstający poranek letniego dnia, gdzieś daleko na północy, jak pierwszy uśmiech dziecka. Mam wrażenie, że za oknem mojego egipskiego mieszkania majaczą kształty jakichś smutnych pochylonych drzew. A potem nagła zmiana ornamentyki... senny przebieg nokturnu zamienia się gwałtownie w natchnioną, liryczną, przepiękną melodię, pełną niewysłowionego liryzmu, miłości, szczęścia wprost nieziemskiego. Jest dramatycznie i gwałtownie, ale gwałtownością najdelikatniejszą z delikatnych. Słyszę swój przyspieszony oddech. 李希熙 delikatnie kaszle. Odrzuca do tyłu pukle przepięknie ufryzowanych włosów i spada alabastrowymi, smukłymi chińskimi palcami na klawisze, wyczarowując niezwykłą, cudowną, mistyczną muzyczną ornamentykę, jak gdyby budował nieziemski jakiś pałac, chiński pałac z Zakazanego Miasta, ale nie... to nie pałac... nie, nie... to obielana wapnem chata... tak, to pochylająca się ku ziemi pełnej modrego kwiecia i swawolących motylków chałupa z siedzącą przed nią nieruchomą, grzejącą się leniwie na przyzbie staruszką w chustce w maki, a może w kaczeńce... pomiędzy biegnikami i cudownymi trylami wyczarowywanymi przez palce eterycznego artysty widać, słychać i czuć radosny tętent kopyt końskich pędzących przez lasy i niwy dalekiej płaskiej krainy, słychać turkot kół dyliżansu, widać wiejskie ogrody pełne jabłoni, śliw i grusz, słychać odgłosy dobiegające z chłopskich karczm, ujadanie psów, porykiwanie bydełka, czuć, ach, czuć gorąc letniego

wieczora i oszałamiający wręcz aromat jakiejś dalekiej wsi, jakiejś... ach... ach.... i znowu wraca nagle ta mistyczna, kosmiczna delikatność początku, liryka i radość narodzin świata, melodia staje się nieznośnie przejmująca, kolejne fragmenty nokturnu wręcz przypominają chorał gregoriański, tak są uduchowione, tak przepełnione miłością i pasją, takie piękne... to lament, to lament... to lament utraconego bezpowrotnie dzieciństwa, lament utraconej niewinności, utraconej miłości... 李希熙 kaszle. *Brillant*, ach, *brillant*!

I znowu gra. I znowu słyszę szum falującego zboża, jakbym się wpatrywał w rozległe równiny linią ciemnych lasów zamknięte na horyzoncie, w szarozielone ugory, w szare przydrożne wierzby, złote ścierniska przetykane w jesieni srebrną nicią babiego lata. Ale... ale, co to? Coś słyszę! Słyszę i widzę... widzę i słyszę, a przecież półśpię w al-Iskanderiji na pozłacanym fotelu... barwne kontusze, pasy złotem przetykane, posępne czamary, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń. Już nie mogę, nie mogę, nie mogę... muszę... muszę... się obudzić... muszę zaciągnąć się jabłkową melasą... muszę wstać z pozłacanego fotela...

李希熙 to rozumie, unosi się z krzesełka, kiwa lekko głową w moją stronę i tanecznym, zwiewnym krokiem niespiesznie znika za drzwiami balkonu. *Chop suey*! *Chop suey*! Mój ukochany *chop suey*...

Już. Już po wszystkim. Herbata wystygła nieco, otwieram oczy i pociągam ustnik sziszy. Fajka jakby się budziła powoli, pokój znów wypełnia się dymem, dymem... Za oknem, jak powracająca morska fala, narasta śpiew muezina z meczetu mrówek. Jeszcze tylko zaniepokojeni Pigmeje z minutami w ustach... chyłkiem pod ścianami... rozglądam się, zaspany, za papierowymi skrzydłami...

Biblioteka w tropikach ma się dobrze.

*

Tej nocy, przesyconej zapachem glonów, słonego wiatru, egipskich i indyjskich rozgłośni radiowych, skończyłem czytać „Auto da fé" Eliasa Canettiego. Cały drżałem. Cudownie bolesna książka. Przytłaczający jak ciężka astma, jak duszny sen w gorączce ogrom niemocy i cierpienia człowieka oddanego myśli i czystej intelektualnej idei. Jego tragiczne zmaganie z wszechmocnym, wszędobylskim, ponadnarodowym motłochem, z jego chamstwem, z jego prostackim pieniądzem, z jego brutalnością, na którą nie ma żadnej rady oprócz *auto da fé*, czyli śmierci. Alegoria faszyzmu rodzącego się w zadymionych piwiarniach, w czerwonych, opasłych gębach majstrów, w służbówkach cieci, w wykrochmalonych spódnicach spasionych pomocy domowych, w marzeniach zakompleksionych subiektów, przerażająca alegoria nazistowskiej bestii rodzącej się powoli na wiedeńskich hipermieszczańskich, olśniewająco czystych germańskich ulicach i placach.

Potem dla równowagi psychicznej obejrzałem „Poszukiwanego, poszukiwaną" Barei. Jeden z moich absolutnych niezbędników i równoważników. Warszawa 1972 roku. Lato, słoneczne lato, idę z mamą do ciotki na obiad, spokój, spokój...

Warszawa jest smutna bez ciebie...

Jest tam taki fragment, w którym Wojciech Pokora jako pani Marysia dokonuje zakupów na warszawskim bazarze na Polnej. Takim, gdzie można było kiedyś dostać oliwki, ananasa i banany. Wszystkie przekupki i handlarze pokrzykują za Pokorą: „Pani Marysiu, pani Marysiu...", zachwalając zawartość swoich budek i straganów.

Ta scena, razem z jemeńską kawą, wprowadziła mnie w stan uniesienia, chociaż widziałem ten film już kilkadziesiąt razy. Albowiem zdałem sobie sprawę, że mam dokładnie to samo tutaj. Zazwyczaj chodzę z koszykiem na pobliski *suq*, gdzie wszyscy mnie znają, ale stosunkowo często udaję się na *suqi* w innych dzielnicach, gdzie też mnie znają, nie wiem skąd i jak.

Nie, to nie dlatego, że jestem cudzoziemcem – tak na początku myślałem. Po kilku miesiącach życia w Aleksandrii zorientowałem się, że relacje międzyludzkie tutaj są podobne do relacji między mrówkami w mrowisku. Takie szybkie dotykanie siebie czułkami i już następna mrówka, i następna, i następna. Cały czas kontakt, samotność jest tutaj chorobą albo pisarstwem.

Wszystko z uśmiechem, obejmowaniem, całowaniem i wiecznym załatwianiem interesów. Stara dobra semicka tradycja.

W samo południe, po odespaniu Canettiego, Barei i śniadania Hasana, niespiesznym krokiem przeszedłem się najpierw do Silsili, aby sprawdzić, czy ona nadal stoi na plaży, po czym upewniwszy się, że stoi, podlałem krzaczek z pomidorami pod grecką willą i udałem się na *suq* za torami *taramy*. Wracając z plaży, na mojej ulicy spotkałem Hagiego Hossama z wózkiem pełnym dzisiaj wielkich żółtych melonów. Na mój widok rozpromienił się i wybuchnął pierwszymi taktami *Habbaitek bissayf* – Fairouz. Kocham cię latem, kocham cię zimą... Kupiłem u niego dwie płyty Fairouz, trzy kilo melonów i zostawiłem to wszystko u *bawwaba*.

Bawwab i *bawwabowa* chodzą dzisiaj elegancko na bosaka. Jest duszno, wilgotno i słono, czarne okulary swędzą mnie za uszami, będzie gorący dzień.

Wszyscy mnie znają na *suqu*, bo – jak mówię – tu wszyscy się znają. Idę, pozdrawiam i jestem pozdrawiany. Może to Cię irytuje i nudzi już, ale ja jeszcze raz to powtarzam: idę, pozdrawiam i jestem pozdrawiany. I to jest piękne. I to jest ciągle dywan poezji dla mnie, chociaż tutaj to zwykła proza.

Na bazarze do zakupów zazwyczaj dostaję coś w prezencie, jakiś bonus: pomarańczowego, słodkiego jak miód pomidora, czarnofioletowego bakłażana czy pokrytą ziemią skrofuliczną cukinię wielkości palca wskazującego. Czasami kilka krewetek, małych błyszczących rybek na zupę albo kondoma z kalmara. Wszystko ze stekiem pozdrowień, uśmiechów i błogosławieństw. Chadzam na *suq* z dwoma plecakami, które wypełniam owocami ziemi i morza Egiptu. Już od torów wszyscy

za mną wołają: „Abu Hasan, Abu Hasan…" – wymachując pękami kolendry, wiązkami czosnku i martwymi krabami. Pani Marysiu, pani Marysiu…

Za innymi klientami też tak wołają. Wszyscy wołają za wszystkimi. I dotykają się czółkami.

Mała dziewczynka, która pomaga matce w warzywniaku, podbiega do mnie i wręcza mi nieśmiało dwa przywiędłe kwiatki cukinii. Kocham to miasto, strasznie kocham. Wyciągam komórkę i robię zdjęcia jego cieniom, odbiciom, zarysom. Codziennie.

Handlarze i handlarki krzyczą za mną radośnie, tak samo, jak na Polnej za Pokorą w damskiej peruce – to mnie napawa radością, wypełnia aktami strzelistymi, przybliża do Tamtego Miasta, którego już prawie nie ma.

Stąpam ostrożnie po dziurawym placu *suqu*, omijając kałuże wypełnione pienistym szlamem, organicznymi resztkami i różnorodnymi gnijącymi śmieciami. Potworny upał wydusza z niesprzedanego rybiego i zwierzęcego mięsa najokropniejsze smrody. Po mięso czy owoce morza trzeba tu być w lecie wcześnie rano. Już wczesnym popołudniem to, co się nie sprzedało, oddaje się kotom, które na *suqu* stanowią zwartą, silną i bezwzględną wobec obcych kotów grupę wojowników – absolutną kocią arystokrację. Spasione i bezczelne, przesuwają się krętymi ścieżkami bazaru, dźwigając w pyskach krwawe resztki.

Warzywa i owoce można kupować przez cały dzień. One i tak są skąpane tutaj od urodzenia w wiecznym słońcu. Płody ziemi wyglądają inaczej niż w Europie. Przede wszystkim zazwyczaj są małe, bezkształtne i nie świecą woskiem. Brudne od ziemi i pyłu, wszystkie dopiero co zerwane i przywiezione z podaleksandryjskich wsi i z delty Nilu. Egipcjanie obojga płci wprost znakomicie znają się na jedzeniu. Z doktorem Abdurahmanem oprócz dyskusji o psychiatrii R. D. Lainga i „ukrytych furtkach" w Koranie prowadzę Pod Lampą niekończące się dysputy o należytej woni baraniej łopatki, gumowatości macek ośmiornicy, zamglonych oczach nieświeżych barwen, tajemnym pęcherzu tuńczyka, prawidłowej strukturze bułki tartej czy o dobrym naprężeniu skóry w pomidorze. Z wieloma ludźmi tutaj przeprowadzam zresztą podobne

rozmowy przy okazji zakupów czy odwiedzin w knajpie. Egipcjanie to specjaliści od pożerania i kupowania wszelkich produktów zdatnych do zjedzenia. Szczególnie kobiety; widok szacujących towar na ladzie kobiet jest po prostu niezapomniany. Sprzedawcy kurczą się w sobie, skupiają, po czym wystrzeliwują potokiem słów, całym swoim możliwym kunsztem przekonywania, że nie jest tak, jak pani mówi, tylko właśnie zupełnie inaczej, proszę szanownej pani.

Piramidy egipskie z pomarańczy i grejpfrutów, przetykane złocistymi morelami i brzoskwiniami, tak soczystymi, że po ugryzieniu gęsty, lepki sok wystrzeliwuje wysoko w powietrze jak masło z dewolaja. Młody chłopak wsypuje mi do plecaka brzoskwinie i jakieś żółte kulki, których nazwy nawet nie znam. Stosy żółtego, pomarańczowego i zielonego mango, odurzającego aromatem i tak słodkiego, że nie można go w tym upale wziąć do ręki, bo palce zlepiają się od razu gęstą, lepką żywicą. Jak zielone szyszki w dzieciństwie z gorącego Kampinosu. Gdzieś to wszystko niedaleko od siebie widzę... Z mango robię nocami sok w takt saudyjskiego i indyjskiego radia, w takt Dwójki. Wrzucam do niego kostki lodu.

Osioł objuczony bananami przedziera się przez ludzką ciżbę. Banany małe jak palce i słodkie jak miód z Kampinosu. Kupuję kiść i szybko jem, jeden za drugim, jak chipsy, jak popcorn, jak malutkie słodkie banany. Rzucam skórki do gnijącego śmieciobłotnego szlamu, myśląc o Bogu, nieskończoności i Alejo Carpentierze. Nie mogę żyć bez Alejo Carpentiera, jak bez stu innych rzeczy. *Señor* Alejo Carpentier ujęty w dłonie natychmiast wywołuje u mnie nieposkromioną chęć budowania strzelistej katedry, słuchania Vivaldiego w wykonaniu Orquesta Sinfónica Nacional de Cuba oraz wypicia kilku filiżanek czekolady w towarzystwie maślanych biszkoptów. Ja tyję od Carpentiera i jestem z tego niezmiernie zadowolony. Mam na brzuchu zwały literatury kubańskiej. Żółte skórki bananów pływają w czarnych kałużach niczym hiszpańskie galeony na Karaibach. Na środku kałuży wystający ponad taflę szlamu płaski kamień, a na nim odcięta zakrwawiona kurza łapka. Królestwo z tego świata. *Ach, Alejo, tu eres el mejor...*

Nubijska muzyka, która gdzieś nieopodal wibruje bębnami, oparte o blaszaną ścianę budy z sokami długie, chude tyczki, wyglądające trochę

jak bambusy, i wiszące obok dwie wielkie maczety przywodzą mi do głowy szybkie strzeliste akty o mistycznych brazylijskich i gwatemalskich książkach: „Macunaimie" i „Niejakiej Mulatce", przywołują moją młodzieńczą wizję opery w Manaus. Białej, monumentalnej, spowitej lianami, groteskowej opery wypełnionej barokowymi dźwiękami violi d'amore, tęsknym łkaniem stradivariusów o strunach z jelit i dysonansowymi wrzaskami jaskrawych ar.

Michał Kleofas Ogiński i jego kadryle pośród anakond i krokodyli. Upudrowani panowie w pludrach, pończochach i przepoconych żabotach na skraju parującej dżungli wymieniają u wyniosłych, milczących Indian bezcenne viole, flamandzkie lutnie i weneckie chitarrony na małe, perfekcyjnie spreparowane ludzkie główki. Okej, *halas, halas*... już zaczynam przesadnie barokować – widmo Alejo Carpentiera krąży po *suqu*. Muszę się uspokoić, muszę schłodzić się *asabem*. Po prostu jak byłem mały, to bardzo chciałem motorową pirogą do Manaus. Kajakiem przez Afrykę. Biwak na Borneo. Ryby śpiewają w Ukajali. Ach, podróż do źródeł czasu... *Ach, Alejo, tu eres el mejor...*

Ale to nie bambusy, to egipska trzcina cukrowa. Tuż obok, pod daszkiem budy, wielka, hucząca maszyna, do której sprzedawca wsuwa powoli trzcinowe tyczki i wyciska z nich do wysokich szklanek właśnie *asab* – zielony, gęsty, pobudzający sok o dziwnym, intensywnym posmaku, który nasyca organizm ogromną ilością kalorii i stawia na nogi lepiej niż podwójna jemeńska kawa. Niektórzy Egipcjanie wolą na śniadanie *asab* od *fulu*. Po jego wypiciu długo nie odczuwa się głodu i pragnienia. Zawsze jak tutaj jestem, to zamawiam jedną szklankę i oparty o chybotliwy kontuarek stoiska z sokami obserwuję bazarowe życie, wymieniając uprzejmości z brodatym wyciskaczem trzciny. Od dzieciństwa uwielbiam bazar i jego sprawy. Gorące pyzy i słodkie mango. Mam to od Juliana Józefa Różyckiego.

Nubijska, wciągająca muzyka oplata mnie i hipnotyzuje razem z upałem i ścianą intensywnych zapachów suqu. Muzyka pobudzająca jak gęsty, zielony sok z cukrowej trzciny. Zakrwawiona kurza łapka, viola d'amore, tropik, harfa i cień.

Stoję i patrzę. Staram się nie myśleć. Myśli gdzieś obok; krążą jak muchy nad lepkimi owocami. Czy któraś z nich to mucha z meczetu z Sidi Bishr?

Gombrowicz napisał kiedyś:

*Swobodnie błądząca myśl próżniaka jest tym, co najbardziej rozwija inteligencję.**

Jeszcze dwa kilo czerwonych patatów, dwa kilo małych bakłażanów na *baba ghanoug*, kilo mandarynek, bukiet bazylii i pół bukietu kolendry. Moje plecaki prawie wypełnione. Idę dalej. Najpierw idzie głowa, a po głowie słowa. Potem ja cały już. Zmierzam chyłkiem w kierunku żołnierzyka za cegłą. Jem małe banany, że niby nic, że po prostu jestem klientem bazaru, normalnym człowiekiem. Fruuu! – biało-żółta skórka leci na fajanchową górę.

Na końcu *suqu*, jeszcze za sprzedawcami kur i indyków, już za samotnymi, przysypiającymi na krawężnikach staruszkami, ściskającymi w brązowych, szkieletowatych dłoniach wiązkę czosnku albo przywiędłą miętę, w malutkim zaułku o osmalonych ścianach, pełnym śmieci, żelastwa i zapomnienia, w malutkiej jamce za ruszającą się cegłą, jest mój mały żołnierzyk z Polski, w kolorze jasnej khaki. Z dzieciństwa. Wsadziłem go tam kilka miesięcy temu.

To Japończyk z II Wojny Światowej. Oficer z wzniesioną wysoko szablą, z brytyjskiej kolekcji Airfixu. Na wąskiej plastikowej twarzyczce, pod czapką, delikatnie zarysowane skośne oczy. Plastikowe oczy, które niejedno widziały.

To mój jedyny zachowany żołnierzyk z dzieciństwa, oryginał – absolutny skarb. Weteran kilkunastu wojen i niezliczonych walk partyzanckich na regałach, dywanach i balkonowych doniczkach mojego mieszkania na warszawskim Powiślu.

Od jakichś trzydziestu lat przechowuję go w różowym, stylizowanym na muszlę włoskim pudełeczku razem z zeschniętym kawałkiem jabłka

* Wspomnienia polskie", Kraków 2002, s. 38.

z kolonii letnich ze wsi Młynarze koło Ostrołęki z 1978 roku. Relikwia święta na wiór wysuszona. To pudełeczko jest jeszcze starsze. Kiedy byłem malutki, moja mama kolekcjonowała w nim, na podściółce z waty, moje mleczne zęby. Zęby niestety gdzieś przepadły, chociaż czcigodni Plotyn i al-Ghazali z pewnością utrzymywaliby, że nie, że zęby są. Jeden kosmos, jedne zęby. Przychylam się do ich zdania: moje mleczne zęby cały czas gdzieś są we wszechświecie.

Często otwieram różowe pudełeczko i długo w milczeniu wpatruję się w malutki, wysuszony, czarny zuchelek jabłka sprzed trzydziestu jeden lat. Z moich ostatnich kolonii, z ostatnich dni beztroskiego życia. Pamiętam dobrze jabłonkę, z której zerwałem to małe, zielone kiedyś jabłuszko. Rosła za bramką, na skraju szkolnego boiska. Byłem w tej wiejskiej szkole dwa lata temu, wzięli mnie chyba za Żyda spadkobiercę, co tu węszy za przedwojenną gospodą. Byli trochę nieufni, chodzili za mną cały czas – woźny i jakiś nauczyciel, chyba od wuefu, wąsaty, w kreszowym dresie. Wyglądał tak, jakby chciał mnie strzelić z dyńki, ale koniec końców nic złego mi nie zrobił. Powiedziałem im, że byłem tutaj kiedyś na koloniach i poznałem tu swoją wielką miłość. Wszystko zgodnie z prawdą zresztą. To ich wyraźnie uspokoiło. Jabłoń cały czas tam rośnie. Jest duża, obsypana wielkimi, soczystymi, czerwonymi jabłkami. Domyślasz się, że znowu zerwałem jedno, prawda...? Trzymam je w pudełku po płytach kompaktowych w mojej bibliotece w Warszawie. Za rzędem książek. Dokładnie za czterema tomami gierkowskich encyklopedii i profesorem Szczepanem Pieniążkiem – „Owoce krain dalekich". Jest lekko nadgryzione. Jak się zupełnie zasuszy, to przywiozę je do al-Iskanderiji i pójdzie do różowego pudełeczka po zębach mlecznych, do swojego starszego kolegi. Widzisz, jak to wszystko się samo pięknie ulepia...

Nie wiem, kim jesteś i w co wierzysz, ale mam nadzieję, że jeśli napiszę o tym wysuszonym jabłuszku „owoc żywota", to się nie obrazisz. Patrzę w ciszy na owoc, przywołując słowa Edmonda Jabesa:

Cisza towarzyszy tajemnicy. Cisza jest między rzeczą a rzeczą; to odległość człowieka od człowieka i brzegu od brzegu. Pod rozwiniętymi skrzydłami ciszy nieodgadnione światy rozciągają swoją samotność. (4/141)

Tak, tak, patrzę na stare jabłko swoim wewnętrznym i zewnętrznym okiem. Jak światła okrętów na nocnym morzu. Jak muzyka Glenna Goulda. Jak kryształowy nóż René Guénona…

Żołnierzyk… Tak, to oficer, a dokładnie major. Oczywiście, że major Yamamoto, jakżeby inaczej? Przecież to Japończyk. Że major, to łatwo poznać, albowiem podstawka żołnierzyka trzy ze swoich czterech rogów ma lekko nadgryzione. Tak właśnie nadawałem nominacje oficerskie swoim zasłużonym w walce żołnierzom – przez uroczyste nadgryzienie podstawki. Jedno nadgryzienie porucznik, dwa kapitan, trzy major, cztery pułkownik. Generał dostawał dodatkowo krechę żyletką na zewnętrznej stronie podstawki.

Kilka miesięcy temu, po dokładnie trzydziestu jeden latach emerytalnego spoczynku, postanowiłem oddelegować majora Yamamoto z powrotem do służby czynnej.

Podjąłem decyzję o umieszczeniu japońskiego oficera gdzieś na wysuniętym przyczółku w mieście. Bezpiecznym i dyskretnym. Postanowiłem oddelegować go do służby w terenie na jakiś, bliżej nieokreślony, czas. Nie byłem pewien, na jak długo, ale to nieważne, w razie czego zawsze mogę przecież odwołać majora Yamamoto z zajmowanego stanowiska i przenieść go z powrotem do różowego pudełka po zębach mlecznych. Tak, mimo iż przyszło mi to z wielkim trudem, postanowiłem ukryć go w mieście, aby po nocach o nim myśleć i tęsknić. Na początku chciałem ukryć go w meczecie mrówek – blisko, cisza, spokój… ale w meczecie nie może być żadnych figurek, wybrałem więc bazar za torami.

Znalazłem ten zaułek; wydał mi się bezpieczny i w ogóle nieodwiedzany. Ciemny i zapuszczony, sprzyjający kontemplacji zen; byłem pewien, że spodoba się majorowi Yamamoto. Jedna z cegieł lekko się ruszała. Przy pomocy scyzoryka i klucza wysunąłem ją trochę i umieściłem żołnierzyka w małym wgłębieniu, szepcąc mu cicho różne polecenia i rozkazy. Niech sobie tu spokojnie siedzi w zazenie. Potem wklepałem cegłę i wyszedłem z zaułka z miną Rowana Atkinsona.

Major Yamamoto jest już na misji ponad pół roku. Z regularnie przysyłanych do moich snów zwięzłych raportów wynika, że praktykuje Sutrę Serca oraz Sutrę Diamentową, często wspominając wielką bitwę na Regale Matki w 1975.

Za każdym razem, jak jestem na *suqu*, to go odwiedzam. Dla pewności patrzę chwilę przez ramię do tyłu, czy mnie nikt nie śledzi, potem szybkimi, sprawnymi ruchami wyłuskuję cegłę z muru, podaję palec majorowi, salutuję, po czym wsuwam cegłę z powrotem. *Sayonara*.

Nie, nie boję się, że ktoś ukradnie majora Yamamoto. Nikt tu nie przychodzi, nikt nie odsuwa starej cegły. Nikogo ten śmierdzący, brudny kąt nie obchodzi, tylko mnie. No, koan po prostu.

Jak byłem małym chłopcem, to bardzo często wyobrażałem sobie, że źli ludzie chcą mi zrobić krzywdę i muszę się przed nimi jakoś dobrze ukryć. Czasami były to realne postacie, na przykład gitowcy z podwórka albo – przede wszystkim – głupie nauczycielki ze szkoły, a czasami po prostu różne czarne zwidy z moich ciężkich snów. Wyobrażałem sobie wtedy, że zamieniam się w małego ludzika i równie malutkim samolocikiem uciekam przed nimi do lasu w Kampinosie albo jeszcze lepiej do amazońskiej dżungli. Fiedlera albo Szklarskiego. Tam bezpieczny, spokojny i rozluźniony zamieszkiwałem nad szeroką, mulistą, pełną krokodyli rzeką w niedużej, przytulnej dziupli w wielkim drzewie massaranduba albo w drzewie chlebowym. Oczywiście zabierałem w tropiki także moją dziecięcą bibliotekę. Czytałem potem w dziupli, w błogim spokoju, książki o wielkości pół milimetra. Ary furkotały mi nad głową. Nauczycielki mogły mnie wtedy pocałować w dupę.

Kiedy patrzę na majora Yamamoto w jego jamce za cegłą, zawsze myślę przez chwilę o swoich niektórych nauczycielkach ze szkół. Nienawidzę ich szczerze do dzisiaj. Jedno zdjęcie komórką, panie majorze, jedno zdjęcie...

Jeszcze z kilo słodkich pomidorów na sos, kilka czerwonych cebul i łycha curry z wora.

Już, już jutro *youm il-guma'*, pierwszy dzień ramadanu i koncert Sheikha Mohameda al-Helbawy'ego i jego przyjaciół z Ferqat al Inshad al sufi. Sheikh al-Helbawy ma oczy dziecka zapatrzonego w niebo na lecące ptaki. Czyż tak?

Koncert barokowy.

*

Noc poświęciłem na „Wyznania" świętego Augustyna i „Grubego" Aleksandra Minkowskiego. To była ostatnia noc przed pierwszym dniem postu. Zewsząd dochodziła mnie recytacja koraniczna – z meczetów, mieszkań, sklepików, przejeżdżających samochodów; nikt nie spał, wszyscy czekali na 3.56, na pierwszy azan rozpoczynający post. W tym roku pierwszy dzień ramadanu wypadał w piątek – *youm il-guma'*, czyli dzień wolny od pracy. Ludzie mogli więc przespać część prawie piętnastogodzinnego dnia bez jedzenia i picia. Zresztą tak teraz będzie przez cały miesiąc. Wszystko zaczyna się o zmierzchu i trwa do brzasku. Cała ludzka aktywność. Pozostały czas to sen, przygotowywanie jedzenia i modlitwy w meczetach. Lubię ten czas. Lubię robić zakupy w sklepie o drugiej w nocy, spacerować pełnym ludzi nadmorskim bulwarem do samego świtu, lubię to przestawienie wszystkiego, całego porządku i zegarów. W zeszłym roku, pamiętam, facet z serwisu od pralki przyszedł do mnie w ramadan punktualnie o północy. Jak duch. Ta zamiana dnia na noc i odwrotnie powoduje u mnie jakieś dziwne odrealnienie i niezwykłą ostrość widzenia dookolnej rzeczywistości. Głód i pragnienie wyostrzają zmysły. Głód i pragnienie pozwalają na nowo odczytać świętego Augustyna, „Enneady" Plotyna i wersety Koranu. W jakimś nowym, ostrzejszym świetle, w pulsującej poświacie myśli, z oplatającymi umysł kojącymi dźwiękami dalekiej, dziwnej muzyki... w blasku.

Ale to nie święty Augustyn mnie najbardziej ucieszył tej pierwszej ramadanowej nocy. Nie, nie on, mimo iż on także jest moim niezbędnikiem, chociaż już z tych lżejszych. To „Gruby" Aleksandra Minkowskiego uradował mnie dzisiaj niezmiernie. Maciej Łazanek – główny bohater tej pięknej książki, nieszczęsny otyły chłopiec, prześladowany przez szkolnych kolegów. Strasznie lubię tę książkę z niezapomnianej serii młodzieżowej z siedemdziesiątych lat z charakterystycznymi okładkami o lekko wyblakłych kolorach. „Grubego" czytam od pierwszej klasy podstawówki, od jego początków. Nie zapomnę nigdy tego serialu telewizyjnego i tytułowej piosenki, w której nie było słów, tylko śpiewana wysokimi dziecięcymi głosami wokaliza la-la-la-la-la...

No, ale nie zaglądałem do „Grubego" już chyba z kilka lat; zaniedbałem się strasznie.

Dzisiaj, odkładając Augustyńskie „Wyznania", sięgnąłem po niego dla równowagi psychicznej, dla wyrównania metafizycznych napięć i skurczów, które wyzwolił we mnie błogosławiony Aureliusz Augustyn z Hippony. Otworzyłem postrzępioną, obtłuszczoną okładkę i z miejsca, na pierwszej stronie, otrzymałem siarczysty policzek od ukrytej tam wyblakłej pocztówki z napisem *Starachowice*.

Moja kartka z kolonii! Ze Starachowic, z 1977 roku! Spędziłem turnus kolonijny w Starachowicach, w zadymionym mieście pełnym git-ludzi i szarych blokasów. Trzydzieści dwa lata temu.

Tak, ta kartka była w moim domu, ostatni raz widziałem ją chyba ze dwadzieścia lat temu w wersalce matki. Nie czytałem jej wtedy, po prostu wiedziałem, że leży w brzuchu wersalki razem ze starymi „Przekrojami", „Zwierciadłami" i „Burdami".

Książka świeci tajemniczym blaskiem. Aleksander Minkowski, „Gruby". Nasza Księgarnia 1975. Wydanie trzecie. 50 000 + 277 egzemplarzy. Cena 14 złotych, czyli dycha z Kopernikiem, dwuzłotowa aluminiowa moneta z wiązką kłosów i dwie równie aluminiowe jedynki z kłosem pojedynczym. Wyciągnąłem delikatnie pocztówkę z „Grubego", niczym profesor Otto Lidenbrock stary islandzki manuskrypt w „Podróży do wnętrza ziemi", obejrzałem z nabożnością godną badacza hieroglifów, po czym w uniesieniu zacząłem czytać tekst skreślony moją ręką ponad trzydzieści lat temu na skrzypiącym kolonijnym łóżku w szkolnym budynku w zadymionych Starachowicach.

Starachowice, 12 VII 1977

Kochani rodzice,

Do Starachowic przyjechaliśmy bez przeszkód, miasto jest zadymione, ale my mieszkamy trochę za miastem (ok. 2 km)...

Postanowiłem odgrzać sobie kotlety mielone i kartofle z obiadu i zrobić do tego mizerię. *Qari* z meczetu mrówek recytował dzisiaj wersety

jakby nieruchomo wpatrzony w jeden punkt. Słyszałem to w jego głosie. Widziałem jego stare oczy swoim wewnętrznym okiem. Zabrałem pocztówkę do kuchni. Smażąc kotlety, zastanawiałem się nad tym, czy dodać soku z limonki do ogórków, a także czy powinno się nazywać meczet świątynią, czy raczej nie. Od dawna się nad tym zastanawiam. Używam w pisaniu tego określenia, ale nigdy go nie mówię słowami. Ale meczet to nie jest chyba świątynia. *Templum*... skąd ta nazwa? To nie jest święte miejsce. To raczej miejsce odpoczynku, schronienia. Schronienia przed deszczem, na przykład.

Potem odwróciłem kotlety na drugą stronę i zacząłem rozważania nad kompozytorami klasycznymi i meczetem. To przez świętego Augustyna, jestem tego pewien. On rozwłócza mózg po łąkach i otwiera drzwi zardzewiałym kluczem. Różne, dziwne drzwi. Małe i duże. No więc...? Chopin w al-Azharze ?

O, Alkan to świątynia. Edward Hagerup Grieg też. Czajkowski Piotr może także. Bo Chopin to już, na ten przykład, bezdyskusyjnie kompletny meczet. Czy zgodzisz się ze mną, że Chopin to meczet? I Rachmaninow, Wolfgang Amadeusz, Ludwik van, Jan Sebastian i Scarlatti Domenico, i Webern, Schönberg, Lutosławski... Meczety, wszystko meczety...

Tak, Domenico Scarlatti też meczet. Chyba nie ma co do tego żadnych wątpliwości, przecież on skrystalizował sonatę. Dokonał zamiany sonaty w kryształ. Alchemik. *Al-kimii*.

Posypałem kotlety curry i powróciłem do manuskryptu ze Starachowic:

... Szkoła na zewnątrz nie jest za piękna, w środku jest ładniej, tylko łóżka są w nie najlepszym stanie...

Pewni kompozytorzy nie są ani meczetami, ani świątyniami, to sufickie *zawije*. Coś jakby klasztory, ale nie klasztory tylko *zawije* właśnie. Britten Benjamin na ten przykład to klasztor. Ale Alban Berg to *zawija*. Antonín Leopold Dvořák to klasztor, ale Glenn Gould to *zawija*. *Zawija zawii*. *Zawija* do kwadratu, ech, co ja mówię, Glenn Gould to *zawija* do entej potęgi. Albowiem to właśnie on zawinął muzykę, jak Möbius wstęgę. Jan Sibelius pojawił się w kuchni, otarł się delikatnie o moją

nogę i poprosił o kawałek kotleta. Jan Sibelius to meczet. Dałem kotu mięso i wyciągnąłem z lodówki wodę.

Moje tłuste od oleju palce oznaczyły starachowicki manuskrypt kilkoma plamami.

... Z Pyzówki jest razem ze mną czterech chłopaków. Jedzenie jest dobre, tylko brakuje noży...

Kropelka wrzącego oleju spadła mi na dłoń. Zanim jeszcze poczułem jej parzenie, w to same miejsce spadło kilka kropel lodowatej wody ze szklanki. Wyrównało się. Z salonu doszły mnie głośne dźwięki sudańskiej muzyki. To Rania i jej biały kot. Znowu tańczy.

...nasz nauczyciel jest bardzo przyjemny;

Tak, to nie pomyłka, po słowie „przyjemny" jest średnik. Długo się temu przyglądałem. To było zadziwiające, jak ja mogłem znać zastosowanie średnika w 1977 roku? To niemożliwe wręcz. Ja byłem ortograficzny tuman. Tak mówiła mi moja pani wychowawczyni z podstawówki.

...w programie są różne dalekie wycieczki i basen. Przyjedźcie do mnie i przywieźcie mi mydelniczkę i koszulkę. Piotrek.

Nie, mydelniczki nie pamiętam, ale koszulkę tak. Pomarańczowy, trochę za duży na mnie T-shirt z Domów Centrum. Z nadrukiem, którego niestety nie zapamiętałem. Może smok albo jakiś chiński znak. Albo potwór straszny z kosmosu. Koszulka kosztowała 20 złotych: moneta z Marcelim Nowotką, ewentualnie przepiękny stalowoszary banknot z obliczem młodej chłopki w chustce. Natomiast nadruk na koszulce wykonywała wielka maszyna stojąca obok stoiska z podkoszulkami. Francuska, pamiętam, dzieciaki dużo o niej mówiły na mieście, wtedy, w lecie 77 roku. Można było sobie wybrać wzór na koszulkę. Gorąca, wtopiona nalepka kosztowała 80 złotych – cztery razy Nowotko lub chłopka w chustce, ewentualnie kombinacje pół na pół, albo nieduży

zielony banknot z generałem Świerczewskim i do tego na przykład jeden Nowotko i jeden Kopernik albo zamiast Kopernika dwóch pięciozłotowych aluminiowych rybaków w wysokich butach. Koszulka i nalepka razem 100 złotych – jeden czerwony Waryński. Ta nalepka nazywała się pacyk. Ścieżki mojego dzieciństwa, których nigdy nie opuszczę, dalekie światła statków na morzu...

Jem kotlety z kartoflami i mizerią. Wpatruję się w kartkę pocztową z kolonii ze Starachowic. Nie ma znaczka, zerwał go strumień czasu. Pod znaczkiem, w małym prostokąciku, dużo literek i cyferek. 10 000 egzemplarzy tej kartki wydrukował Fotoizdat z Bułgarii. *Cena zł 4,50. Starachowice. Widok od strony rzeki Kamiennej. Rynek. Drewniany kościół z 1922 r. wg proj. arch. Jana Borowskiego. Fot. P. Krassowski. Krajowa Agencja Wydawnicza. Wszelkie prawa zastrzeżone.*

Ach, jak dobrze się pisze takie rzeczy! Jak ja chciałbym bez końca, zamiast pisać książki, przepisywać druki, pocztówki, gazety i programy telewizyjne z dzieciństwa. Mógłbym to robić dzień i noc i wydawać potem w formie woluminów, jak encyklopedie albo atlasy. Czytałbyś? Kiedyś przestanę pisać książki, będę palił sziszę, przepisywał pocztówki i instrukcje BHP gdzieś w starym lewantyńskim mieszkaniu w al-Iskanderiji. Będę tworzył starodruki.

Zasiadłem w pokoju z kotletami i manuskryptem starachowickim. Postanowiłem dopasować sobie muzykę do sytuacji, jak to często. Czasami mam wrażenie, że jest nawet odwrotnie: że dopasowuję życie do muzyki. Wydaje mi się, że tak właśnie robił señor Alejo Carpentier. Takie postawienie sprawy powoduje kompletne zanurzenie się w meczecie, świątyni i *zawii* razem wziętych. Duch nie daje spokoju, po prostu cały czas rzępoli. Obok, na biurku, leży zardzewiały klucz z Sidi Bishr.

Starachowice 1977... Wyłączyłem 92.7 Big FM Hyderabad India Radio z oszalałymi lordami sitaru i odwróciłem się w stronę regału z płytami. Jest bardzo wiele różnych możliwości, jak mówiły dziewczyny do wzięcia – Kondratiuka. To musi być coś naprawdę metafizycznego i transcendentalnego, coś absolutnie kontemplacyjnego. O, to będzie dobre: Orkiestra Rozrywkowa Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debicha. Płyta „String Beat". Siedemdziesiąty piąty

rok. Dobry rocznik. Źródlana czystość, nastoletnia energia, metafizyczna harmonia, wyraźnie wyczuwalna nuta czekoladowa i orzechowa, piżmo przepoconego na wuefie podkoszulka. Płyta ściągnięta przeze mnie z milionowego gąszczu płyt na Soulseeku, największej pirackiej biblioteki świata. Muzyka zgrana przez kogoś z analogu. Są trzaski! Ach, jak cudownie: są trzaski! Życie! Życie! Trzaski i zanieczyszczenia dźwięku. A nie głucha, nieznośna cisza kompaktu. Po co czyścić trzaski? To tak jakby z pierogów zdjąć skwarki i cebulę.

Czyje to trzaski? Gdzie teraz są? Może w jakimś gierkowskim bloku na osiedlu w Starachowicach?

Okej, kotlet do ust, pulsująca jak Studio 2 muzyka Henryka Debicha, wzrok wbity w panoramę Starachowic z siedemdziesiątych lat, widok od strony rzeki Kamiennej, funky-Gierek, czuję rytm krwi, za oknem *qari* śpiewa o wiecznej tęsknocie, pierwszy dzień ramadanu, zardzewiały klucz, jedziemy.

Pocztówka jest podzielona na trzy części: na górze prostokąt z rzeką Kamienną, a na dole dwa mniejsze prostokąty, ten po lewej z rynkiem miejskim osłoniętym zielonymi drzewami, ten po prawej to rzeczony już kościół z 1922 roku.

Nie, to nie są prostokąty, to okna.

Od kiedy pamiętam, jedną z moich pasji było wpatrywanie się i rozmyślanie nad ludźmi uchwyconymi na starych zdjęciach i pocztówkach. Gdzie są i kim byli? A może jeszcze żyją? A jeśli tak, to co teraz robią? Dokładnie teraz? Dokąd idą na pocztówce czy zdjęciu, co jedli na śniadanie? Kiedy umarli, gdzie ich groby i czy ich kości już zetlały? Czy ten niewyraźny, czarno-biały, wyraźnie elegancki pan w marynarce z klamerkami na abcugach, stojący przed Ziemiańską w trzydziestych zapewne latach, zachował jeszcze czaszkę i kość ogonową czy już nie? *Mut, mut... Qari* recytuje Koran, wpatrzony nieruchomo w jeden punkt...

Ja wpatruję się w pocztówkę z kolonii. Ona pulsuje światłem. Jak zardzewiały klucz z Sidi Bishr. Jak kawałek żółtego sera na chodniku Pod Lampą. Pocztówka jest niesłychanie wyraźna, ostra. Przez kilka sekund widzę ją swoim ukrytym, wewnętrznym okiem w całej jej prawdziwej naturze, kształcie i istocie. Jest przepiękna, jest kosmiczna, jest

nieskończona, och tak: jest nieskończona. Jest pocztówką z kolonii letnich z 1977 roku, jest pulsującą istotą wszechświata. Ostatni kawałek mielonego kotleta, ostatnia łyżka mizerii, kosmiczne jedzenie, stołówka szkolna, bar mleczny, och, tak... Mrówki, muchy, koty, wirujące koła, zardzewiałe klucze, srebrne strzałki, stare pocztówki, kotlety mielone z mizerią – to jest właśnie moja religia. Din al-Islam. Skupiam się na panoramie rzeki Kamiennej. Na pierwszym planie, na ławce pośród trzcin i wysokich traw, ktoś leży. Nie mogę dostrzec, czy to mężczyzna, czy kobieta. W pierwszym momencie byłem przekonany, że to menel. No, gorący letni dzień, rzeka, zarośla, ławka, sam rozumiesz. Ale potem zacząłem się bacznie przyglądać tej postaci i doszedłem do wniosku, że to chyba kobieta. Wyciągnąłem z szafki lupę i zacząłem wpatrywać się w kartkę. Tak, to kobieta w niebieskim kostiumie kąpielowym, z jedną ręką pod głową, drugą trzyma książkę. Kurde! Aż mną rzuciło do tyłu, co to za książka?! Orkiestra Rozrywkowa Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pędzi jak szalona, pulsuje starym funkiem barów mlecznych i kolonii letnich. Tak, muzyka Henryka Debicha to trochę taki pędzący górskimi drogami, prychający i stękający jelcz. Czerwony z białym dachem. Takie dwa stoją na rynku w Starachowicach. W lewym oknie pocztówki. Obok na ławce siedzi mężczyzna z nogą założoną na nogę. To jest piękne określenie: „mężczyzna z nogą założoną na nogę". Dopiero teraz go zauważyłem. Obok mężczyzny malutka brązowa kulka na smyczy. To piesek! Mały piesek, może ratlerek albo pekińczyk! Gdzie pochowany? Co z niego zostało? Kości zetlałe? A pan z nogą na nodze? Gdzie jest pan z nogą na nodze? Wpatruję się w niego jak zegarmistrz w mechanizm starego zegara. Facet wygląda na młodego, trudno jednoznacznie określić wiek przez lupę. Obiekty na pocztówce przybliżone soczewką lupy rozkładają się na tysiące malutkich, kolorowych plamek. Trzeba się skupić; oko zaczyna powoli łzawić. Tak, to młody człowiek, ma na nogach szeroko rozszerzane spodnie, chyba dżinsy, bo takie niebieskawe. Pewno elpo albo odry, chociaż czemu nie levisy albo przynajmniej loisy za 15 dolców ze starachowickiego Peweksu? Okej, rozszerzane sztany, to nie dziadu, tylko młody chłop. W takim razie może jeszcze żyje, może siada tam czasami na rynku, na tej samej ławce, z nowym, kolejnym

ratlerkiem. Laskę opiera o ławkę, ciężko dyszy. Wcale nie wie, że jest na pocztówce Fotoizdatu razem ze swoim ukochanym Fafikiem i wcale nie wie, że go oglądam przez lupę w Egipcie. A mnie właśnie tylko o to chodzi, tylko o to... Obok, na chodniku, różowawa smukła postać niesie siatkę. Ach, siatka! Ażurowa, nylonowa siatka z zakupami! Przez chwilę doznaję wstrząsu. Mam taką jedną siatkę tutaj. Oryginał, jak aktówka Kablobetonu, pocztówka, zeschłe jabłko i żołnierzyk. Nie noszę jej na co dzień. Szkoda mi jej. Próbuję dostrzec, co ma w siatce kobieta w różowej sukience, ale przez łzy widzę tylko rozlewające się, bezkształtne kolorowe plamy z jedną wyraźną podługowatą białą. To może być mleko ze złotym albo srebrnym kapslem. Henryk Debich wykonuje teraz melodię tytułową z filmu „Shaft". Świeże kwiaty na grobie Edwarda Gierka w jasnym świetle letniego popołudnia – tym jest ta melodia właśnie. Pochylam się z lupą nad pocztówką. Ławka nad rzeką Kamienną. Co czyta ta kobieta? Jest bardzo wiele różnych możliwości, bardzo wiele...

W lewym oknie pocztówki, kilkadziesiąt metrów od plamy mężczyzny z plamą ratlerka, ukryta lekko za koroną drzewa, stoi biała warszawa garbuska. Wpatruję się intensywnie w lupę... nie, to jednak nie garbuska, to sedan. Biała warszawa sedan z uchylonymi drzwiami kierowcy. Nie ma nikogo w środku; na brązowym skajowym obiciu siedzenia leży zwinięta w rulon gazeta. Ach, ile ja bym dał, żeby ją rozwinąć! „Ekspresiak" albo „Trybuna". Może „Życie", może „Życie"... Przesuwam teraz lupę kilka centymetrów wyżej, na rzekę. Tak... bez najmniejszej wątpliwości, chłopak w kajaku na środku rzeki, wpatruje się w niebo; czego on tam szuka? Co widzi? Niedaleko trzy żaglówki i... tak, tak, teraz widzę, że na drugim brzegu rzeki Kamiennej stoi trzech mężczyzn. Najwyższy, podparty pod boki, ma na sobie jasnoniebieską koszulę z podwiniętymi rękawami, dwóch pozostałych świeci nagimi torsami. Jeden z nich coś trzyma w ręku. Lupa drży w mojej dłoni. Załzawione oczy próbują rozpoznać przedmiot trzymany przez mężczyznę. Setki, tysiące kolorowych, wyblakłych plamek wirują w mojej głowie. Fotoizdat z Bułgarii. No tak, no tak... po co w ogóle tyle hałasu...? Już pewnie wiesz, co on trzyma w dłoni? Jest przecież gorący letni dzień.

Tak, mężczyzna bez koszuli trzyma w dłoni podłużną, zwężającą się ku górze brązową plamkę. Obok, na piasku, na samym kraju wody, rozstrzelona na setki miniplamek szara zmaza plastikowej siatki z kilkoma innymi podłużnymi, zwężającymi się ku górze brązowymi plamkami. Tak, bez wątpienia, chłodne wody Kamiennej chłodzą brązowe podłużne plamki zabezpieczone szarą zmazą siaty. O czym mówią ci mężczyźni? Ja jestem pewien, że o tym samym co zawsze. Po prostu o tym samym co zawsze. To jest tradycjonalizm. Za nimi, dostrzegam dopiero teraz, ukryty wśród drzew stary dom, stary, dom... Trochę inny niż stojące nieopodal gierkowskie klocki z podmurówkami wykładanymi tłuczonymi kolorowymi plamkami, błyszczącymi w słońcu Starachowic. Przysuwam i odsuwam łzawiące oko od lupy. Co to za dom, co to za dom, co to za gazeta, co to za książka?

Co to za książka?

Funky-Gierek, Henryk Debich i jego orkiestra, wszystko pulsuje rytmicznym światłem, Starachowice, 12 VII 1977, kochani rodzice...

Qari w meczecie mrówek zaniósł się rozdzierającym zaśpiewem i wtedy nagle to wszystko zaczęło się poruszać. Pocztówka ożyła. Ruszył kajak na rzece Kamiennej, wiatr wydął żagle żaglówek, menel przełknął wino, Fafik zaszczekał, a kobieta z książką popatrzyła w moją stronę przez szkła słonecznych okularów. Ruszyło starachowickie leniwe popołudnie którejś niedzieli siedemdziesiątegoktóregoś roku, ruszyło nagle tak, jakby nigdy nie stanęło. Poczułem to w ułamku sekundy – że to leniwe letnie popołudnie w Starachowicach lat siedemdziesiątych tak naprawdę nigdy nie znieruchomiało w obiektywie aparatu, w farbach bułgarskiego Fotoizdatu, nie, nigdy się nie zatrzymało, ono cały czas jest w tym samym momencie swojego trwania, tak jak wszystko inne we wszechświecie, co się działo, dzieje i będzie dziać – to wszystko cały czas jest takie samo, niezmienne i trwające. Tak, jak pisze o tym Plotyn. To jest drgające, niewyrażalne i niewyobrażalne, ekstatyczne jak pocztówka ze Starachowic, to jest przedsmak raju.

Już tam jestem, stoję na brzegu rzeki, już idę w kierunku tego starego domu pośród drzew. Mam na sobie stare czeskie trampki, sprane odry i pomarańczowy podkoszulek z Domów Centrum.

Spuszczam wzrok na piersi, na pacyk z Domów Centrum. Tak, teraz już widzę, teraz już wiem: to srebrno-czarny motor wyścigowy z podpisem *Speed King*. Już trochę zmechacony. Jak mogłem zapomnieć! Zatrzymuję się na chwilę za wysokim krzewem obsypanym białymi kulkami. Tak, pamiętam, lubiłem te kulki rozdeptywać trampkami albo ściskać między palcami. Słychać było wtedy charakterystyczny trzask pękającej skórki, trochę podobny do trzasku pękającej torebki foliowej, po czym wystrzeliwała nieduża struga kwaśnego, jasnego soku. Dobrze było także rzucać białymi kulkami w kolegów i koleżanki. Zostawały fajne plamy na ubraniu. Stoję ukryty za krzewem, chcę przez chwilę posłuchać mężczyzn stojących nad rzeką. Już słyszę ich śmiechy. Żeby mi tylko z bani nie załadowali...

Zapach. Ten zapach. Czuję go. Zapach siedemdziesiątych lat, nie do podrobienia, jak muzyka Henryka Debicha czy Jerzego Miliana. To jest nieprawdopodobny powiew letniego wiatru przywiewającego lekko zgniły zapach rzeki, świeżo skoszonej trawy, trochę mdlącego aromatu mokrej czarnej ziemi pełnej dżdżownic, eterycznej smugi smażonych kotletów mielonych z kolonijnej stołówki, wyraźnych i wciągających spalin traktorów i biało-czerwonych jelczy. Tak to tylko zarysowałem lekko. Taki szybki szkic, ale to jest niewypowiadalne, niepowtarzalne. Tak pachnie czas. Może kiedyś, może kiedyś...

Mężczyźni nad rzeką ponownie wybuchnęli salwą rechotliwego, chłopskiego śmiechu. Po czym gwałtownie zamilkli. W ciszy wypełnionej bzyczeniem łąki, pluskiem rzeki i dalekim warkotem jelczy słychać było tylko bulgotanie grdyk i głośne, pełne ulgi wydechy. Delikatnie wyjrzałem zza krzewu. Tak, teraz papieroski; biało-szary dym spowija twarze mężczyzn. Rzeką Kamienną powoli przesuwa się błękitny kajak z młodym chłopakiem w środku. Długie włosy spięte w kitkę. Kto to jest? Na burcie jednej z żaglówek siedzi dziewczyna z nogami w wodzie. Głowę ma pochyloną, za jej plecami wysoki chłopak obserwuje przez

lornetkę brzeg, na którym stoję. Przez chwilę zatrzymuje lornetkę na mojej osobie i wpatruje się we mnie. Uśmiecham się lekko do niego, podnoszę dłoń i macham mu, on także się uśmiecha i odmachuje mi. Wiatr rozwiewa mu jasne włosy. Czuję, jak przeszywa mnie coś, co powoduje, że zaczynam cały drżeć. Jakby prąd, nieznany, nienazwany prąd. Ach, tak właśnie... tak właśnie... o to właśnie w tym wszystkim chodzi... Cały czas słyszę muzykę Henryka Debicha. Z daleka, z bardzo daleka... Na niebie majestatycznie i powoli przesuwa się klucz ptaków.

Jeden z mężczyzn nadrzecznych zatoczył się, wkroczył z impetem do rzeki i – rozbryzgując na boki wodę – podbiegł kilka chwiejnych kroków w stronę kajaku, pohukując coś wesoło. Pozostali wybuchnęli gromkim śmiechem, wypuszczając kłęby dymu. Ten w koszuli, nie przestając rechotać, ścisnął nos dwoma palcami, pochylił się lekko i charknął potężnie do wody. Zielono-żółta nikotynowa flegma niczym lekka, zwiewna meduza rozpoczęła swoją drogę w stronę morza. To wszystko już było poza obiektywem fotografa Fotoizdatu. To widziałem już tylko ja. Nie, nie tylko ja, to po prostu było to, co wtedy było. Życie. Pocztówki niezatrzymane na zdjęciu, takie pocztówki mnie bardzo interesują, takie jak ta właśnie. To dziwne, ale nie bałem się podpitych mężczyzn o czerwonych twarzach i bezmyślnych, opuchniętych oczach. Nawet bardzo mi się podobali. Byli wyraźni, ostrzy, o intensywnych barwach. Mieli w sobie jakiś tajemniczy, nieodgadniony funk i kwaśny smród, który docierał do mnie za każdym ich poruszeniem. To było zapomniane odczuwanie. Wymacałem w kieszeni wytartych dżinsów jakiś twardy przedmiot. Wyjąłem go ostrożnie. To zardzewiały klucz z Sidi Bishr. Musiałem go odruchowo zabrać z biurka. Potem jeszcze coś, coś miękkiego. To była pomięta paczka sportów. Tak, pamiętam, jak w połowie lat siedemdziesiątych próbowałem popalać papierosy. Mówiłem kioskarce, że to dla taty. Kioskarka się podśmiewała pod nosem. Mój ojciec palił carmeny albo caro. Sporty to palił cieć, ale ja miałem za mało aluminiowych pieniążków na lepsze fajki. Kupowałem małe paczki po dziesięć sztuk śmierdzących papierosów z czarnym tytoniem lub z czymś podobnym. To trwało bardzo krótko – kilka tygodni najwyżej.

Wyjąłem jednego sporta z paczki, wsadziłem do ust i wyszedłem zza krzewu.

Trzej kiwający się mężczyźni jak jeden mąż spojrzeli na mnie z ciekawością. Ten w koszuli beknął przeciągle. Podszedłem do drugiego, który trzymał w dłoni papierosa, skłoniłem się i poprosiłem o ogień. Dopiero teraz zorientowałem się, że jestem bardzo chudy i mam ze trzynaście lat. O Boże, jaka gładka skóra! Włoski na przedramieniu lekko falowały na wietrze.

Mężczyźni zaczęli coś bulgotać między sobą, wskazując na mnie. Ten w koszuli pochylił się w moją stronę i zaczął wyrzucać z siebie stek słów, z których rozumiałem tylko przekleństwa. Oczy miał jak z masła. Wąsy lekko zażółcone od nikotyny. W tych maślanych oczach widziałem przepływający czas całego Wszechświata. W oczach menela znad rzeki Kamiennej. Menela z manuskryptu starachowickiego z połowy lat siedemdziesiątych. Absolutnie poza czasem i przestrzenią. Wpatrywałem się zafascynowany w milczeniu w te maślane, przekrwione oczy. Menel sapał przetrawionym winem owocowym i ział ostrą wonią papierosów. Na jego ustach dostrzegłem lekki uśmiech. Bezmyślny, tajemniczy uśmiech pijaka. Pozostali mężczyźni zanosili się śmiechem i głośnym, ekspresyjnym bulgotem, kiwając się na boki. Po drugiej stronie rzeki, między trzcinami, na ławce leżała ta młoda dziewczyna i czytała książkę. Co to za książka? Zaciągnąłem się sportem i zacząłem okropnie kasłać.

Menel wrzasnął coś gardłowo, rozrzucił na bok ramiona, wykrzywił usta w strasznym grymasie, odchylił się nieco do tyłu, po czym z całym impetem wystrzelił swoim niskim czołem w kierunku mojej głowy. Wino owocowe uczyniło go jednak nieco ociężałym. W ostatnim ułamku sekundy udało mi się uchylić i jego wąsata twarz mignęła mi obok ramienia, a on sam obalił się na trawę, wyrzucając z siebie stek przekleństw. Jego czarny, zniszczony, ohydny mokasyn zsunął się ze stopy i moim oczom ukazała się brązowo-fioletowa stilonowa skarpetka. Przez króciutką chwilę wpatrywałem się w nią zafascynowany. Przez dużą dziurę przezierała biel łydki menela. To było coś nieziemsko pięknego. Potem wyplułem papierosa i zacząłem biec w kierunku starego domu. Jakiś tajemniczy instynkt gnał mnie w tamtą stronę. Orkiestra

Rozrywkowa Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debicha dodawała mi sił. Menele z przeciągłym rykiem rzucili się w pogoń za mną. Jeszcze tylko kątem oka zobaczyłem, że kobieta po drugiej stronie rzeki usiadła na ławce, poprawiła blond włosy i nakryła je słomkowym kapeluszem. Cały czas trzymała w dłoni książkę. Zdołałem tylko dostrzec czerwień okładki. I tak już pozostanie: czerwień okładki, nic więcej. Ale to i tak dużo. Czy kiedyś dowiem się, co czytała ta dziewczyna? Chłopak w kajaku powoli oddalał się, rytmicznie machając wiosłami. Słońce przypiekało mi kark, menele pluli przekleństwami, gdzieś daleko rolnik odpalił traktor, wrzasnął jakiś ptak. Czułem lata siedemdziesiąte. To było jak Polska Kronika Filmowa. Już w kolorze. Biegłem w stronę starego domu widniejącego na nadrzecznej skarpie. Pulsujący rytm Orkiestry Rozrywkowej Polskiego Radia i Telewizji, sto, sto pięćdziesiąt metrów funky-Gierka, kawałeczek żywej pocztówki ze Starachowic. Koło ucha świsnęła mi brązowa butelka z żółtą nalepką i roztrzaskała się na pochylonej w stronę rzeki niedużej płaczącej wierzbie. Mężczyźni zanieśli się stekiem wyzwisk. Ach tak, ach tak, pamiętam, pamiętam. To miłe, to bardzo miłe, wcale się ich nie boję. Dopadłem drzwi starego domu, tych samych drzwi, które były w willi René Guénona w Sidi Bishr; już z daleka je poznałem. Przez sekundę stałem przed tymi starymi drzwiami pokrytymi wieloma warstwami farby, lakieru, kleju i wchłoniętego przez nie, przez lata, brudu. Piękne, brudnostare drzwi z żeliwną kołatką. I tu też, zanim zniknąłem w czeluściach domu, podniosłem głowę i odczytałem wygrawerowany nad wejściem, zaśniedziały ze starości napis: *Sha'are Kedusha*. Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Orkiestra Rozrywkowa i krzyki meneli umilkły, jak nożem uciął. Już byłem gdzie indziej, wiedziałem to, przeczuwałem. Stałem chwilę, dysząc, w wilgotnym półmroku korytarza, dochodząc do siebie i myśląc o menelach wracających teraz zygzakowatym szlakiem na swoje stanowisko nadrzeczne obok szarej siatki. Czy nie zdziwiła ich ta cała sytuacja? Czy nie wyczuli w niej ukrytej metafizyki? Jaki jest ich stosunek do czasu i przestrzeni, nie-czasu i pustki? Czy oni też słyszeli Henryka Debicha i jego Orkiestrę? Nie, oni jutro nic nie będą pamiętali. Nic a nic. W ogóle nie zauważyli całej transcendencji sytuacji. Po prostu chcieli

załadować frajerowi ze łba i z kopa, a on nagle rozpłynął się. Czymże jest czas? – jak pytał święty Aureliusz Augustyn z Hippony. – Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem. Nie pytaj więc.

A dziewczyna z czerwoną książką? Czy już poszła do domu odgrzać obiad sobie i swojej starej matce? Gdyby dopiero teraz nadszedł fotograf Fotoizdatu i cyknął zdjęcie, ławka byłaby pusta, nie byłoby też chłopaka z kitką włosów w kajaku. Ale czy ktokolwiek z tych, którzy kupili jedną z dziesięciu tysięcy egzemplarzy tej pocztówki, pomyślałby o tym? Czy patrząc na pustą ławkę, pomyślałby o tej dziewczynie z książką? O kimkolwiek, kto ostatni siedział na tej ławce pośród trzcin. I o ostatnim kajaku, który przepłynął rzeką Kamienną w stronę Ostrowca Świętokrzyskiego między kiwającymi się na falach żaglówkami. Nogi dziewczyny rozcinające fale rzeki, szkła lornetki wysokiego chłopaka, Starachowice 1977, kochani rodzice...

Tak, teraz przydałaby się jedna krótka, przeciągła fraza saksofonu Bernta Rosengrena. Do dzisiaj tamten nóż spoczywa gdzieś w wodzie. Ale nie ma czasu, muszę już iść. Prawie na oślep przesuwam się wąskim korytarzem w stronę kolejnych widniejących w oddali drzwi. Już słyszę daleką muzykę, już słyszę. To coś innego niż Henryk Debich, to rytmiczne bębny, piszczałki i *oud*. To inne, ale jednak bardzo podobne. Słyszę też śpiew. Najpierw inwokację, a potem odpowiedzi. To Sheikh Mohamed al-Helbawy i Ferqat al Inshad al sufi. Czy ptaki znad rzeki Kamiennej i ptaki sheikha to te same ptaki?

Popchnąłem drzwi i znalazłem się na podwórzu kamienicy Tikvah. Już jest koci mocz, smażone krewetki i glony. Ryby przypięte kolorowymi klamerkami suszą się na sznurku. Już jest dobrze.

Wszędzie paliły się ognie i snuły się zapierające dech w piersiach kłęby *buhuru*, spomiędzy których wyłaniały się postacie ubranych na biało, wirujących powoli i majestatycznie mężczyzn. Ich ręce były rozrzucone na boki jak skrzydła wiatraków. Naliczyłem ich siedmiu. Na środku podwórza wielka zielona płachta przykrywała jakiś duży obiekt; pomyślałem o samochodzie. Ale jak tu wjechał?

Savina wyłoniła się z dymu jak czarna zjawa, podeszła do mnie i ujęła za rękę.

– Witaj, Ibrahimie-ze-Świata. – Uśmiechała się po grecku. – Trafiłeś bez problemu, prawda? – Zaśmiała się głośno. – To już dzisiaj, to już koniec, już koniec...

Siedzący na dywanie pod ścianą szewc Hussein grał na *oudzie* niczym James Blood Ulmer na gitarze. Uderzając szybko dłonią w struny *oudu*, kołysał się w przód i w tył, wznosząc raz zamknięte, raz otwarte oczy ku górze. Ale i tak miałem wrażenie, że śpi. Rozejrzałem się dookoła. Mój wzrok przyzwyczaił się do dymu i cieni rzucanych przez światła palonych pochodni. To nie były pochodnie, to metalowe pojemniki wypełnione jakąś aromatyczną substancją, która dawała wysoki, buzujący płomień.

Obok szewca, pod ścianą, na dywanach i kilimach siedziało jeszcze kilku mężczyzn i grało na innych instrumentach. *Bendir*, *darbuka*, *buzuka*, przeciągły wibrujący dźwięk *neyu*, płaczą oczy wpatrzone w lupę, płaczą ze szczęścia wszystkie *oudy* Arabii Felix...

Kilku muzyków pamiętałem z kamienicy Tikvah, kilku było mi nieznanych. To byli czarni Nubijczycy; wysocy, chudzi, z długimi, haczykowatymi nosami, przypominali afrykańskie ptaki błotne z powieści Kamila Giżyckiego. Ich białe turbany ozdobione były zielonymi otokami z wyszytymi na nich złotą nitką wersetami Koranu. Nubijczycy trzymali w dłoniach małe bębenki i *riqqi*, tamburyny, w które uderzali jednostajnie i rytmicznie, tą rytmicznością niespotykaną już prawie w Europie, tą zapomnianą, prastarą transową rytmicznością, która zawsze mnie oplata i wciąga, kiedy tylko jej dostąpię, kiedy tylko tutaj jestem, a jestem coraz częściej i częściej, właściwie już prawie tylko tutaj jestem. To jest prehistoryczny rytm świata, niezmordowany, niezmienny i wieczny. Pozostał w tropikalnych lasach, na pustyniach, w starym afrojazzie Nowego Jorku, wśród chasydów i w sufickich *zawijach*. Jest zawsze pośród małych dzieci. Ten sam rytm od Ekwadoru przez Senegal, Etiopię i Indie po Filipiny. Ale to tylko puste nazwy państw. Za tysiąc lat nikt może o nich nie pamiętać, a rytm pozostanie. Rytm, który narodził się miliony lat temu prawdopodobnie gdzieś tutaj niedaleko, na tych suchych, spalonych słońcem ziemiach, na afrykańskiej sawannie, w kolebce ludzkości.

Sophia perennis, al-Fitra, „Lucy in the sky with diamonds" – to tu, za górami Semien, u źródeł Nilu, niedaleko. Dymy *buhuru* tworzyły przed moimi oczami słowa i obrazy. Dziwaczna plątanina arabskich, hebrajskich, sanskryckich i jeszcze innych, nieznanych mi liter, symboli i rysunków. Niektóre słowa były w łacińskim alfabecie. Próbowałem je odcyfrowywać, zanim roztopiły się w nicości: *kether... bina... din... tiferet... hod... malch... ani ain, ani nic... nun... mem..*

Jeden z Nubijczyków stał nieruchomo w miejscu, na środku podwórka, obracając w rękach długi kij. Wpatrzony przed siebie w przestrzeń, z jaśniejącym promiennie kamiennym obliczem, obracał kijem w prawą stronę jednym monotonnym, niezmiennym, statecznym ruchem. Jego oczy nieruchomo wpatrywały się w jeden punkt. Najwyraźniej bardzo daleki.

Wszechświat zawarty jest w punkcie, jak ocean w kropli wody. (Jabes, 7/75)

– *My brother*... wszystko, co objawiono w świętych księgach, znajduje się w Koranie. Wszystko, co zawiera Koran, koncentruje się w pierwszej surze al-Fatiha. Wszystkie znaczenia al-Fatihy znaleźć można w słowach: W Imię Boga, Miłosiernego, Litościwego, czyli w basmali. Cała zaś treść basmali zawiera się w pierwszej literze – *ba*, która z kolei sprowadza się do kropki pod nią, a kropka w języku arabskim oznacza zero.

Czarny człowiek szczerzy w uśmiechu białe zęby, zbliżając się do mnie ze śmigłem z bambusowego kija. Jedna kropka, punkt, zero.

Nie mogłem się w to wpatrywać dłużej niż kilkanaście sekund, bo natychmiast zaczynałem popadać w oddalenie i nierealność, co w zaistniałej sytuacji i miejscu byłoby już absolutnie niebezpieczne. Tak, znałem to, to *raks assaya,* bambusowy kij, którym podobno w średniowieczu niektórzy sufi potrafili wprowadzić w hipnozę dziesiątki tysięcy ludzi zgromadzonych w jednym miejscu.

Był *youm il-guma'*, ostatni piątek miesiąca, pierwszy dzień ramadanu.

Białe galabije wirujących mężczyzn kreśliły koła, które przez ułamek sekundy pozostawiały po sobie jaśniejące, świetliste kręgi, rozchodzące się po całym podwórzu i znikające w dymie *buhuru*.

Zdałem sobie teraz sprawę, że galabije sufich tworzą stożki. Że ci wirujący sufi tworzą stożki. Bergsonowskie stożki.

Listen, Ibrahim, *Bergson argues that people are like inverted cones*...

Oczy Diny.

Ludzie są jak odwrócone stożki... podstawą odwrócony w stronę nieba... czubkiem stożka stykam się z ziemią-rzeczywistością-ulicą, w czasie gdy podstawa stożka niczym trąba zwrócona jest w stronę Nieba... i jest całością moich wspomnień, przeżyć, całego życia, *my whole aijsz*...

Pośród wirujących, grających i klaszczących sufich, wśród kłębów dymu pojawił się nagle starszy, brodaty, niezwykle dystyngowany mężczyzna. Miał długą, pokrytą bruzdami i zmarszczkami pociągłą twarz – końską, powiedziałbym nawet: mulą. Odziany był w śnieżnobiałą galabiję przepasaną szerokim czarnym pasem. Pod czarnym turbanem, ponad srebrną, przetykaną plamami czerwonej henny brodą, jaśniały zadziwiająco bladoniebieskie, jak na Araba, szeroko otwarte oczy. Muzyka pędziła jak oszalała, jak biało-czerwony jelcz na górskiej drodze do Pyzówki. Sheikh uśmiechnął się delikatnie, wyciągnął przed siebie dłonie i zaczął śpiewać drżącym, ale jednocześnie silnym, donośnym głosem:

Mam, tak samo jak ty,
Miasto moje, a w nim
Najpiękniejszy mój świat,
Najpiękniejsze dni.
Zostawiłem tam kolorowe sny.*

* „Sen o Warszawie", muzyka: Czesław Niemen, słowa: Marek Gaszyński.

Na wskazującym palcu sheikha dostrzegłem duży srebrny pierścień. Tak, to był ten sam skrzeczący, zaciągający trochę z lwowska głos, tyle że z wyraźnym akcentem arabskim. Szewc Hussein zerwał się z dywanu i zajodłował nagle jak góral z Tyrolu; jego twarz jaśniała blaskiem, tak zresztą jak oblicza pozostałych muzyków, jak twarze wszystkich grających i tańczących, jak twarz Sheikha Mohameda al-Helbawy'ego. Sufi z *raks assayą* zbliżył się niebezpiecznie blisko do mnie. Nie, nie... proszę, nie...

...z podstawy stożka spływają ku wierzchołkowi wszystkie moje pojęcia, idee, stany, krystalizując się w słowach, gestach, mimice...

...wierzchołkiem jest teraźniejsza chwila świadomości mojego ciała, a ziemia jest płaszczyzną rzeczywistości... ..

Oczy Diny.

Sheikh wzniósł swoje niebieskie oczy ku niebu. Tak, były to oczy dziecka zapatrzonego w niebo na lecące ptaki. Widziałem to teraz wyraźnie. Były w tych oczach dziecięce łzy i nieopisywalna tęsknota za czymś absolutnym i niewyrażalnym. Był w nich odwieczny, prastary rytm. Sheikh Mohamed al-Helbawy śpiewał:

... kiedyś zatrzymam czas
I na skrzydłach jak ptak
Będę leciał co sił
Tam, gdzie moje sny
I warszawskie kolorowe dni.

Sufi, przekrzykując muzykę, zanieśli się rozdzierającym krzykiem:

Gdybyś ujrzeć chciał nadwiślański świt,
Już dziś wyruszaj ze mną tam.
Zobaczysz, jak przywita pięknie nas
Warszawski dzień.

– We no pan ten patyk, kurde! – wrzasnąłem do machającego mi przed nosem bambusowym kijem Nubijczyka. – We no pan to w cholerę, bo się zdenerwuję!

...im człowiek bardziej otwarty, tym płaszczyzna podstawy stożka większa. Rozszerza się w momentach otwartości, dochodząc do figury, którą można by przyrównać od ogromnego koła, w którym w ekstremalnym otworzeniu zawiera się wszystko, *the brightness of the whole*, *tauhid* – jedność... *the brightness of the whole* – cała jaskrawość.

Oczy Diny. Moje miasto – al-Iskanderija. Plotyn, Edmond Jabes, Demis Roussos, Tadeusz Gadacz. Glony, dzikie pomidory i koci mocz. Słony wiatr. Tu mieszkam, tam mieszkam, jestem zewsząd. Dym *buhuru* spowijał całą kamienicę Tikvah.

Savina śmiała się do mnie przez dym.

– To stara suficka pieśń pochodząca z Polski. To piosenka o kobiecie, która więdnie z miłości za kimś, kto odjechał daleko... – Greczynka po prostu płakała ze śmiechu.

Nagle obok Saviny nie wiadomo skąd pojawili się uśmiechnięci brodaci chasydzi, ci sami, których widziałem w bibliotece Aziza, i ująwszy się za ramiona, zaczęli tańczyć, wniebogłosy śpiewając:

Az der rebe zingt, zingn ale khasidim,
az der rebe tantz, tantzn ale khasidim,
az der rebe shlof, shlofn ale khasidim,
az der rebe lakht, lakhn ale khasidim,
az der rebe est, fresn ale khasidim,
un az der rebe redt, shvaygn ale khasidim...

Stara suficka polska pieśń mieszała się z chasydzkim nigunem. Przez kłęby dymu dostrzegłem szybujące nad podwórzem stado gołębi.

– Będziemy śpiewali i Niebo nas zrozumie. – Savina machała do mnie dłonią zza skaczących chasydów. – Tak powiadał rebe Nachman z twojego kraju, tak powiadał...

Sheikh Mohamed al-Helbawy wzniósł oczy i ręce w stronę ptaków. Jego krzyk wzniósł się ponad wszystko:

> ...Mam, tak samo jak ty,
> Miasto moje, a w nim
> Najpiękniejszy mój świat,
> Najpiękniejsze dni.
> Zostawiłem tam kolorowe sny.

Sufi i chasydzi zlali mi się w jedną całość.

– Jeśli nie wiesz, skąd pochodzisz, to jesteś szczęśliwym człowiekiem, bo pochodzisz ze Świata, Ibrahimie. – Savina przekrzykiwała niebywały harmider. – Bramy miast stoją przed tobą otworem.

Nagle na podwórzu pojawił się poeta, malarz, skrzypek, rzeźbiarz, filozof, teozof, kolekcjoner starych książek – Aziz Mahmoud Effendi. Ledwo go poznałem: był odziany w długą czarną szatę przetykaną złotymi nićmi, a na głowie miał stary motocyklowy kask typu jajo, taki jaki można jeszcze gdzieniegdzie spotkać na głębokiej polskiej i egipskiej wsi. Jego pojawienie się grający, tańczący i śpiewający przywitali jeszcze głośniejszą ekstazą i uniesieniem. To wszystko narastało jakąś tajemniczą intensywnością, pulsującym rytmem i przenikliwym, zniewalającym transem. Czułem niejasne przebłyski zrozumienia, niejasne, superkrótkie pojęcia i doznania, czułem inność, czułem blask. Zdawało mi się, że całe miasto jest teraz na podwórku kamienicy Tikvah. Nie, nie całe miasto, cały Świat, a nawet więcej: cały ja. Stałem jak zahipnotyzowany, wpatrując się w rozgrywające się przed moimi oczami fascynujące widowisko i nie wiedziałem już, jaki czas i jaka przestrzeń mnie otaczają. Myślałem tylko o jednym: żebym nie zapomniał dać śniadania Hasanowi. Która godzina? Nie, to nonsens, nawet nie ma po co patrzeć na zegar w komórce. Który rok? Gdzie ja jestem? Co to za rzeczywistość?

Co to za książka?

Stary kabalista ze Smyrny odrzucił z dzikim wrzaskiem zieloną płachtę i oczom wszystkich ukazała się *makana al-tayyara,* latająca

maszyna. Na kadłubie lśnił wymalowany arabskim alfabetem, złotą farbą, napis *Bat kol*. Chasydzi i sufi objęci za ramiona tańczyli razem *ahavat hadassę*, bosymi stopami wzbijając w powietrze kłęby kurzu. Świetlista błyskawica przecięła niebo. I tak nie będzie deszczu. Zbliżał się dzień, w którym decydują się losy człowieka. Pierwszy dzień postu zbliżał się wielkimi krokami, był coraz bliżej i bliżej. Dym *buhuru* i straszny kurz majestatycznie wznosiły się w chmury. Płakało gdzieś małe dziecko. Czułem, że to miejsce jest naznaczone śmiercią. I bardzo mnie to cieszyło, bardzo mnie uspokajało. Jaką książkę czytała dziewczyna na ławce w Starachowicach pewnego letniego dnia w połowie siedemdziesiątych lat?

Mut. Toyt. Śmierć.

Z dymu wyłaniały się postacie sufich i chasydów, wirujących teraz powoli i majestatycznie. Ich ręce były rozrzucone na boki jak skrzydła wiatraków. Naraz jakby wszystko się uspokoiło, zwolniło. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że przestałem słyszeć. Widziałem tylko rozgrywające się przed moimi oczami sceny. Obrazy jakby wolniejsze, jak na taśmie puszczonej w zwolnionym tempie. Szewc Hussein grał na *oudzie* niczym James Blood Ulmer na gitarze. Uderzając bardzo wolno dłonią w struny *oudu,* powoli kołysał się w przód i w tył, wznosząc raz zamknięte, raz otwarte oczy ku górze. Widziałem Savinę, jak siedzi obok niego na dywanie i bardzo wolno, rytmicznie klaszcze w dłonie. Uśmiechała się do mnie i pomachała mi z daleka. Zupełnie jak ten wysoki chłopak z żaglówki ze starachowickiej pocztówki. Czarny Nubijczyk, wpatrzony przed siebie w przestrzeń, z jaśniejącym promiennie kamiennym obliczem obracał kijem w prawą stronę jednym monotonnym, niezmiennym, statecznym ruchem. Świetlista błyskawica przecięła niebo. Oczy Nubijczyka nieruchomo wpatrywały się w jeden punkt. Cały czas ściskałem w dłoni zardzewiały klucz.

Mut. Toyt. Śmierć.

Aziz Mahmoud Effendi zbliżał się do mnie wolnym krokiem. Na jego piersi, wyrzucona na czarny chałat, błyszczała złotym blaskiem gwiazda Dawida wpisana w półksiężyc. Wyciągał do mnie ręce, wskazując jednocześnie na swoją maszynę. Czy chciałbym odlecieć? Dokąd?

Już siedzimy w maszynie. Tu są dwa miejsca, dwa przyspawane siodełka od starego traktora albo snopowiązałki. Przed moimi oczami deska rozdzielcza przypominająca pulpit wczesnego żuka albo skutera Osa z lat sześćdziesiątych: kilka pstryczków jak od gierkowskiego odkurzacza, dwa klawisze i jeden duży zegar. Pełno drucików, kabli i różnokolorowych kabelków. Aziz porusza zamontowanymi w podłodze dwiema długimi wajchami, jak w czerwonym jelczu z białym dachem. Czuję, że maszyna zaczyna drgać. Coraz mocniej i mocniej. Czuję tylko, bo ciągle nic nie słyszę. Przed oczami kłęby *buhuru* i potwornie śmierdzącego, tłustego dymu, wydobywającego się z latającej maszyny. Sufi i chasydzi migają mi przed oczami. Czy są tutaj pasy?

Makana al-tayyara powoli odrywała się od ziemi. Bardzo powoli, jakby była zlepiona gumą do żucia z podwórkiem. Tak startują maszyny latające w snach – powoli i z oporem.

Ale jednak wznosiliśmy się. Widziałem rozgorączkowane oczy Aziza wpatrzone w skromne instrumentarium na pordzewiałej tablicy rozdzielczej. Kim on jest?

Mijaliśmy właśnie balkon, na którym stała tęga kobieta z wiklinowym koszem pełnym ryb. – *Ya, habibi*! – krzyknęła do mnie rozpromieniona i pomachała mi ręką, przesyłając całusa. Już byliśmy ponad dachem kamienicy Tikvah. Wszystko drżało i trzęsło się okropnie. Miałem wrażenie, że ta cała wariacka konstrukcja zaraz rozpadnie się na kawałki. Aziz spojrzał na mnie, roześmiał się, po czym wyciągnął spod siodełka drugie białe jajo i nasadził mi na łeb. Potem wskazał palcem do góry. Nie, ja nie chcę, Aziz, ja nie chcę tak wysoko. Ja chcę bliżej ziemi, bliżej. Spojrzałem w dół i pośrodku wirujących Żydów i Arabów w długich chałatach dostrzegłem Savinę. Machała mi chusteczką, jak w starych filmach o miłości. Jak Katina Paxinou w „Komu bije dzwon". Po grecku.

Grecja jest wyraźna, wytrawna, piękna i mistyczna. Grecja naznaczyła to miasto na zawsze. Dodała bruzd i zmarszczek twarzy al-Iskanderiji. Grecja tutaj to stara opuszczona willa z zamazanymi greckimi literami na ścianach i dzikimi pomidorami pod murem. Słony wiatr uderzył mnie w twarz. Aziz zatoczył duże koło nad kamienicą. Savina przystawiła

dłonie do ust i zaczęła coś krzyczeć. Wyglądało to jak śpiew. Ohydny dym z maszyny owionął moją twarz, kichnąłem potężnie i wielki kawałek flegmy wystrzelił mi z nosa. Patrzyłem za nim, jak znika pośród dachów i uliczek Aleksandrii. Niczym lekka, zwiewna meduza w nurtach rzeki. Moje uszy nagle się otworzyły. Hałas startującego pojazdu i muzyka sufich uderzyły mnie jak obuchem, jak potężna fala słonego wiatru. Maszyna Aziza wyła dzikim, opętańczym warkotem swojego prymitywnego, renesansowego motoru rodem ze Smyrny albo Stambułu. Znowu owiał mnie tłusty dym i gorąc silnika i wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że lecę rodzajem prahelikoptera skonstruowanego według planów obłąkanego siedemnastowiecznego kabalisty, prowadzonego przez jego wyznawcę. Zrobiło mi się gorąco. Aziz zataczał kolejne koło nad kamienicą Tikvah. Usłyszałem krzyk Greczynki, znowu usłyszałem starą suficką pieśń polską:

Mam, tak samo jak ty,
Miasto moje, a w nim
Najpiękniejszy mój świat,
Najpiękniejsze dni.
Zostawiłam tam kolorowe sny.

Lecieliśmy w stronę morza.

Przeszyło mnie na wskroś chłodne powietrze. Spojrzałem w dół; unosiliśmy się jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów nad ziemią. Widziałem ludzi siedzących w *ahłach* i palących szisze. Widziałem wózki sprzedawców *fulu* i otoczone chmarami dymu stoiska z falafelem. Widziałem stragany z owocami i warzywami, wielkie kawały mięsa wiszące na hakach przed sklepami. Widziałem dzieci tańczące na ulicach. Nagle do moich uszu poprzez huk silnika dotarł rozdzierający miauk. Całe fale rozdzierającego miauczenia. Wyjrzałem przez burtę tej strasznej maszyny i zobaczyłem, że dachy domów dosłownie pokryte są stadami kotów. Koty, wpatrzone w przelatującą im nad głowami konstrukcję, wyły rozdzierająco i tęsknie. Tak, tęsknie. Miałem wrażenie, że tylko one nas widzą. Ich oczy świeciły intensywnie w ciemnościach nocy.

Wiatr świszczał mi w uszach. Czułem przyspieszony puls i szybkie bicie serca, czułem skrzydła latającej maszyny, jakby były wrośnięte w moje ramiona. Ponad światłami miasta, na horyzoncie, dostrzegłem białe fale Morza Śródziemnego. To port miasta, to tutaj przed wiekami stała Faros, najsłynniejsza na świecie latarnia morska. Tak, odleciałem.

Widziałem cień *taramy* przesuwający się wolno w stronę Mahatty Raml gdzieś na wysokości pomnika Mohammeda Alego, całą arabsko-turecko-żydowską Manszeję jaśniejącą łuną tajemniczego bladego światła, potem Aziz skręcił i nagle znaleźliśmy się prawie nad moim *suqiem* za torami z majorem Yamamoto. Zasalutowałem do białego jaja. Potem Aziz obniżył nieco lot i zobaczyłem piekarnię grubasa, gdzie święty Jerzy codziennie zabija czerwonego smoka, i zaraz smażalnię Abu Rabiego z gorącym falafelem i podwędzanym *baba ghanougiem* w plastikowych pudełkach. Maszyna zawyła, Aziz poderwał ją gwałtownie i przekręcił na prawe skrzydło. Lecieliśmy teraz tuż obok mojego domu. Paliło się prawie we wszystkich oknach – była pierwsza ramadanowa noc; nikt nie spał. Doktorowa z willi spuszczała z okna wiklinowy koszyk, coś krzycząc do stojącego na ulicy Hagiego Hossama. Jego wózek był teraz pełen buraków. Zupełnie jak ciężarówki w starych polskich kronikach filmowych. Doktor Abdurahman stał na balkonie, zapatrzony w morze. Może wypatruje delfinów? Roześmiana Rania, z wzniesionymi do góry rękoma, tańczyła cały czas w otwartym oknie.

Czułem zapach smażonego czosnku i kolendry. Czy ona stoi tam cały czas na piasku, na plaży Silsila, koło wieży wartownika? Czy cały czas się uśmiecha z tą swoją dziwnie przekrzywioną głową? Czy może w tę pierwszą ramadanową noc rozwinęła swoje skrzydła i odleciała na zawsze? Przecież kiedyś to musi się stać. Wbiłem wzrok w taras na ósmym piętrze. Tak, pośród kwiatów, na kanapie, zwinięty w kłębek leżał Jan Sibelius i spał. A ja? Gdzie jestem ja?

Machina z potwornym rykiem wzniosła się ponad dachami, kierując się znów w stronę morza, potem nagle opadła i zobaczyłem moją *ahłę* Pod Lampą. Biała ciężarna kotka jadła coś na chodniku z kawałka gazety. Mężczyzna w białej galabii pochylał się nad nią z troską. Po przeciwnej stronie ulicy, oparta o mur, stała mała dziewczynka o długich

warkoczach, z rozdziawioną buzią wpatrując się w przelatującą machinę. Sheikh al-Helbawy ma oczy dziecka zapatrzonego w niebo na lecące ptaki...

Zauważyła moje spojrzenie i pomachała mi chusteczką. Jak Oum Kalsoum. Jak Savina Yannatou.

W kamienicy naprzeciwko to okno, w którym codziennie między 15.17 a najpóźniej 15. 31 pulsowało białe, blade światło, to okno było dzisiejszej nocy szeroko otwarte, a muślinowe zasłony rozsunięte. W tym oknie, w pokoju, siedział za stołem szpakowaty mężczyzna i coś pisał w grubym zeszycie. Nagle na sekundę podniósł wzrok i popatrzył na mnie. Tak, to był on, to ten, który to napisał, to ten, który to cały czas pisze. To ten od tamtej Księgi, to ten od tej książki. To jego książka. To jego miasto. To jego światło.

Zdjęcia, które zrobiłem temu światłu, to małe białe świetliki na czarnym tle. Jak Aleksandria w pierwszą ramadanową noc. Jak okładki jego Ksiąg, Ksiąg Edmonda Jabesa.

Potem już chyba sam wiesz, jak było, może nawet nie powinienem tego pisać, ale dla formalności napiszę:

Tuż obok kamienicy, na chodniku, na małym, chyboczącym się trochę koślawym krzesełku przy równie małym stoliczku – na którym leżała nieduża brązowa aktówka, podłużny notes i stała szklanka herbaty – siedział facet w średnim wieku, w chińskim garniturze w prążki, i wypuszczał kłęby dymu z ustnika srebrnej sziszy o zielonym kielichu. Nie, nawet nie spojrzał w górę. Nic nie usłyszał i nic nie zauważył. Założył nogę na nogę i patrzył nieruchomo przed siebie.

*

Czy odczytasz mnie tam, gdzie już nie piszę? (Jabes, 6/149)

JanKa wydawnictwo i...
tel. 694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl